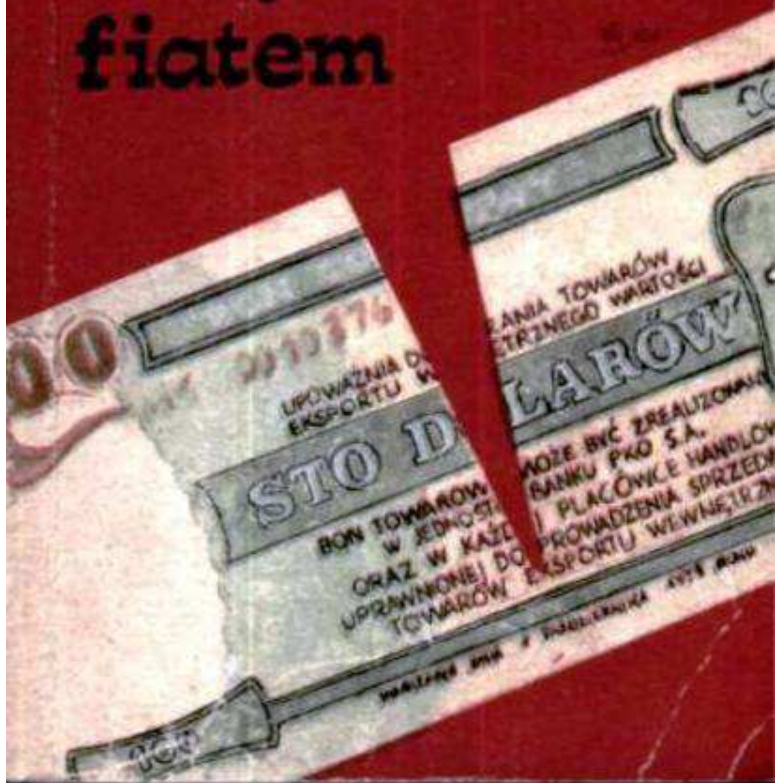


Jerzy Parfiniewicz
**Śmierć
nadjechała
fiatem**



**Jerzy
Parfiniewicz**

**ŚMIERĆ
NADJECHAŁA
FIATEM**

**Wydawnictwo
Ministerstwa Obrony Narodowej**

Okładkę i strony tytułowe projektowała

Krystyna Iwanicka

Redaktor

Elżbieta Skrzyńska

Redaktor techniczny

Janusz Festur

Korektor

Beata Rutkowska

© Copyright by Wydawnictwo Ministerstwa

Obrony Narodowej.

Warszawa 1988

ISBN 83-11-07537-9

Wydawnictwo Ministerstwa

Obrony Narodowej

Warszawa 1988.

Wydanie I

Nakład 200 000 + 300 egz.

Objętość 7,58 ark, wyd., 6,5 ark, druk.

Papier offsetowy V ki. 65 g, rola 61 cm.

Oddano do składania we wrześniu 1987 r.

Druk ukończono w kwietniu 1988 r.

Wojskowa Drukarnia w Łodzi.

Zam. 150.

Cena zł 150,–

H-4

Rozdział 1

– Kasiu! – Ton głosu inżyniera Lucińskiego wyraźnie zdradzał zdenerwowanie. – Gdzie, u diabła, położyłaś moje spinki?!

– A gdzie były? – dobiegło z kuchni pytanie.

– Leżały tu, na kredensie! W popielnicze! – Luciński nerwowo przesuwiał liczne bibeloty, zdobiące kredens.

– Jeśli w popielnicze trzymasz spinki, to może powiesz mi łaskawie, w co strząsasz popiół? – W drzwiach pokoju ukazała się żona inżyniera. Była to drobna szatynka o włosach spiętych w duży kok. Stanowiła przeciwieństwo męża, zdradzającego dość wyraźne skłonności do tycia. Do masywnej postaci inżyniera, poruszającego się raczej ociężale, nie pasowała jednak twarz: twarz swawolnego chłopca o rozbrajającym uśmiechu. Tym razem wyrażała ona gniew, co podkreślały ciągnięte brwi.

– Nie żartuj! Zaraz przyjdą Szyndzielowie, a my jeszcze w proszku!

– Schowałam spinki do szafy. Są na półce z twoimi koszulami.

– Na drugi raz nie rób mi porządków! Proszę cię. Bo potem nic nie mogę znaleźć... – Luciński zakładał spinki nerwowo, co wcale nie przyspieszało tej czynności.

– Rozumiem. – Pani Kasia kiwnęła z wdziękiem główką. – Masz tak zwany bałagan twórczy. Tylko ty wiesz, gdzie co jest...

– Właśnie!

– Ale dziś przychodzą Szyndzielowie i nie pozwolę, by ten twój bałagan odbił się w jakikolwiek sposób na ich wizycie – głos pani Kasi zabrzmiał stanowczo.

– Zajmij się lepiej kuchnią! – mruknął już rozchmurzony Luciński, któremu wreszcie udało się zapiąć mankiety koszuli.

– Kartofle obrałeś? Sałatkę zrobisz? Nie! To czemu wtrącasz się do nie swoich spraw! – z tymi słowami Lucińska odwróciła się na pięcie i zniknęła w głębi kuchni.

Inżynier rozejrzał się po pokoju. Wszystkie meble lśniły czystością. Wyfroterowana podłoga błyszczała jak lustro. W wazonie stały świeże kwiaty.

Kiedy ta dziewczyna ma czas na to wszystko! – pomyślał z niedowierzaniem. – Zrobić zakupy, posprzątać, przygotować przyjęcie... Skarb, nie żona!

Pociągnął nosem. Z kuchni dolatywał zapach gotowanych warzyw.

Trzeba być arcygeniuszem, by zaprojektować wejście do kuchni bezpośrednio z pokoju! – snuł dalej swe rozważania. – Jak się człowiek nawącha tych zapachów, to i jeść już mu się nie chce...

– Leszku! Która godzina? – Głos żony dochodzący z kuchni przywołał go do rzeczywistości.

– Dochodzi czwarta! O ile znam Szyndzielów, mamy jeszcze pół godziny! – Spojrzał kolejny raz na nakryty na cztery osoby stół i na przywiezione z Włoch prezenty dla gości. – Cieszę się na spotkanie z Kaziem i Wandą! Może ci w czymś pomóc? – spytał, stając w progu kuchni.

– Najbardziej mi pomożesz, jeśli nie będziesz się wtrącał. A zresztą! Zanieś na stół te półmiski i salaterkę.

Spojrzał na półmiski wypełnione pasztetem, salcesonem, jakąś kiełbasą...

– Nie powiem, żeby to było wystawne przyjęcie! – westchnął. – Ale i tak dobrze, że coś się dostało...

– Nie narzekaj! Ubogo, ale nasze, krajowe... – Lucieńska powiedziała to zupełnie serio, przypominawszy sobie włoskie potrawy na oliwie, po których trochę źle się czuła i do których nie mogła się przyzwyczaić do końca pobytu w tym pięknym skądinąd kraju.

– Muszę ci się przyznać, że cieszę się na wizytę Kaziów. Często się z nim sprzecząmy, mamy różne poglądy na wiele spraw, ale to jest dobry człowiek. Zawsze można na niego liczyć! – Lucieński, nosząc półmiski, nie przestawał mówić.

- Masz rację. Jednak ja wolę Wandę. Jest bardziej szczerą, bardziej otwartą... Ma za mało cytryny.
- Kto? Wanda? – nie zorientował się Luciński.
- Też coś! Mówię o sałatce. Bo Wanda lubi ostrą sałatkę, z dużą ilością cytryny.
- Mhm! – chrząknął Luciński. – No, to już mogli-
by przyjść.

Założył marynarkę. Poprawił krawat przed lustrem. Usiadł w fotelu i oparł podbródek na skrzyżowanych dłoniach. Mimo odczuwalnego jeszcze zmęczenia po długiej podróży cieszył się z przyjścia gości. Czy aby na pewno z gości? A może tylko z tego, że nareszcie znów zobaczy Wandę? Tęsknił za nią. Nie znaczy to, że była to jakaś skrywana miłość, nie. Kochał Kasię. Było im z sobą dobrze. Nie kłócili się. Podświadomie wyczuwali, kiedy jedno z nich na przykład nie miało chęci na rozmowę lub – dla odmiany – prawie jednocześnie wyrażali pragnienie pójścia na spacer czy do kina. Jednak na widok Wandy zawsze czuł przyspieszone bicie serca. Była ładną blondynką, trochę, jak to panowie określają, przy kości. Jednak te krągłości nie psuły proporcji sylwetki. Zawsze marzył o tym, by mieć żonę blondynkę. Tymczasem Kasia była szczupłą szatynką. Nie lubił kobiet zbyt szczupłych, żeby nie powiedzieć chudych. Wanda była koleżanką Kasi jeszcze sprzed ich ślubu. Trochę żałował, że poznał ją zbyt późno, gdy już z Kasią był po słowie. W innej sytuacji zainteresowałby się Wandą bliżej.

Tym bardziej że, jak wyczuwał, i on nie był jej obojętny. To spostrzeżenie drażniło jego męską ambicję. Bo Kazik do niej nie pasował. Był oschły, grubo ciosany. Miał w sobie coś, co często denerwowało Lucińskiego, choć z drugiej strony Szyndziela nie był złym człowiekiem. Zawsze skory do pomocy, zawsze pierwszy z radą. Gdyby Lucińscy utrzymywali bliskie kontakty towarzyskie z innymi osobami, może wtedy odsunęliby się bardziej od Szyndzieli. No tak! Ale co wtedy stałoby się z Wandą? Nie mógłby jej tak często spotykać. Z rozmyślań wyrwał go przejmujący dźwięk dzwonka. Zerwał się jak oparzony i, biegnąc do przedpokoju, krzyknął w stronę kuchni:

– Kasiu! Jesteś już gotowa? Szyndzielowie za drzwiami! – mówił gorączkowo, tak jakby żona mogła nie słyszeć, że goście nadchodzą.

– Dobrze, dobrze! Tylko się nie przejmuj za bardzo, kochanie! Zaraz będę gotowa – dobiegł go z kuchni spokojny głos Kasi.

Otworzył drzwi na całą szerokość.

– Witamy miłych gości! Dawno się nie widzieliśmy, dlatego radzi wam jesteśmy ogromnie! – z tymi słowami przepuścił Szyndzielów do przedpokoju.

– Dawno, to określenie raczej względne. Ten czas, kiedy nie widziałem ciebie, wydał mi się momentem, natomiast mam wrażenie, że od wieków nie widziałem twojej żony – roześmiał się Szyndziela.

– Ach, ty draniu! – Wanda pogroziła mu palcem,

udając zagniewaną. – Pamiętaj, że cieszę się względami Leszka!

Luciński zrobił zawiedzioną minę.

– To dla mnie mała pociecha! Wolałbym, abym to ja cieszył się twoimi względami! – objął Wandę i ucałował w oba policzki. Tak samo przywitał się z jej mężem. – No, zapraszam dalej. Przecież nie spędzimy wieczoru w przedpokoju!

– A gdzie Kasia? – Wanda szukała wzrokiem gospodyni.

– Już, już – rozległ się głos z kuchni. – Zaraz wychodzę!

– Kasia jak zawsze zostawia wszystko na ostatnią chwilę. – Luciński starał się usprawiedliwić żonę, ale nie wypadło to zbyt przekonująco.

– Jak się ma w domu takiego chłopca, co w kuchni palcem nie ruszy, tylko potrafi gapić się bez przerwy w telewizor, to pewnie, że nie mogą zdążyć! – Kasia ukażała się w drzwiach i podbiegła do Wandy. Pocałunkom i uściskom nie było końca.

Czułe przywitanie przerwał im Szyndziela stojący z bukietem w ręku:

– Przestańcie już! Bo mi kwiaty uschną! – zawołał.

Lucińska odwróciła się do gościa. Ten pocałował ją w rękę z przesadną uprzejmością, a następnie wręczył wiązanek różnokolorowych gerber.

– Och, dziękuję bardzo! – Radość Kasi była szczerą, gerbery należały do jej ulubionych kwiatów. – Popatrz, Leszku! Kazik to jest dżentelmen w każdym calu!

A kiedy ostatni raz dostałam kwiaty od ciebie? – mówiąc to spojrzała z wyrzutem na męża.

– Pocziesz się, że ja też już dawno zapomniałam, kiedy Kazik dawał mi kwiaty! – machnęła ręką Wanda.
– Oni wszyscy jednacy! Tylko wobec cudzych żon potrafią być rycerscy!

– Dobrze, dobrze! Może zmienicie temat! – wtrącił się do rozmowy Luciński. – Chodźcie do stołu. Nie będziemy przecież stali tak przez cały wieczór.

Wanda pierwsza siadła przy stole.

– Kiedy wróciliście?

– Wczoraj rano...

– I zamiast odpocząć, od razu nas zaprosiliście?

– Już odpoczęliśmy. I zdążyliśmy się rozpakować...

– Więc pochwal się, Kasiu, swoimi nabytkami! – poprosiła Wanda. – Bo przecież Włochy dla nas, kobiet, to przede wszystkim bluzeczki. No i złoto.

Kasia wstała z krzesła.

– Masz rację. Zostawmy mężczyzn w spokoju. Oni na pewno zaczną zaraz politykować i zastanawiać się, czy w rozwoju ekonomicznym Włochy są przed Polską, czy za... Chociaż w dzisiejszej sytuacji na pewno można powiedzieć, że są przed nami... – Roześmiały się. Jednak śmiech nie zabrzmiał beztrosko. Ująwszy się pod rękę, przeszły w głąb pokoju do regałów, na których Kasia położyła co ciekawsze z przywiezionych zakupów.

– Z tego co widzę, wyprawa wam się opłaciła? – Szyndziela zwrócił się w stronę Lucińskiego.

– O, tak! Bez wątpienia! – Luciński wypowiedział te słowa z przejęciem. – To, co zobaczyliśmy, to jest kapitał nie do stracenia! Zwiedziliśmy dokładnie Rzym. Cały czas żyliśmy jak we śnie! Znaleźliśmy się w zupełnie innym świecie. Starożytność obok nowoczesności! Do tego inny styl życia, inne warunki egzystencji...

– Opowiedz o tej wycieczce! – Wanda aż klasnęła w ręce, by w ten sposób zachęcić gospodarzy do zwierzeń.

– Choć wróciliśmy zadowoleni, zaczęę od wspomnienia smutnego. Nie mogliśmy zobaczyć papieża... Wciąż jeszcze przechodzi rekonwalescencję po zamachu – rozpoczęła relację Kasia.

– Pisała o tym szeroko nasza prasa, znamy przebieg tego wydarzenia – wtrącił Szyndziela. – Opowiadajcie lepiej, co widzieliście ciekawego.

– Dla przybysza tam wszystko jest ciekawe – podjął wątek Luciński. – Zwiedziliśmy Watykan z jego zabytkowymi budowlami, widzieliśmy Koloseum, Kapitol, fontannę di Trevi...

– Mnie najbardziej podobała się ta fontanna – przerwała mężowi Kasia. – Szczególnie wieczorem, w dyskretnym oświetleniu, wygląda urzekająco. Wrzuciłam do wody pieniędzy, by jeszcze tam powrócić.

– A sklepy! Kochani, toż to istne sezamy z bajki! Trzeba mieć tylko pieniądze, dobrze nabity portfel, i kupisz wszystko o każdej porze dnia! Nawet w nocy...

Są w Rzymie takie magazyny, nazywają się standa. Tam dostaniesz wszystko, czego dusza zapagnie: od wypożyczenia łazienki aż do artykułów żywnościowych w pełnym wyborze.

– Nie mogliśmy tylko przyzwyczać się do cen! – wtrąciła Kasia. – Wszystko w tysiącach lirów! Zwykła widokówka: tysiąc lirów! Autobus: czterysta lirów! Zupa warzywna: pięć tysięcy!

– A wiecie, że Kasia zasmakowała w ich kawie? Nazywa się to cudo „capuccino”. Filiżanka kosztuje tysiąc lirów przy stoliku, czyli „al tavolo”, a siedemset na stojaka, czyli „al banco”... Ale rzeczywiście to jest marzenie!

– A sam to nie piłeś? – Kasia udała obrażoną. – Po dwie, trzy dziennie...

– W każdym razie wrażeń moc! Jest co opowiadać przez kilka dni. Żeby to tak u nas było! Tam sklepikarz czeka na ciebie, namawia do kupna – rozmarzył się Luciński.

– Ale tłoku w sklepach nie ma? – spytała Wanda.

– Nie! Jest pusto. Nie każdy jednak może sobie pozwolić na obfite zakupy. Tam się nie kupuje w takich ilościach jak u nas: na kilogramy...

– Dobrze już, dobrze – przerwał opryskliwym tonem Szyndziela. – O tym aż do znudzenia truje nasza telewizja! Powiedzcie lepiej, co kupiliście? Co przywieźliście?

Luciński, wytrącony tak raptownie ze stanu euforii, nie wiedział przez chwilę, co powiedzieć. Wreszcie wvkrztusił:

– No, wiesz? Ty to jesteś... Nie mogę cię zrozumieć, choć znamy się już kilka lat...

– To dobrze! Oczekujesz mnie zawsze z niecierpliwością także i dlatego, że za każdym razem pokazuję ci inną, nie znaną jeszcze twarz...

– Właśnie! Dotychczas rozszyfrowałem tylko jedną z twych cech. Nie zmarnujesz żadnej okazji, by zrobić parę złotych...

– W myśl zasady: pieniądze szczęścia nie dają, ale spróbuj być szczęśliwy bez pieniędzy! – wpadł mu w słowo Szyndziela.

– Zgoda – przytaknął Luciński. – Wszystko jednak zależy od tego, jak się te pieniądze zdobywa.

– Dla mnie każda droga do pieniędzy jest dobra!

– I tu się nie zgadzamy... – Luciński celował palcem w Szyndzielę. Ten patrzył na kolegę z ledwo dostrzegalną ironią.

– To ci się tylko tak zdaje! Gdybyś mógł wziąć bezkarnie milion złotych, wziąłbyś?

Luciński zawahał się.

– Może bym i wziął – przyznał po chwili, przeciągając słowa.

– A widzisz! I tu jest pies pogrzebany! Uczciwość zależy wyłącznie od wielkości sumy i obawy przed konsekwencjami!

– A ty nic, tylko o tych pieniądzach! – wpadła mężowi w słowo Wanda. – Gdy zobaczysz paczkę zielonych, to się stajesz czerwony z wrażenia!

– A ty? Im ciuszek bardziej kolorowy, to ty coraz bledsza! – odciął się Szyndziela.

– Chodź, Wanda! – Kasia objęła w pól koleżankę. – Zostaw ich! Pomóż mi lepiej przynieść z kuchni moje poematy kulinarne!

Ze śmiechem zniknęły w drzwiach kuchni.

– Mimo że nie lubisz rozmawiać o pieniądzach – Szyndziela wrócił do przerwane go tematu – zapytam cię jeszcze o jedno: masz już po tej wycieczce forszę na samochód?

Luciński rozłożył ręce bezradnym gestem.

– Znasz moje zdolności handlowe... Są takie jak w pewnym starym dowcipie: wywożę z Polski do Bułgarii wypalane figurki z gliny. Tam wymieniam je na olejek różany. Ten z kolei wymieniam na Węgrzech na paprykę, którą w Czechosłowacji wymieniam na glinę do produkcji figurek...

– I co najciekawsze, to się opłaca! – roześmiał się Szyndziela. – Wiem, bo Kasia, zapraszając nas wczoraj, zdążyła się już trochę pochwalić...

– Ach, co to jest! To same drobiazgi! – Luciński machnął lekceważąco ręką. – Choć nie przeczę, kupiliśmy trochę złota. Powiedz mi lepiej, Kazik, co tu słychać? Prasie włoskiej nie można za bardzo wierzyć! W każdym razie informacje, które do nas docierały, nie były zbyt wesołe. Ciągłe strajki, marsze głodowe...

– Dużo i długo trzeba by o tym opowiadać. – Szyndziela machnął z rezygnacją ręką. – Pożyjesz, sam się zorientujesz.

– Panowie, kończcie już tę rozmowę, czas coś przekąsić – mówiąc to Kasia postawiła na stole gorące danie.

– Bez materiałów pędnych nawet rozmowa zwalnia tempo! – Szyndziela zaczął otwierać butelkę z wódką. – A coś włoskiego do jedzenia też przywieźliście?

– Ugotuj mu, Kasiu, makaronu i będziesz miała włoską potrawę z głowy – zażartowała Wanda.

Zaś Luciński dodał usprawiedliwiająco:

– Alkoholu żadnego nie przywieźliśmy, a to, co mamy, to jeszcze zapasy z dawnych lat. Kto by teraz stał kilka godzin w kolejce po wódkę! A szkoda! Bo jednak nasza żytniówka lub wyborowa to jest najlepszy alkohol!

– A propos: wyborowa! – Szyndziela uciszył towarzystwo ruchem ręki. – Pamiętacie Stasia Szczęcha? Przyjechał do niego niedawno jakiś pociotek z Francji. Więc, jak to u nas, Szczęch od razu nakrywa stół. Na stole stawia wyborową. Francuz, widząc to, pyta z troską w głosie: „Mon cher ami! Po co taki wydatek! Dlaczego kupiłeś tak drogą wódkę? Wystarczyłaby przecież butelczyna jakiegoś taniego francuskiego koniaku!”

Wybuchnęli śmiechem.

– Niech nas to już kosztuje! My wam nie żałujemy – Luciński dostosował się do nastroju.

– No to zdrowie! – Szyndziela podniósł do góry pełny kieliszek. – Pod ten samochód, którym państwo Lucińscy będą wkrótce wożowali!

Spełnili toast do dna.

– Właśnie – odezwała się Wanda z ustami pełnymi chleba. – Kupujecie ten wóz, czy nie? Przecież już wszyscy znajomi mają samochody, a tylko wy nie. Wkrótce Ci samochodziarze odsuną się od was! Teraz facet bez wozu to prawie trędowaty...

– No i bardzo dobrze! – W głosie Kasi zabrzmiały stanowcze akcenty. – Bo ci, co oceniają innych tylko po samochodach, nie muszą być naszymi znajomymi!

– Wiesz dobrze, Kazik, że samochód to moje marzenie. Ale wiesz także, jakie są kłopoty z kupnem.

– Jakie kłopoty! – Szyndziela był pełen zapału. – Zrobisz tak, jak ci już radziłem. Kupisz bony i masz wóz z Pewexu bez problemów. No to siup pod ten wóz. Bo może za miesiąc nawet czym wypić toastu w tym kraju płynącym dotychczas wódka nie będzie!

Przez chwilę panowała cisza. Słyszeć było tylko szcęk noży i widelcy o talerze.

– W porządku! – Luciński odłożył sztucce. – Ale gdzie ja kupię taką pakę bonów?

– Jak to gdzie? – zdumiał się Szyndziela. – Gazet nie czytasz? Tam jest wszystko dokładnie opisane! Dasz ogłoszenie o kupnie bonów i nie musisz się więcej o nic martwić! Same do ciebie przyfruną.

Luciński był nadal niezdecydowany.

– Muszę się jeszcze zastanowić... Sprzedać to włoskie złoto...

– Ty to byś tylko myślał i myślał – Kasia spojrzała

z wyrzutem na męża. – Ile nam już okazji przeszło koło nosa! A ty nic, tylko się zastanawiasz...

– Bo może jednak kupilibyśmy coś na giełdzie? – Luciński starał się bronić swoich racji. – Co o tym myślisz, Kazik?

– Na giełdzie? – Na twarzy Szyndzieli odmalowało się zdziwienie. – Czyś ty, chłopie, w tych Włoszech zmysłów nie postradał? Wiesz, co ci powiem? Jeden z moich kolegów kupił na giełdzie ładę. Na optykę istne чудо! Pojeździł nim niecały miesiąc. Do czasu gdy zachciało mu się tupnąć w podłogę – Szyndziela zawiesił głos w dramatycznej pauzie.

– I co? – nie wytrzymała Kasia.

– Ano nic. Wóz co prawda się nie rozleciał... No-dze kolegi też się nic nie stało... Tylko gdyby nie asfalt, noga kolegi spowodowałaaby „chiński syndrom”.

– Co by spowodowała? – nie zrozumiała Wanda. – Wyrażaj się jaśniej!

– „Chiński syndrom”. To znaczy, że przebiłaby kulę ziemską i wyszła na powierzchnię w Chinach!

– O jej, jej! – Wanda udała zdumienie. – Jakiego ja mam uczonego męża!

– To zdrowie naszego uczonego! – wznosił toast Luciński. – A teraz poważnie!

– Uwaga! To coś nowego! Bo ja, jako żona, nigdy nie mogłam z nim serio porozmawiać! – przerwała mężowi Kasia.

- Mówię poważnie! – powtórzył Luciński. – Zdecydowałem się! Jutro daję ogłoszenie o kupnie bonów!
- W górę serca! Trzeba to uczcić! Zdrowie zdecydowanego mężczyzny! – Szyndziela wzniosł kieliszek do ust i wychylił go jednym haustem. – A złoto kupuję od ciebie w każdej chwili.

Rozdział 2

Inżynier Luciński, mimo widocznej już skłonności do tycia, żwawo wbiegł po schodach na pierwsze piętro biurowca, w którym pracował. Przed wyjazdem do Włoch miał tu trochę kłopotów. Ot, chociażby po tym, gdy skrytykował na jednej z porad produkcyjnych zastępcę dyrektora za wykorzystanie samochodu do celów prywatnych w czasie, gdy akurat trzeba było pojechać do Ministerstwa z dokumentacją nowego panela do centrali automatycznej. Rezultat? Przy najbliższym rozdziale premii „zapomniano”, że brał udział w opracowywaniu usprawnienia. Albo gdy ujął się za jednym z kreślarzy, oskarżonym o błąd w dokumentacji, powstały nie z jego winy. Chłopaka obronił. Lecz od tego czasu do uszu Lucińskiego zaczęły dochodzić różne, niczym nie udokumentowane opinie: a to że od tego chłopaka dostał jakiś drogi upominek, a to że jeden z jego kolegów siedzi... Niektórzy twierdzili autorytatywnie:

Wiadomo! Jak się ma takich kolegów, którzy siedzą, to i samemu nie jest się takim czystym.

Mimo to Luciński lubił swoje biuro. Lubił też kolegów. Zreflektował się. Może raczej niektórych kolegów. Lubił to, nad czym pracował. Ostatni tydzień urlopu, który mu jeszcze został po powrocie z Włoch, okropnie mu się dłużył. Chciał jak najprędzej znaleźć się w biurze. Poza tym był ciekaw zmian, jakie zaszły w Instytucie. Lato tego 1981 roku było przecież gorące... Spotkał się co prawda jeszcze raz z Szyndzielą, który opowiedział mu w miarę dokładnie, co działo się w pracy, kiedy on przebywał we Włoszech. Ale nie bardzo w to wierzył. Szyndzielą nigdy nie był obiektywny. Dlatego wolał zobaczyć wszystko na własne oczy i samodzielnie wyciągnąć wnioski. Że ludzie zaprotestowali przeciwko temu, co się dzieje w kraju, to w jego przekonaniu było słuszne. Dostał już kilka razy po uszach za mówienie prawdy, za krytykowanie niewłaściwego postępowania przełożonych, za wskazywanie na brak rozsądnej, ekonomicznej gospodarki. Z drugiej strony nie podzielał entuzjazmu Szyndzieli do strajków. Nie podobały mu się kategoryczne stwierdzenia przyjaciela, że „my im teraz pokażemy”, „my ich krótko weźmiemy”. Czyli znów to samo, co było, tylko w wykonaniu innych ludzi. Co zastanie w pracy? Czy tych kilku nieuków, bufonów, nie znających się na rzeczy, a ferujących wyroki ze swych wysokich stołków odeszło, czy też nie? Co się dzieje z kolegami? Śmielą, Lisieckim, Gonerą? Czy tak

porządny i uczciwy człowiek, jak kierownik pracowni Wyborski, nie został usunięty? Mogło się to zdarzyć, bo przy wszystkich „rewolucjach gabinetowych” padają ofiarą przeważnie ludzie uczciwi, nie umiejący rozpychać się łokciami, nie należący do żadnych koterii, ci, którzy zbyt późno orientują się, do kogo należy się przylepić.

Pchnął energicznie drzwi do pracowni. Zatrzymał się na chwilę w progu. Na widok stojących w równym szeregu desek kreślarskich jego twarz okraślił szczerzy, szeroki uśmiech.

– Cześć pracy! – krzyknął radośnie w stronę kolegów. Byli tak zajęci rozmową, że nawet nie zwrócili uwagi na otwierane drzwi.

Teraz wszystkie głowy jak na komendę obróciły się w jego stronę. Na powitalny okrzyk pierwszy zareagował Gonera, jego najbliższy kolega, z którym wspólnie kończyli Politechnikę.

– O! Jest nasz urlopowicz! – Podbiegł do Lucińskiego i uściskał go serdecznie. – Dobrze, żeś wrócił! Bo to tak dziwnie pracować wiedząc, że jeden z kolegów wygrzewa się pod pięknym niebem Italii. A my tu tymczasem na pierwszej linii w walce o porządek i sprawiedliwość! Ciebie było nam brak! Potrzebujemy teraz ludzi uczciwych!

Luciński z uśmiechem witał się z pozostałymi.

– Ale miał pan pogodę! – wykrzyknął Jerzy Kozłowski, jeden z najstarszych pracowników biura konstrukcyjnego. – Opalił się pan na Murzyna!

– Cóż chcecie! Każdy ma taką pogodę, na jaką zapracował! – odrzekł żartobliwie Luciński.

– Opowiadaj, co widziałeś w świecie?

– Zaraz, zaraz! Wróciłem pełen chęci do pracy. Po powrocie zetknąłem się z nową sytuacją naszego kraju, a wy chcecie, bym opowiadał o swoich podróżach? Na to mamy zawsze czas. Chcę przede wszystkim wiedzieć, co się dzieje u nas?

– Ma rację! Gdy myśmy robili odnowę, on się wałkonił! – stwierdził Śmiela, szczupły, raczej drobny szatyn z ostro zakończoną hiszpańską bródką i zabójczo podstrzyżonymi wąsami. – Niech więc bierze się do roboty! A w ogóle to trzeba go dokooptować do zarządu naszego związku! Trzeba nam ludzi uczciwych, mądrych.

– To niech się bierze do roboty! Tylko odpowiedz nam jeszcze na jedno pytanie: czytałeś dzisiejsze „Życie Warszawy”?

– Nie, nie czytałem. – Luciński był zaskoczony tą nagłą zmianą tematu.

– To, bracie, dużo tracisz. – Do Lucińskiego podszedł Lucek Kugel, niosąc przed sobą rozpostartą gazetę. – To sobie poczytaj... Tu, gdzie zaznaczone czerwonym ołówkiem – podsunął koledze właściwą stronę. – Czytaj na głos!

Luciński położył gazetę na biurku. Głośno i wyraźnie przeczytał:

– „Kupię bony. Telefon jedenaście, osiemdziesiąt, jedenaście od dziesiątej do szesnastej”. O rany! To już jest!

– A widzisz! To tak, jakbyś już samochód miał w

garażu. – Lisiecki, który wcześniej znał marzenie kolegi, klepnął Lucińskiego w plecy.

Stojący z boku Kozłowski nachylił się do ucha Kugela:

– Pan to musi tyrać za te parę złotych. A taki jeden z drugim nie dość, że jeździ za granicę, to jeszcze szasta gotówką jak jakiś milioner!

– Jest u nas kombinatorów, panie Jerzy! „Kultury u nich nie ma, ale jaka technika”, jak powiedział o polskich kolegach złodziej z zaprzyjaźnionego kraju.

Kozłowski podszedł do Lucińskiego.

– Gdyby to było przed wojną, panie Luciński, to mając takie pieniądze, miałby pan i lokaja! – rzekł z przekąsem.

– Gdyby to było przed wojną, panie Kozłowski, to prawdopodobnie sam byłbym tym lokajem! – odparował Luciński.

Nieprzyjemną sytuację rozładowało wejście inżyniera Wyborskiego, kierownika pracowni.

– Dzień dobry panom! Co to za dyskusje! Już prawie pół do dziesiątej, a panowie jeszcze nie przy swoich biurkach? Ale o nagrody będziecie się upominali? Kolego Gonera, co z tymi próbami przystawki nagrywającej?

– Właśnie dziś chcę przeprowadzić ostatnie próby.
– Gonera, który na widok każdego przełożonego tracił panowanie nad ruchami, starał się uruchomić urządzenie. Robił to w pośpiechu, z lekko trzęsącymi się rękami, więc nie bardzo mu się udawało.

– Coś to za długo trwa! Mieliśmy ją zgłoszoną w planie do końca roku. Czasu zostało niewiele, a my jeszcze jesteście na etapie prób.

– Trzeba było zmienić liczbę zwojów w dławiku, bo dawał nam za duże parametry. Teraz powinno być w porządku. Zaraz zacznę próbę i przygotuję ostateczne wyniki... – Inżynierowi Gonerze udało się wreszcie przymocować przyssawkę urządzenia do aparatu telefonicznego. Sprawdził sprawność magnetofonu.

– Będę czekał na opinię. – Inżynier Wyborski podszedł z kolei do Lucińskiego. – Witam pana! Co słychać? Jak się pan czuje w tym starym, ale przemeblowanym domu? Bo tak można nazwać tę naszą nową sytuację...

– Mam kończyć rozrysowanie urządzenia TW-120. Zostało jeszcze kilka szczegółów...

– Dobrze. Bo mam dla pana następną pracę. A o sytuacji w zakładzie porozmawiam z panem później. Będzie mi pan potrzebny. – Inżynier Wyborski rozejrzał się po sali. – Do roboty, panowie! Dyskusje proszę zostawić na później. Tu się nie płaci za dyskusje.

Wyborski skierował się w stronę wyjścia. W pokoju panowała idealna cisza. Dopiero gdy drzwi się zamknęły, dało się słyszeć westchnienie ulgi.

– Ale ostry! Co za nieużyty człowiek! Nic dla niego nie istnieje prócz pracy! Gdy niedawno nasz zakład strajkował, on kazał nam pracować. Twierdził, że strajkami Polski nie zreformujemy!

– Trzeba by go było załatwić przez nowy związek.

– Ja tam wiem jedno! Jakoś się trzymam na swoim stanowisku, a kierowników w tym czasie miałem już pięciu – rzekł tonem nie, dopuszczającym dyskusji Lisiecki. I zwracając się do Lucińskiego, spytał: – A jak tam twoje zakupy filatelistyczne? – Lisiecki, tak jak Luciński, interesował się filatelistyką..

– Kupiłem kilka ciekawych serii. Przy kupnie jednej z nich miałem przyjemną niespodziankę. Trafiłem na serię z Somali Włoskiego. Szukałem jej od kilkunastu lat. A tu jest! W pięknym stanie. Pytam, ile kosztuje. Tysiąc osiemset lirów. Mówię więc, że biorę. I dodaję, że w Polsce szukałem jej od wielu lat. Że jest mi potrzebna do mego tematu. A na to sklepikarz: To pan z Polski? W takim razie płaci pan tylko tysiąc lirów!

– Niemożliwe! – zdziwił się Lisiecki. – To tak nas lubią? A ja myślałem, że z powodu tych strajków i w ogóle zachwianej gospodarki mają nas za bałaganiarzy...

– Lubią, lubią! Wszystko przez osobę papieża Polaka. Mamy teraz we Włoszech przychylną dla nas atmosferę.

– No, skoro szef poszedł, opowiedz, co tam widziałeś ciekawego podczas tych swoich wojaży – wtrącił się do rozmowy Gonera.

I tak na interesującej rozmowie upłynęło im kilka służbowych godzin.

*

Kremowy fiat 125 skręcił powoli z Komarowa w Odyńca. Minąwszy kiosk z kwiatami, zatrzymał się przed budką telefoniczną. Siedzący za kierownicą mężczyzna powolnym ruchem uchylił drzwiczki wozu. Wysiadł. Strzepnął z kolan niewidoczny pyłek. Był wysoki, dobrze zbudowany, ubrany w nieskazitelnie skrojony brązowy garnitur. Jego szeroka twarz zdradzała człowieka stanowczego. Rozejrzał się dookoła i powolnym, spokojnym krokiem podszedł do budki. Otwierając drzwi, jeszcze raz rozejrzał się wokół, jakby sprawdzał, czy ktoś go nie obserwuje. Zamknął za sobą dokładnie drzwi. Ręką odzianą w irchową rękawiczkę zdjął z wیدهlek mikrotelefon.

*

W pracowni panowała niczym nie zmacona cisza. Konstruktorzy, pochyleni nad deskami kreślarskimi, skoncentrowali się na swej pracy. Zmęczyła ich ta rozmowa o Włoszech. Uraziła też dumę własną. Wyzwoliła cechę tak popularną wśród Polaków: zazdrość.

Luciński przesunął przykładnicę i dotknął ołówkiem kalki technicznej. Już miał nakreślić kolejną prostą, gdy w ciszę pracowni wdarł się ostry terkot dzwonka telefonu. Ręka inżyniera drgnęła, zamiast linii prostej narysował duży, łamany łuk.

Inżynier Gonera, siedzący obok telefonu ze swoja,

przystawką nagrywającą, jakby tylko czekał na sygnał. Błyskawicznym ruchem podniósł mikrotelefon.

– Biuro projektów, słucham!

W słuchawce dał się słyszeć przytłumiony głos:

– Ja w sprawie ogłoszenia w dzisiejszym „Życiu Warszawy”...

– W tej chwili! – Inżynier Gonera zakrył mikrofon ręką. – Leszek! Już masz pierwszego klienta!

Podał mikrotelefon koledze.

– Tak, słucham! – zawołał Luciński, trochę przejęty sytuacją.

– Pana interesuje kupno bonów...

– Tak.

– Ile?

– To zależy od ceny.

– Dwieście czterdzieści. – Nieznany rozmówca był szalenie lakoniczny.

– Trochę za drogo. – Luciński nie krył swego rozczarowania.

– Możemy się dogadać... Wszystko zależy od tego, ile pan potrzebuje.

– Trzy tysiące pięćset – niepewnie, jakby bojąc się przerazić oferenta wysokością kwoty, wyjąkał Luciński.

– To może być po dwieście.

Inżynier milczał niezdecydowany.

– Halo! Słyszysz pan?

– Słyszę! Słyszę! – Luciński wrócił do rzeczywistości. – Dobrze! Zgadza się!

– Cieszę się z tego! Proszę zapamiętać: spotkamy się jutro o godzinie jedenastej na rogu Kazimierzowskiej i Raclawickiej. Będę na pana czekał w wiśniowym fiacie 125p. Numer rejestracyjny: WG 8608. Moje nazwisko: Nowak. Zapamiętał pan?

– Tak, tak! – szybko przytaknął inżynier. – Proszę pana...

– Tak?

– Muszę się zwolnić z pracy. Dlatego chciałbym wiedzieć, ile czasu potrzebujemy na transakcję? Załatwimy to w samochodzie?

– Pojedziemy... Ale droga tam i z powrotem nie zajmie nam więcej niż dwie godziny. Proszę pamiętać: spotkamy się punktualnie o jedenastej. Jeśli spóźni się pan choć trochę, będę musiał odjechać.

*

Luciński nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok. Prawie całą noc myślał o czekającym go spotkaniu. Gdy tylko zmógł go sen, zaraz budził się z lękiem. Bał się, że zaśni i spóźni się do pracy. Wreszcie Kasia, zdenerwowana zachowaniem męża, krzyknęła:

– Nie możesz spać, to siadź w fotelu! Albo weź coś na sen! Ale daj mi wreszcie usnąć! Jeśli boisz się o pieniądze, to nie jedź!

– Nie, to nie o to chodzi! – starał się usprawiedliwić. – Nie boję się o pieniądze. Tylko nie lubię takich transakcji. Poza tym wreszcie zrealizuję swoje marzenie.

Kupimy samochód. Chciałbym go już mieć!

– Wyobrażam sobie, co się wtedy będzie działo! – Kasia westchnęła z rezygnacją. – Będziesz jak lunatyk bez przerwy biegał do okna!

– A co ty myślisz? Wiesz, ile jest kradzieży?

– To kup malucha! Będziesz mógł go trzymać w łazience! – po tych słowach Kasia gwałtownym ruchem odwróciła się na drugi bok i naciągnęła kołdrę na głowę.

Gdy wreszcie zaczęło się rozjaśniać, z piersi Lucińskiego wyrwało się westchnienie ulgi. Och, żeby to była już jedenasta! Żeby mieć to z głowy! Nie czekając na dzwonek budzika, zerwał się z łóżka i poszedł do łazienki. Ogolił się, umył, zrobił sobie śniadanie. Do wyjścia pozostało mu prawie czterdzieści minut. Postanowił nie czekać do właściwej pory, ale wyjść wcześniej i przejść się. To mu dobrze zrobi, uspokoi się trochę.

Od domu do miejsca pracy miał niedaleko, ot, może z półtora kilometra. Szedł powoli, planując w myślach, jak to będzie, kiedy już kupi samochód. Między blokiem, w którym mieszkał, a blokiem sąsiednim dwu sąsiadów postawiło garaże z blachy falistej. Jest tam jeszcze miejsce na jeden garaż. To będzie jego garaż. Najlepiej zagospodarowany. I o swój wóz też odpowiednio zadba. To będzie najbardziej wypucowany i najlepiej wyposażony samochód w okolicy. Magnetofon, z tyłu dwa głośniki, różne eleganckie gałki i ozdóbki. Myśląc o tym wszystkim cieszył się jak dziecko. Dopiero w ostatniej chwili spostrzegł, że znajduje się

przed wejściem do biura.

Przywitał się z kolegami. Otworzył szafę. Rozłożył na biurku dokumentację. Pozostało mu jeszcze trochę obliczeń do zakończenia pracy, nad którą śleczął ostatnio. Siadł, wpatrzony w leżące przed nim papiery. Ale myślał o samochodzie. Był podniecony. Zamiast obliczeń i schematów miał przed oczyma wóz. I siebie za kierownicą. Zatrzymał przechodzącego obok Gonere.

– Andrzej! Dziś spotykam się w sprawie bonów...

– Wiem! Przecież całe biuro słyszało, jak się wczoraj umawiałeś!

– O jedenastej! – Spojrzał nerwowo na zegarek. – Dopiero wpół do dziesiątej... Ale to aż na Mokotowie, róg Raławickiej i Kazimierzowskiej. Trzeba czasu na dojazd.

– Tylko spokojnie, nie denerwuj się! – Gonera poklepał Lucińskiego po ramieniu. – Nie będą cię tam mordowali!

– No nie! Ale nie lubię takich transakcji. – Przytrzymał za rękę odchodzącego. – Andrzeju... – przerwał, nie kończąc myśli.

– Co takiego? – Gonera zatrzymał się.

– Może pojedziesz ze mną? To duża transakcja, prawie siedemset tysięcy złotych.

– No to co? Chcesz mieć wóz? To się trochę pomęcz! Nie ma nic bez kłopotów!

– Tak! Zgoda! Lepiej jednak mieć świadka. To ja-koś pewniej... I potargować się można...

– Znam ten ból! – Gonera roześmiał się. – Więc o co ci chodzi?

– Jedź ze mną! Będzie mi raźniej.

Gonera zawahał się przez chwilę.

– No dobrze! Niech ci będzie! – klepnął Lucińskiego po plecach. – Zwolniłeś się już u starego?

– Jeszcze nie! – Luciński poderwał się z krzesła. – Zupełnie zapomniałem!

– To na co czekasz! Wal do niego! I zwolnij mnie. Niech to mnie kosztuje!

Patrzył z uśmiechem na Lucińskiego, przemierzającego pokój szybkim krokiem. Kiedy kolega zniknął za drzwiami, podszedł do swego biurka. Zaczął od początku czytać fragment sporządzonego właśnie protokołu z prowadzonych przez siebie doświadczeń z przystawką nagrywającą. Przeczytał do końca napisany już tekst. Chciał pisać dalej, gdy podbiegł do niego rozradowany Luciński.

– Szef nas zwolnił! Ciebie i mnie! Ale tylko na trzy godziny! – To nam wystarczy!

Gonera spojrział na zegarek.

– Już dziesiąta! Pora iść. Zanim się z tej Pragi doczłapiemy na Mokotów, to i godzina może być za krótka.

Wyszli przed Instytut. Gonera kroczył powoli, interesując się bardziej chmurami na niebie niż tym, co się działo wokół niego.

– Chodź prędzej, bo się spóźnimy! – Luciński dla odmiany rozglądał się nerwowo dookoła, ciągnąc niecierpliwie kolekę za rękaw marynarki.

– Ależ ty jesteś roztrzęsiony! – zdziwił się Go» nera. – A zawsze uważałem cię za opanowanego, zrównoważonego mężczyznę.

– To tylko teraz... Nie dziw się: samochód!

– Wiem, wiem! To twoje hobby! Tak jak z Kozłowskim można tylko o rybach, z Lisieckim o znaczkach, to z tobą tylko o samochodach! No i też o znaczkach!

– Każdy ma swojego mola, który go gryzie.

– Ciebie to nawet żre, a nie tylko gryzie! Ale przestrzegam cię! Cmentarze są pełne ludzi, którym się spieszyło!

Nagle rozległo się wołanie:

– Andrzej! Andrzej!

Obejrzeni się. Machając ręką, biegła w ich stronę żona Gonery.

– Co się stało? – Gonera, trochę zaniepokojony, patrzył wyczekująco na żonę.

– Witam cię, Leszku! – Gonerowa podała rękę Lucińskiemu, a męża cmoknęła w policzek. – Nic się nie stało! Nie rób zaraz takiej przerażonej miny! Dokąd idziecie?

– Załatwić z Leszkiem jego prywatną sprawę A bo co?

Gonera był nadal niespokojny. Z doświadczenia wiedział, że takie niespodziewane spotkania nie wróżą nic dobrego.

– To mam szczęście, że was zobaczyłam! Szłam właśnie do ciebie, do biura...

– Powiedz mi wreszcie, co się stało?

– Nic takiego. Jednak dla mnie jest to sprawa życia

i śmierci! Byłam teraz w domu meblowym. Mają tam ten niemiecki komplet, wiesz który? Ten, który tak ci się podobał!

– No i co?

– No i nic. Już za niego zapłaciłam. Trzeba go tylko szybko zabrać!

– Nie mogą poczekać parę godzin?

– Nie, bo pracują już „po nowemu”, jak powiedział ten facet w sklepie. To znaczy, że teraz dużo różnych kontroli, ludzie wszędzie węższą nadużycia, rozumiesz, te różne samorzady kolejkowe, dlatego forsa do rączki i komplet zaraz znika. Jeśli postoi trochę, to nie gwarantują, czy go odbiorę. Złapiesz jakąś bagażówkę i ładujemy.

– Ale obiecałem Leszkowi...

– Ja rozumiem. Jednak Leszek też zrozumie naszą sytuację. Przecież teraz meble to jak woda dla ryby! – We wzroku Gonerowej, skierowanym na Lucińskiego, malowało się błaganie. – Leszku, kochany! Naprawdę nie możesz sam?

– Nie ma sprawy! Idź, Andrzej! To dla was teraz najważniejsze. Ja sobie dam radę.

– To cześć, stary! Powodzenia! – Gonera, pociągnięty za rękaw przez żonę, zdążył jeszcze wykrzyczeć słowa pożegnania.

Luciński pomachał im ręką. Poszedł w kierunku przystanku. Na autobus nie czekał długo. W Śródmieściu też zaraz miał przesiadkę. W rezultacie na miejscu spotkania znalazł się parę minut przed umówioną porą. Skrzyżowanie Raławickiej z Kazimierzowską było o

tej porze puste. Zresztą i w godzinach nasilenia ruchu była tu zawsze oaza ciszy i spokoju. Tylko od czasu do czasu jakiś samochód przemknął Raławicką. Na placach po obu stronach Kazimierzowskiej kręciło się parę osób z psami. Luciński patrzył niespokojnie raz w jedną, raz w drugą ulicę. Po kilku minutach serce zabiło mu mocniej. Poczul na twarzy falę ciepła. W perspektywie ulicy Kazimierzowskiej od strony Dąbrowskiego dostrzegł nadjeżdżającego wiśniowego fiata. Ten, czy nie ten? Odczytał numer zbliżającego się wozu. Ten! Fiat podjechał do skrzyżowania. Zatrzymał się. Luciński podszedł do samochodu. W okienku obok kierowcy zobaczył głowę mężczyzny.

– Pan był z nami umówiony?

– Tak. Z, panem Nowakiem.

Mężczyzna w wozie otworzył drzwi.

– Proszę. Zgadza się. Ja jestem Nowak.

Luciński siadł na tylnym siedzeniu. Mężczyzna za kierownicą, nie odwracając się, podał Lucińskiemu rękę na powitanie. Pasażer o nazwisku Nowak odwrócił się do Lucińskiego profilem.

– Lubię ludzi punktualnych – mówił z lekkim uśmiechem. – Dziś jest to cecha obca większości naszych obywateli! Dlatego pan już cieszy się moją sympatią! – Jeszcze raz uściśnął Lucińskiemu rękę.

Fiat ruszył do przodu „z kopyta”. Luciński z miejsca poczuł szacunek dla kierowcy. Prowadził samochód ostro, ale pewnie. Wkrótce i ja będę tak rwał do przodu! – pomyślał z rozmarzeniem.

Rozdział 3

Wiśniowy fiat szybko mknął ulicą Puławską w stronę Wycigów.

– Dokąd jedziemy? – spytał Luciński, patrząc z niepokojem na zegarek. Zwolnił się z pracy tylko na trzy godziny. Może to i dużo, ale nie lubił się spóźniać. To było jak choroba. Wolał być zawsze pół godziny przed umówionym terminem niż minutę po. I zawsze zdawało mu się, że nie zdąży na czas. Dlatego słowa Nowaka o punktualności sprawiły, że zaufał temu obcemu człowiekowi.

– To rzecz względna – odpowiedział Nowak patrząc przed siebie. – Piechotą to daleko. Ale wozem to raz dwa.

– Jedziemy poza Warszawę? – Luciński był trochę zaskoczony sytuacją..

– Właściwie to zaraz za granicę stolicy. Do Dąbrówki...

– A nie można dokonać transakcji tu, w samochodzie?

– Proszę pana! Za kogo pan nas bierze! – w głosie Nowaka zabrzmiało oburzenie. – Za zwykłych cinkciarzy? Przecież tu nie chodzi o kilka dolarów, sprzedanych w bramie. To jest transakcja, wymagająca właściwej oprawy.

– Zgoda! Tylko ja wyszedłem z pracy – próbował się tłumaczyć Luciński.

– Niech się pan nie boi! Odwieziemy pana. A sama sprawa nie zajmie dużo czasu. Wiadomo, że taką transakcję trzeba uczcić. Choćby jednym kieliszkiem koniaku. Żona już wszystko przygotowała, tak że nie będziemy musieli marnować czasu na czekanie. Wypijemy kawkę, przypieczętujemy transakcję koniaczkiem i lecimy z powrotem. Odwieziemy pana do biura. Rozumie pan, że to, co robimy, to duży interes. Dla mnie bardzo dobry. Od razu sprzedaję większą ilość bonów. To duży fuks. Nieczęsto się zdarza.

– I dla pana to nie lada gratka – wtrącił się do rozmowy mężczyzna, prowadzący fiata. – Nie dość że tanio, to od razu cała suma.

Samochód skręcił z Puławskiej w boczną drogę. Przejechali kilkaset metrów między willami, błyszczącymi jeszcze świeżymi tynkami. Gdzieś widać było domki, obudowane kurnikami, drewnianymi i pakamerami. Mijali coraz rzadsze zabudowania. Wjechali w las. Fiat zwolnił. Jechali teraz zwykłą, polną drogą. Koła wpadały często w zagłębienia, co wprowadziło samochód w ruch wahadłowy. Luciński, rzucając z jednej strony na drugą, zaparł się rękami w siedzenie. Samochód toczył się coraz wolniej. Po przejechaniu jeszcze kilkudziesięciu metrów zatrzymał się.

– Co się stało? – Nowak był wyraźnie zaskoczony sytuacją. – Nie zatrzymuj się. Przecież słyszałeś, że ten pan się spieszy!

– Wiem. Słyszałem. – Kierowca był podenerwowany. – Wiesz przecież, że od wczoraj mam kłopoty z żołądkiem. Co na to poradzę?

– Trzeba było nie jeść różnych świństw.

– Czy to świństwo, wiesz dopiero po tym, jak je zjesz. A wtedy jest już za późno na decyzję. – Mężczyzna, siedzący za kierownicą, otworzył drzwi wozu.

– Poczekaj. Może wytrzymasz. Do domu już niedaleko.

Kierowca machnął niecierpliwie ręką, jakby oganiał się przed muchami, i pobiegł w stronę kępy drzew.

– No to cóż – rzekł Nowak do Lucińskiego. – Nie będziemy siedzieli w wozie. Odetchniemy trochę świeżym powietrzem. – Otworzył drzwi.

Stanął obok wozu i wyciągnąwszy ręce przed siebie wykonał kilka przysiadów.

Lucińskiemu nie bardzo chciało się wysiadać, ale widząc gimnastykującego się Nowaka pomyślał, że nie zaszkodzi trochę rozprostować kości, i też wyszedł z samochodu.

– Mój brat to straszny łakomczuch – Nowak starał się usprawiedliwić współtowarzysza podróży. – Poszedł wczoraj z kolegami do jakiejś podrzędnej knajpy. Zjadł coś, czort wie co, i oto rezultaty. Od rana to już trzeci raz...

– Zdarza się – przytaknął Luciński, wchodząc w las. – Przy naszej gastronomii i tym podłym zaopatrzeniu... Nie wiadomo już, co się je i z czego to jest zrobione.

Stanął pod drzewem. Nowak skierował się w jego stronę. _

– Ma pan rację. Trzeba skorzystać z okazji. Na świeżym powietrzu lepiej się susia.

Roześmieli się. Nowak stanął obok Lucińskiego.

Nagle inżynier poczuł potworny ból. Jakby tył głowy pękł na drobne kawałki. Zdawało mu się, że cały mózg wywraca mu się na drugą stronę, potem ktoś ten mózg ujmuje w kleszcze i chce brutalnie wyrwać z czaszki. W oczu uderzyło go jasne światło, tak jakby rozbłysło jednocześnie kilkanaście reflektorów. Potem zapanowała ciemność. Luciński zaczął spadać w chłodną otchłań bez dna. I to już było wszystko, co zdołała zarejestrować jego świadomość...

Nowak odrzucił na bok gruby pręt. Schylił się nad Lucińskim i nerwowo zaczął przeszukiwać kieszenie jego marynarki. Z wewnętrznej wyjął portfel. Szybko go przejrzał. Znalazł kilka banknotów. Wyjął je, a portfel włożył na miejsce. Szybkimi, nerwowymi, ale sprawnymi ruchami przetrząsał pozostałe kieszenie. W lewej natrafił na niebieską kopertę. Otworzył ją. Była pełna banknotów. I te schował.

– Janek! – krzyknął; spośród drzew wyszedł kierowca fiata. – Bierz z bagażnika saperkę i kop dół!

– Jak to: dół? – mężczyzna był zaskoczony.

– Mówię wyraźnie: kop dół! Szybko! – Nowak był coraz bardziej zdenerwowany. – Nie będziemy tu stercieli, aż nas ktoś nakryje!

Z ust Lucińskiego wyrwał się cichy jęk.

– Ależ on żyje!

– Bierz go za nogi! Trzeba go przenieść w głąb lasu.

– Mieliśmy go tylko ogłuszyć. – Kierowca stał jak skamieniały.

Nowak podbiegł do współnika, złapał za ramiona i potrząsnął kilka razy.

– Słyszysz, co mówię? – Głos jego był pełen wściekłości. – Bierz łopatkę i kop! Bo zostaniesz tu razem z nim...

Tamten chwycił łopatkę. Kopał jak w transie. Miejsce było raczej piaszczyste, bez grubych korzeni czy chwastów. Po piętnastu minutach dół był gotowy.

– Bierz go za nogi i do dołu! – rozkazał Nowak.

– Ale on jeszcze żyje! – z rozpaczą w głosie powtórzył kierowca.

– To co? Przysypimy go ziemią, to zaraz przestanie oddychać.

Nowak odepchnął niezdecydowanego współnika. Zaczął łopatką zasypywać dół. Gdy ziemia została wyrównana, narzucił na wierzch liście, gałęzie i kawałki darniny. Spojrzał na swoje dzieło. Otrzeptał ręce jak gospodarz po dobrze wykonanej pracy.

– No, to jedziemy! Najpierw nad staw.

Pchnął kierowcę, który nadal sprawiał wrażenie sparaliżowanego. Jechali tą samą drogą, jednak nie skręcili w stronę Puławskiej, a zjechali serpentyną nad zarośnięty trzciną staw. Wysiedli. Janek wyjął z bagażnika kubełek i pojemnik z płynem do mycia samochodów. Nic

nie mówiąc i starając się nie patrzeć na Nowaka, nabrał wody ze stawu i polał nią samochód. Następnie spryskał go płynem. Ujął w rękę szczotkę i energicznie, raz koło razu, szorował karoserię. Spod wiśniowej farby zaczął się ukazywać kolor kremowy. Nowak wycierał ścierką do sucha umyte fragmenty fiata. Pracowali w milczeniu. Zdawało się, że to nie są już ci sami dwaj mężczyźni. Coś nieokreślonego, jakby jakaś ciężka zasłona, spadło między nich. Gdy już prawie cały fiat przybrał kolor kremowy, Nowak zwrócił się gniewnym tonem do Jan-ka:

– Zmień tablice rejestracyjne!

Tamten bez słowa sięgnął po śrubokręt. W miejsce dawnych tablic przykręcił nowe, wyjęte z bagażnika. Nowy numer rejestracyjny wozu ani w jednym znaku nie był zbieżny z poprzednim. Nowak wylał resztę brudnej wody z kubła, wrzucił go do bagażnika. Od szosy posłyszeli daleki, jednostajny szum. Coś, co mogło przypominać warkot nadjeżdżającego samochodu.

– Szybko do wozu! Niech nas lepiej tu nikt nie w-
dzi! – zakomenderował Nowak.

Ruszyli z miejsca na pełnym gazie. Przy wyjeździe na drogę obejrzeni się trwożnie w obu kierunkach. Nikogo ani niczego nie było widać. Jednak gdy byli już na szosie, zza drzewa wyskoczyła jakaś syrenka z warszawską rejestracją.

– Tabliczki wzięłeś? – spytał Nowak.

Janek spojrzął na niego nieprzytomnym wzrokiem. Dopiero po chwili zrozumiał pytanie.

– O, cholera! Jedna została nad stawem!

– Trudno! Nie mamy już czasu, by po nią wracać.

Mimo opanowania i bezwzględności i on chciał być jak najdalej od miejsca zbrodni.

Rozdział 4

Kapitan Jerzy Morawski biegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Jednak przeliczył się z możliwościami. Już od połowy piętra zwolnił tempo. Gdy sięgnął po klucze do mieszkania, był porządnie zmęczony.

Cóż robić? – pomyślał. – Im więcej srebra na naramiennikach, tym coraz ciężiej.

Otworzył drzwi i wszedł do przedpokoju. Rzucił teczkę na stojący w rogu stoliczek.

– Dzień dobry! Już jestem! – krzyknął wesoło w głąb mieszkania.

W drzwiach kuchni ukazała się głowa żony. Jej mina nie wróżyła nic dobrego, a już na pewno nie zapowiadała przyjemnego popołudnia.

– Dobry! Co się stało, że tak wcześniej? Przecież dopiero druga.

– Skończyłem właśnie sprawę, którą prowadziłem. Wziąłem na jutro wolne, a dziś szef pozwolił mi wyjść wcześniej.

– To dobrze się składa. – Głos pani kapitanowej nie był przesycony słodyczą. – Bo właśnie trzeba odebrać pranie, przybić w łazience haki, bo te, co były, to się wyrwały, zanieść radio do naprawy, pójść w

kolejkę i kupić coś z mięsa. I zapastować podłogę, bo nabrudzić to jest komu, ale sprzątnąć nie ma kto. Aha! Jeszcze pojedziesz na pocztę wyjaśnić sprawę tej paczki dla mamy. Po drodze odbierzesz buty od szewca.

– Ależ, Teresko! Jestem skonany! Tyle dni harowałem od rana do wieczora. Chciałbym trochę odpocząć – kapitan starał się przerwać ten potok słów.

– Najlepiej odpoczywa się przy pracy fizycznej.

– To dlaczego stale narzekasz, że jesteś w domu robotnikiem, a przy tym stale zmęczona? – mówiąc to, Morawski przeszedł do pokoju. – Cześć, Marek. – Machnął ręką ku stojącemu w rogu pokoju synowi.

– Cześć, tato. – W głosie siedmiolatka nie było entuzjazmu.

– Coś taki poważny? Zbroiłeś coś?

– Eee, nie... Tylko wiesz, jaka jest mama.

Dalszą wymianę zdań przerwało wejście Morawskiej.

– Jeszcze jedno. Bądź łaskaw zająć się wreszcie wychowaniem swego syna. Bo jak tak dalej pójdzie, to nie gwarantuję, co z niego wyrośnie.

– Co się stało?

– Wyobraź sobie: wchodzę do pokoju, a tu pan Mareczek grzebie w szufladzie kredensu. Pytam, czego tam szuka. Czekolady, odpowiada najspokojniej. Pytam, kto mu pozwolił grzebać po szufladach, a ten stoi i nic nie mówi. Patrzę, a on ma na łapach rękawiczki.

– Trudno żeby miał skarpetki – kapitan próbował

żartem rozładować napiętą sytuację.

– Taki sam jak ojciec – burknęła niechętnie żona.

– No dobrze, już dobrze. To co z tymi rękawiczkami?

– Pytam, po co mu te rękawiczki. A on mi na to, wyobraź sobie, że po to, by nie zostawić śladów palców. Ucz go, ucz tych swoich sposobów, a dochowasz się złodzieja.

– Zaraz, zaraz. Nie tak ostro – uspokajał żonę kapitan. – Wszystko wyjaśnimy... Marek! Wypytyjesz mnie bez przerwy o moją pracę. Dlaczego?

Mareczek przestępował niespokojnie z nogi na nogę.

– Chcę ją poznać.

– Po co?

– Bo chcę być tak jak tata milicjantem. Chcę walczyć ze złem.

– To w porządku. I po sprawie – kapitan klepnął Marka po ramieniu. – Widzisz! Nie będzie złodziejem. Będzie porządnym człowiekiem. I po co tyle krzyku? – zwrócił się do żony.

– Z wami można zdrowie stracić. Zawsze się wyłgacie. – Morawska odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

– Marek! – ojciec przywołał do siebie syna. – A tak między nami, to należy ci się manto za szperanie w szufladach...

– Bo ja chciałem zrobić wam kawał. Czekolada zniknęła, a żadnych śladów nie ma...

– Wyobraź sobie, że ten brak śladów wcale by nam

nie przeszkodził w znalezieniu przestępcy.

– Obiad już gotów – doleciał głos z kuchni. – Może byście się wreszcie ruszyli i pomogli trochę.

– Już idziemy! – Kapitan objął Marka i skierowali się do kuchni.

Gdy Marek rozkładał na stole sztuce, kapitan nosił talerze z zupą. Siedli. Spożywali posiłek w milczeniu. Ciszę przerwała kapitanowa.

– Kiedy wreszcie załatwisz tego hydraulika? Z termą są wieczne kłopoty. Albo leci ukrop, albo zimna woda. Poza tym coś w niej stale warczy i trzeszczy. Będiesz sam zmywał talerze. Bo ja się do tego nie chcę dotykać.

– Rozmawiałem już ze Stasiem. Przyjdzie jutro około szóstej.

– Dla ciebie ważniejsza jest praca niż rodzina – zrzędziła dalej żona. – Wszystko na mojej głowie. Wszystko ja! Do twojej mamusi możesz biegać co drugi dzień? A dla mnie nie masz czasu.

– Moja mama została po śmierci ojca sama. Jest chora, ma osiemdziesiąt pięć lat. Muszę jej pomagać.

– Możesz jeździć raz w tygodniu. A wiesz chociaż, co się dziś stało?

– Skąd mogę wiedzieć?

– Otóż na podwórku chłopcy, koledzy Marka, nie chcieli się z nim bawić, bo jest synem gliniarza. A mnie naubliżano w kolejce, że milicja ma swoje sklepy, to niech tam kupuje.

– Głupi ludzie – próbował zbagatelizować sprawę Morawski.

– Głupi są najniebezpieczniejsi – stwierdziła kategorycznie kapitanowa.

Kończyli obiad w milczeniu. Gdy zjedli, Morawski zebrał nakrycia i przeniósł je do zlewozmywaka.

– Marek! Czyja to dziś kolej na zmywanie? – spytał, nadając głosowi możliwie srogie brzmienie.

– Moja! Ale, tato, porozmawiaj ze mną najpierw. Nigdy dla mnie nie masz czasu. Potem pozmywam – przymilał się Marek.

– Masz coś ważnego?

– Nie. Ale tak sobie chciałem porozmawiać...

– Dobrze. Uzgadniamy z mamą, że za piętnaście minut bierzesz się do zmywania. Teraz idziemy do pokoju.

Kapitan siadł w fotelu obok akwarium z rybkami. Marek wdrapał mu się na kolana.

– Jaki będzie temat rozmowy?

– Widzisz, tato... – Marek ważył w myślach, od czego by tu zacząć. – Bo widzisz, jak jest. Bez przerwy mówisz mi, że milicjanci chronią uczciwych ludzi przed łobuzami, że zwalczają nadużycia, że opiekują się dziećmi.

– Tak. Zgadza się.

– To wszyscy powinni milicjantów lubić. A dlaczego na mnie koledzy krzyczą, że jestem synem gliniarza? I nie chcą się ze mną bawić?

– Nie lubią milicji ci, których zwalczamy: złodzieje,

bandyci, aferzyści.

– To aż tylu ich mamy?

– Uczciwych ludzi mamy dużo. Więcej niż tych nieuczciwych. Jednakże ci nieuczciwi działają w sposób bardziej arogancki, ordynarny, podporządkowując sobie tych uczciwych, którzy, zakrzyżani, nie mogą im się przeciwstawić. Są za delikatni, by na siłę odpowiedzieć siłą.

– A ty, tatusiu, nie boisz się, że ci coś zrobią?

– Milicjant zawsze jest narażony na niebezpieczeństwo. Jestem przygotowany na to, że jakaś grupa łobuzów może mnie napaść.

– To zmień pracę. Ja nie chcę, żeby ci się coś stało! – Marek przytulił się do ojca.

– Nie zmienię, Marku. Ktoś musi dbać o porządek i ścigać przestępców. Wiesz, co by się działo, gdyby nie było milicji! – Z tymi słowami kapitan odwzajemnił synowi uścisk.

Z przedpokoju doleciał do nich dźwięk dzwonka telefonu. Marek zeskoczył z ojcowskich kolan i podbiegł do aparatu.

– Halo – rozległ się za chwilę jego głos. – Tatusia? Zaraz poproszę. Tato, do ciebie.

Kapitan nie bardzo spieszył się z podjęciem słuchawki.

– Morawski, słucham.

– Melduje się podporucznik Szozda – posłyszał w słuchawce głos kolegi z wydziału. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale telefonuję z polecenia szefa.

- Co się stało?
- Szef prosił, by pan kapitan możliwie jak najszybciej zgłosił się do pracy. Będzie u siebie do osiemnastej.
- Co znowu? Przecież miałem mieć jutro wolny dzień.
- Nic nie wiem. Jednak zdaje się, że to coś ważnego. Bo po co by wzywał?
- Cholera! Dlaczego ja? Przecież w wydziale jest jeszcze kilku inspektorów.
- Kto? Wszyscy zajęci. Tylko pan kapitan skończył właśnie sprawę i jest wolny.
- Ale na jutro miałem załatwiony odpoczynek.
- Panie kapitanie, ja panu współczuję, ale rozkaz, to rozkaz!
- Niech to diabli!
- Wysyłam samochód. Będzie za dwadzieścia minut.
- Zaraz! Niech chociaż skończę obiad. Wypiję tylko kawę, bo oczy mi się kleją.
- To za czterdzieści minut.
- W porządku! – Kapitan odłożył słuchawkę. Był wściekły. Tyle dni pracy bez odpoczynku, od rana do wieczora. I gdy wreszcie miał mieć wolny dzień...
- Co znowu? – Żona patrzyła na niego spod oka.
- Muszę szybko pić kawę. Zaraz będzie tu samochód z komendy.

– I znów wszystko na mojej głowie! Że też musiałam wyjść za milicjanta. Najlepiej przenieś się na stałe do tej swojej komendy!

– Przecież wiesz, że nie można powiedzieć przestępcom: panowie, przestańcie czynić zło chociaż przez kilka dni, bo my chcemy trochę odpocząć.

– Co to mnie obchodzi? Nie jesteś niezastąpiony.

– Koledzy też się nie objają.

– To przyjmijcie więcej ludzi do pracy!

– To nie takie proste. Niby wszyscy zazdroszczą milicji, że u nas zarabia się ogromną forszę, ale przyjść do pracy to nikt nie chce. Bo po co się użerać z pijakami, babrać w trupach, łązić po ulicach, po deszczu i śniegu. O, krytykować milicję to jest komu! Wygadywać najbardziej nierealne brednie. Dopiero jak taki filozof zostanie obrabowany, to krzyczy: Kochana milicjo! Obrońcie, pomóżcie!

– To rzuć tę robotę. Teraz dobrze płacą i gdzie indziej. Gdy dali wszystkim tę wałęsówkę, to w pierwszym lepszym zakładzie zarobisz więcej niż w milicji. A i ubliżyć nam nie będą.

– Ale ja lubię swoją pracę! – krzyknął Morawski, wychodząc do przedpokoju. Nawet nie rozpoczął kawy. Zamykając za sobą drzwi na korytarz, mruknął pod nosem: – Wolałbym już raczej zmienić żonę niż pracę.

*

Jacek Bondaruk, wysoki, młody szatyn z ogorzałą twarzą, siedział za biurkiem. Dyskretnie obserwował pracującą w przeciwnym rogu pokoju koleżankę biurową, Krysię Grzelec. Była to dziewczyna, na którą mężczyźni patrzyli z przyjemnością: szczupła blondynka o miłej, figlarniej buzi. Co prawda twarz ta nie wyróżniała się niczym szczególnym – była to po prostu ładna, budząca zaufanie buzia, z której dało się odczytać wesołe usposobienie właścicielki – jednak wszyscy koledzy nazywali ją „ładna Dunia”, które to określenie „przylepił” do niej jeden z biurowych dowcipnisiów.

Dziś nareszcie byli sami w pokoju. A nie zdarzało się to zbyt często. Choć pracowali razem już ponad pół roku, Jacek nie miał właściwie nigdy okazji porozmawiać z koleżanką jak z kobietą. Do tego kobietą, która coraz częściej śniła mu się po nocach, której obraz miał wciąż przed oczyma. Właściwie to taka okazja zdarzała się od czasu do czasu, ale Krysia, która mu wpadła w oko od pierwszego dnia wspólnej pracy, po prostu go onieśmiała. Dlatego mówili przeważnie o sprawach służbowych, robiąc tylko czasami nieśmiałe wypadki na teren prywatny.

Dziś postanowił zerwać te niewidoczne więzy, które go krępowały. Dlatego wciąż zerkał na dziewczynę, pogrążoną w pisaniu jakiegoś kilkustronicowego elabratu. Czaił się jak tygrys do skoku na upatrzoną zwierzynę.

– Krysi – zaczął niepewnie, przywoławszy wcześniej w myśli wszystkich świętych na pomoc.

– Tak, słucham. – Koleżanka nie tylko nie przerwała pisania, ale nawet nie raczyła spojrzeć w jego stronę.

– Znamy się już prawie pół roku – Jacek wypowiadał te słowa z trudem, jakby same nie chciały wyjść mu z gardła.

– Popatrz, to już pół roku? – Krysia wyraziła zdziwienie, choć nadal nie przerwała swej pracy. – Mimo to świat, który mnie otacza, nie stał się z tego powodu ani trochę piękniejszy, nie mówiąc już, że ciekawszy...

– Może zmieniłabyś zdanie, gdybyśmy spotkali się poza pracą? – Trud, jaki włożył Bondaruk w wypowiedzenie tych słów, był niemal równy wysiłkowi górnika pracującego w najgłębszym chodniku.

Krysia spojrzała wreszcie na kolegę.

– Zadziwiasz mnie. Cały czas myślałam, że jesteś najdoskonalszym okazem biurokraty, wyzbytym wszelkich cech przynależnych człowiekowi, a tu proszę. Zaczynasz ostro. Od podrywu. I do tego z przekonaniem, że jesteś w stanie ubarwić mi życie i poprawić świat!

– Masz rację. Właściwie to powinienem zacząć od pocałowania cię w rękę. – Bondaruk z minuty na minutę odzyskiwał pewność siebie.

– Zwariowałeś! Co ci przychodzi do głowy?

– Bo jak powiedział kiedyś Casanova: od czegoś trzeba zacząć.

– No wiesz, Jacek! Ja ciebie wprost nie poznaję! – Buzię panny Krysi rozjaśnił uśmiech. Ukazała przy tym

dwa rzędy białych, równych zębów, a na jej policzkach pojawiły się jednocześnie śmieszne dołki.

– To jeszcze nie wszystko. Wiele możesz dowiedzieć się o mnie, umawiając się na randkę.

– A jeśli ja nie mam ochoty dowiedzieć się niczego więcej o tobie?

– To wielki błąd z twojej strony...

– No, cóż! Nie tylko starzy popełniają błędy.

– Jacy starzy? Co ty opowiadasz? – Zaśmiał się Jacek. – Oni też byli kiedyś młodzi.

– Ja nie czuję się młodo. – Krystyna nie podjęła żartobliwego tonu. – Mam wszystkiego dosyć. Bo co to za życie? Nie wiesz, co dziś kupisz i czy w ogóle kupisz... Nie wiesz, kiedy dostaniesz mieszkanie. I bardzo dobrze. Bo gdzie nam będzie tak dobrze, jak u mamy! – Wyrzucała z siebie słowa jednym tchem, jakby chciała pozbyć się przygniatającego jej piersi ciężaru. – Gdyby nie te problemy, zobacz, co by się działo. Przypatrz się krajom kapitalistycznym. Tam gdzie dobrobyt, tam i demoralizacja. Głupstwa chodzą ludziom po głowach. U nas na głupstwa nie ma czasu...

– Przestań politykować. Wszędzie, gdzie się człowiek ruszy, tylko polityka i polityka. Żona nie chce spać z mężem, bo ateista. Mąż nie rozmawia z żoną, bo partyjna. Zwariować można!

– W takich czasach żyjemy. Dziwisz się ludziom? Dziwisz się manifestantom, rzucającym kamieniami?

– Nie, nie dziwię się... To, o co oni walczą, my podnosiliśmy w organizacji młodzieżowej już wcześniej.

Mówiliśmy o tym podczas spotkań z działaczami partyjnymi. Dziwię się tylko formom tej walki: strajki, niszczenie, paskudzenie ścian...

– Nie oszukuj się. Wiesz, że spokojne zgłaszanie petycji i postulatów nic nie dało.

– Krysiu, daj spokój. Czy nie możemy porozmawiać jak mężczyzna z kobietą?

– A kobieta z mężczyzną o polityce nie może porozmawiać? Zawsze uważaliście nas za kury domowe, nadające się tylko do gotowania, sprzątania i rodzenia dzieci.

– Nie wszyscy tak sądzą – zdenerwował się Bon-
daruk. – Ale ja w innej sprawie.

– Przepraszam... Przypominam sobie. Chciałeś się ze mną umówić...

– O właśnie. Jednak pod warunkiem, że nie będziemy na tym spotkaniu omawiali sytuacji ekonomiczno-politycznej.

– Dobrze. Pozwalam ci się zaprosić. Choć może to być trudne do zrealizowania. Wiesz, jaki mamy nieuregulowany dzień pracy.

– Ale jesteśmy stale razem. W każdej chwili możemy uzgodnić termin.

– Zrobione! Czekam więc na spotkanie w kawiarni.

– Jutro po pracy?

– W porządku. Masz szczęście. Akurat jutro ośmiu moich adoratorów idzie na dobry obiad, po czym udają się na manifestację głodową...

– To masz tylko ośmiu adoratorów? – roześmiał się Bondaruk. – Kamień spadł mi z serca. Myślałem, że jest ich kilkudziesięciu.

Chciał dodać coś jeszcze, ale właśnie rozległ się dźwięk dzwonka telefonu, stojącego na biurku koleżanki.

Krystyna podniosła słuchawkę tak, jakby była rozpalona do czerwoności, po czym z obrzydzeniem przysunęła ją do ucha.

– Proszę! – Jej głos był pełen słodyczy. – Tak, to ja. – Chwila ciszy. – Tak, słyszę! Przyjęłam. Dziękuję. – Ręka ze słuchawką opadła na biurko. – No, Jacek! Koniec spokoju. Nici z randki. Idziemy do szefa. Nie może bez nas żyć.

Rozdział 5

Kapitan Morawski z niechęcią nacisnął klamkę drzwi gabinetu naczelnika, majora Kazimierza Górskiego. Gdy je otworzył na całą szerokość i zrobił krok naprzód, powitał go chór głosów:

– Witamy towarzysza kapitana!

W pokoju, prócz majora Górskiego, znajdował się jeszcze podporucznik Jacek Bondaruk, od niedawna absolwent szkoły oficerskiej w Szczytnie, i ich koleżanka, Krystyna Grzelec, która jako absolwentka podoficerskiej szkoły MO w Pile dosłużyła się już stopnia starszego sierżanta.

– Siadajcie, kapitanie. – Major Górski wskazał wolne krzesło.

Morawski zajął miejsce z ciężkim westchnieniem.

– Co u was słychać? Dawno się nie widzieliśmy – spróbował zażartować.

– Taki nasz los. – Major Górski sięgnął do leżących przed nim notatek. – To co? Jesteśmy wszyscy, możemy przystępować do sprawy?

– Im szybciej, tym lepiej...

– Dziś po południu, zaraz po wyjściu kapitana Morawskiego z pracy, zgłosiła się do nas niejaka pani... – major odszukał w notatkach nazwisko – Katarzyna Lucieńska. Złożyła meldunek, że wczoraj o godzinie jedenastej w południe jej mąż Leszek Lucieński miał wyznaczone spotkanie w sprawie zakupu bonów. Do dziś mąż nie wrócił do domu...

– Kupił bony, poszedł do Pewexu, wymienił na alkohole i pewno pije z kolegami... – przerwał Bondaruk.

– Bez dowcipów, koledzy! – Górski spojrział na Bondaruka karcącym wzrokiem. – Lucieński miał przy sobie prawie siedemset tysięcy złotych. Za zakupione bony chciał nabyć w Pewexie samochód. To była jego idée fixe... Nie ma więc mowy o przepiciu bonów. Poza tym Lucieński nie pił. To znaczy pił, ale tylko przy jakiejś okazji, i to niedużo. Pani Lucieńska przed zgłoszeniem się do nas porozumiała się z dobrym znajomym męża z pracy. Od niego uzyskała informacje, mające dla nas pewną wartość. Mianowicie ten kolega miał jechać razem z Lucieńskim na spotkanie ze sprzedawcą bonów. Prawdopodobnie Lucieński coś przeczynał...

– Towarzysz naczelnik wierzy, widzę, w siły nadprzyrodzone. – Na twarzy kapitana Morawskiego pojawił się dyskretny uśmiech. – Jeśli tak, to należy przepuszczać, że zaraz odnajdziemy przestępcę.

– Możecie być choć przez chwilę poważni? Nie wiadomo, czy nie stoimy przed nową tragedią. Rozumiem Bondaruka, młody, jeszcze zielono w głowie. Ale wy?

– Nawet na starym wydeptanym trawniku raz w roku robi się miejscami zielono – odparł filozoficznie kapitan.

– Proszę jednak o trochę powagi. – Major starał się nadać swym wypowiedziom oficjalny charakter, choć z doświadczenia wiedział, że w większości takie meldunki o zaginięciu męża kończą się żalonym powrotem nieszczęśnika po tradycyjnym „pójściu w Polskę”. – Lucieński miał się spotkać z oferującym bony na rogu Kazimierzowskiej i Raławickiej.

– Dobre miejsce. Z jednej strony partia, z drugiej zakonnice – wtrącił znów kapitan.

– Nie wiem. Nie znam tak dobrze tego skrzyżowania.

– Ja znam, bo mieszkam na rogu Raławickiej i Puławskiej.

– Słuchajcie! Jeśli tak będziemy sobie przerywali, to nigdy nie skończymy. A wszystkim spieszy się do domu.

– To raczej towarzyszowi majorowi się spieszy. Bo my włączymy w sprawę i mamy popołudnie z głowy.

- Kapitan Morawski usiadł wygodniej w fotelu.
- Więc miejcie chociaż na uwadze mój czas.
 - Czy ten kolega podał jeszcze jakieś inne informacje?
 - Tylko tyle, że Luciński zwolnił się na trzy godziny.
 - Przecież miał iść z Lucińskim. Tak zeznał.
 - Miał iść, ale gdy wychodzili z biura, żona wyciągnęła go na jakieś zakupy.
 - No proszę! Wszystko przez te żony! – Kapitan klepnął się po udach. – Dlatego jeszcze raz ci powtarzam, Bondaruk: nie żeń się!
 - To byłyby wszystkie informacje.
 - Może ten kolega... – kapitan zawiesił głos. Major zajrzał do leżących przed nim notatek.
 - Gonera, Andrzej Gonera.
 - Może ten Gonera był w zмовie z pozostałymi?
 - Nie! To niemożliwe – stanowczo zaproteutował major. – Po co by wtedy mówił, że wybierał się razem z Lucińskim?
 - Dla zmylenia przeciwnika. Bo mnie się nie podoba ta nagła zmiana decyzji.
 - To przypadek. Zdarza się raz na rok, ale zdarza się.
 - Trzeba jednak zainteresować się nim bliżej. Sprawdzić te zakupy.
 - Proszę bardzo! – Major zajrzał znów do notatek.
- Gonerowa kupiła meble.

- Podała gdzie?
- Nie. Stwierdziła, że nie chciałyby robić kierownikowi sklepu kłopotu. Bo tam było coś załatwione „na lewo”.
- No tak. Najprościej tak wytłumaczyć. To trzeba będzie sprawdzić. Sierżancie Grzelec – kapitan zwrócił się do siedzącej cichutko w fotelu młodszej koleżanki. – Macie bojowe zadanie. Wyciągnąć od Gonerowej wszystko o tych meblach. Czy tak rzeczywiście było.
- Jeśli można, obywatelu majorze. – Dziewczyna wciąż nie mogła pozbyć się zażenowania, rozmawiając z przełożonymi. – Dlaczego my w ogóle mówimy o przestępstwie? Może ten Luciński rzeczywiście gdzieś się zabawił? Albo uciekł za granicę?
- Z polskimi pieniędzmi? – parsknął śmiechem Bondaruk.
- Nie z polskimi, tylko z dolarami – sprostowała Krystyna.
- Miał kupić bony, a nie dolary – dodał podporucznik.
- Może w rezultacie kupił dolary?
- Luciński zaginął wczoraj o godzinie jedenastej w południe – kapitan przerwał wymianę zdań między młodymi. – To rzeczywiście trochę za wcześnie, by kategorycznie twierdzić, że uciekł lub padł ofiarą przestępstwa. Proponowałbym sprawdzić pewne fakty, ale na razie spokojnie, bez emocji.
- To znaczy? – Major bębnił palcami w blat stolika.

– To znaczy: sprawdzić wersję Gonerowej o meblach i przepytać świadków z rogu Kazimierzowskiej i Raławickiej o samochód.

– Wesola robota! – Bondaruk złapał się za głowę.

– Nie taka straszna. Tam na rogu jest kiosk z gazetami. O jedenastej dużo ludzi wyprowadza pieski na spacer. Choć to dla nas najwyższe potwierdzenie faktu, który znamy: że Luciński odjechał samochodem.

– Będziemy wiedzieli coś o samochodzie – wtrąciła niepewnie Grzelec.

– Nic nie będziemy wiedzieli. – Kapitan powiedział to opryskliwie.

– Dlaczego? – ośmieliła się spytać dziewczyna.

– Jeśli zakładamy, że Lucińskiego zamordowano, to musimy też sobie powiedzieć, że żaden przestępca nie przyjedzie po ofiarę własnym samochodem. A w ogóle to pracujecie już u nas kilka miesięcy i powinniście się nauczyć, że w obecności przełożonych nie należy zadawać naiwnych pytań, bo to ma bezpośredni wpływ na wysokość nagród i awansów. Natomiast, kochana moja, zajmij się założeniem teczki sprawy i roześlij informację o zaginięciu Lucińskiego do wszystkich jednostek.

– Do prasy też?

– Na razie nie! Bo nie wiemy jeszcze, czy rzeczywiście zginął. Dasz do prasy, a tu zjawi się świadek, który oznajmi, że się z nim bawił przez dwa dni i dwie noce. Lepiej pomyślmy, jaki kryptonim damy sprawie.

– Może „Bony”? – zaproponowała nieśmiało Krystyna.

– „My Bonnie is over the ocean” – zanucił Bondaruk.

– Niech będzie „Ogłoszenie” – wtrącił major Górski.

– „Ogłoszenie” to brzmi zbyt swojsko – skrzywił się kapitan. – My lubimy obce nazwy... Jakies snack-bar, grill, pitigrill...

– Ja znam dwa języki obce – pochwalił się Bondaruk.

– Proponuj więc.

– Niech będzie „Inserat” – rzucił podporucznik.

– Rzeczywiście. To brzmi dumnie – zgodził się z propozycją Morawski. – Wiecie, Bondaruk, jak tak dalej pójdzie, to zostaniecie pierwszą gwiazdą milicji.

Odprawa była skończona. Wyszli na korytarz.

– To co robimy? – spytał z niepokojem Bondaruk. Nie bardzo miał ochotę zabierać się do roboty.

– Dziś nic. – Morawski zdawał sobie sprawę, że z informacją o zaginięciu należy trochę poczekać. – W większości wypadków zguby znajdują się po paru dniach skruszone, zlachmanione i na silnym kacu.

– To pozwoli szef, że się odmeldujemy. – Pod, podporucznik był wyraźnie rozradowany. Uścisnęli sobie ręce. Jacek ujął Krysię delikatnie pod rękę i skierował w stronę schodów. Dopiero gdy drzwi wyjściowe w

budynku komendy zatrzasnęły się za nimi, odetchnął głęboko. – Mieliśmy szczęście! Do ostatniej chwili bałem się, że nasz wódz zawróci nas w połowie drogi.

– Jeszcze nie wiem, czy to dla mnie będzie takie wielkie szczęście. – Dziewczyna nie podzielała radości kolegi. – To będę mogła ocenić dopiero po randce.

– Nie wiedziałem, że z ciebie taka realistka. Cały czas zaliczałem cię do romantyczek.

– Bo z natury nią jestem. Ale przy tobie muszę być inna.

– Dlaczego? – Jacek był zaskoczony tym stwierdzeniem.

– Bo romantyczka lubi na przykład kwiaty. A gdzie kwiaty?

– O, psiakość! Zapomniałem. – Podporucznik był zawstydzony i zażenowany.

– Nie, nie! Nie rób sobie wyrzutów z tego powodu. Ja tylko żartowałam. Ale widzisz, jak to jest? Zawsze trzeba być realistką.

– Przyrzekam poprawę. Na swoje usprawiedliwienie muszę powiedzieć, że jesteś pierwszą dziewczyną, z którą umówiłem się na randkę. Dlatego brak mi jeszcze doświadczenia.

– A więc to ja mam być królikiem doświadczalnym?

Nie, to nie tak! – Bondaruk był już zupełnie załamany. – Z tobą zupełnie nie można rozmawiać.

– Jak to: nie można? Przecież cały czas rozmawiamy.

– Tak, ale nie tak...

– Jeśli nie tak, to jak?

– Dobrze. Załatwimy to inaczej. Proponuję wypad do „Mozaiki”. Siądziemy, pogadamy spokojnie.

– W porządku. Ale później zrobimy mały spacer. Trzeba się dotlenić po tym siedzeniu w biurze.

– Zgoda. Mamy akurat tramwaj. Podjedziemy do Madalińskiego.

W „Mozaice”, mimo godziny obiadowej, panował tłok. Sala spowita była w błękitną mgiełkę dymu papierosowego. Jacek chciał się wycofać, nie mógł bowiem dostrzec wolnego stolika, gdy w końcu sali zrobił się mały ruch. To jakaś para szykowała się do wyjścia. Docisnęli się do stojącego przy oszklonej ścianie, z widokiem na pałacyk Szustra, stolika. Zamówili herbaty, ciastka i coś zimnego do picia. Jedząc raczej starszawe ciastka, popijając je zimną herbatą, zastanawiali się nad składem napoju, zwanego w karcie „firmowym”. Bondaruk skłaniał się do uznania płynu za środek do mycia szklanek po herbacie, podczas gdy Krystyna stała na stanowisku, że jest to środek dezynfekcyjny, mający zapobiec zatruciu po zjedzeniu ciastka.

Zajęci tą „naukową” dysputą nie zwracali uwagi na otoczenie. Dopiero kilka głośniejszych zdań, wypowiedzianych przy stoliku obok, spowodowało, że zaczęli przysłuchiwać się rozmowie siedzącego tam

towarzystwa. Było to towarzystwo wyłącznie męskie, o twarzach, które – jak je określał kapitan Morawski – można ocenić na co najmniej dziesięć lat ciężkiego więzienia, i to bez sądu.

– Najpierw trzeba rozbić bezpieczeństwo i milicję. To darmozjady. Nic nie robią. Żyją za nasze pieniądze. Do tego pozwalają chodzić spokojnie łobuzom, a spokojnych obywateli wsadzają za niewinność.

– Bo te cwaniaki to im się opłacają... A biedny człowiek nie ma czym.

– Dlatego gliniarze żyją jak burżuazja. Mieszkanka, przydziały, pensje, że aż mózg staje.

– Trzeba wreszcie z nimi zrobić porządek – porował najgłośniej mężczyzna o czerwonej, pokrytej liliowymi żyłkami twarzy. – Bo dopóki bezpieka będzie rządziła, nie można mówić o wolności!

Jacek odsunął energicznym ruchem napoczęte ciastko.

– Idziemy stąd, bo czuję, że zrobię jakieś głupstwo.

Krysia skinieniem głowy wyraziła zgodę. Chłopak, nie czekając na kelnerkę, położył należność na stoliku. Wyszli przed kawiarnię.

– Przejdziemy się w kierunku Belwederskiej. Tam przynajmniej nie ma ludzi. – Jacek aż dygotał ze zdenerwowania.

– Reagujesz tak, jakbyś taki osąd posłyszał po raz pierwszy. Ja już się do tego przyzwyczaiałam. – Krysia

starala się udobruchać kolegę. – Cóż! Na całym świecie w okresach niepokoju dąży się przede wszystkim do rozbicia milicji, czy policji, i wojska. Wtedy te elementy, które wykorzystują każdą sytuację do rozróby, chuliganienia i napadów, mogą to robić bezkarnie. – Jednak Jacek był nadal wzburzony. – Uspokój się! – doleciał go cichy, spokojny głos Krysi. Poczul ciepło jej ręki na swojej dłoni. To go uspokoilo, choć serce zaczęło bić mocniej.

– Krysiu... – głos ugrzązł mu w krtani. Nie mógł powiedzieć nic więcej. – Krysiu – powtórzył.

– Tak, Jacku?

– Krysiu... Musisz wiedzieć, że ja ciebie... – głos znów uwiązł mu w gardle. Nie miał odwagi dokończyć zdania. Co będzie, jeśli ona go wyśmieje? Jak on to przeżyje?

Krysiu zatrzymała się. Odwróciła twarz w kierunku chłopca.

– Ja ciebie też, Jacku – wyszeptała zawstydzona.

– Oh! – Tylko tyle miał Jacek na wyrażenie swej radości. Objął dziewczynę. Przytulił. Jej drobna postać zginęła prawie w jego ramionach. Z początku muskał wargami jej policzki, uszy. Stopniowo jego pocałunki stawały się coraz bardziej gorące. Usta coraz szybciej błędziły po twarzy Krysi, by wreszcie dotknąć jej ust.

Jednak nie było im sądzone zakończyć tego wieczoru w przyjemnym nastroju. Od strony Puławskiej nadchodziło starsze małżeństwo.

– Ot, młodzi! Czasy niebezpieczne, losy nasze wi-
szą w powietrzu, a im całowanie w głowie! – doleciało
do uszu Jacka.

Rozdział 6

Parking na rogu Miłej i Marchlewskiego tonął w
ciemności. Pałaca się na rogu placu samotna lampa
chwiała się w rytm powiewu wiatru i ledwie tylko roz-
jaśniała panujący dookoła mrok. Było cicho. Ludzie,
wystraszeni niespokojnymi dniami, siedzieli w domach,
bojąc się o tak późnej porze pokazać na ulicy. Sytuacja
taka bardzo odpowiadała dwu mężczyznom, wynurzają-
cym się pomiędzy bloków ulicy Miłej.

– Bardzo dobrze, że ludzie są wystraszeni. Nikt
nam nie będzie przeszkadzał – odezwał się cicho wyż-
szy mężczyzna o masywnej sylwetce. Przechodząc
przez ulicę w stronę parkingu, znaleźli się przez chwilę
w świetle lampy ulicznej. Teraz ktoś znający ich obu
mógłby stwierdzić, że byli to Nowak i kierowca fiata.
Sprawcy napadu na Lucińskiego doszli do parkingu.

– Zostań tu i patrz na boki – polecił towarzyszowi
Nowak. – Gdy kogoś zobaczysz, to gwizdź. Sam uda-
waj przechodnia.

Tamten skinął głową. Zatrzymał się w miejscu, z
którego dobrze widać było głębię obu ulic.

Nowak zbliżył się kocimi ruchami do pierwszego z brzegu wozu. Przez chwilę mocował się z zamkiem. Zaklął cicho. Kluczyki nie pasowały. Skulony, przesuwał się do następnego. Znow próbował go otworzyć i znow bez rezultatu. Coraz bardziej zdenerwowany przeszedł dalej. Minął kilka wozów obcych marek. Szukał tylko polskich fiatów. Miał do nich komplet kluczy. Wreszcie jest! Przekręcił kluczyk w zamku. Szarpnął kilka razy z wściekłości za klamkę. Drzwi otworzyły się. Wsiadając do wozu, posłyszał gwizd. Jak spod ziemi obok wozu wyrósł jego współtowarzysz.

– Co jest?

– Idzie trzech... Coś niosą! – Janek mówił urywanym z podniecenia głosem.

– Psiakrew! Akurat teraz, gdy mogłem odjeżdżać.

Zamilkli na widok trzech skradających się postaci. Jedna z nich stanęła na rogu ulic. Dwie pozostałe, niosące w rękę jakieś naczynie, zatrzymały się przed ścianą budynku.

– O, do diabła! – zaklął Nowak. – Nadzialiśmy się na malarzy hasełek! Nie lubię takich imprez. Albo polityka, albo solidny rozbój.

– Kiedy to nieraz łączy się z sobą!

– Ja o czym innym. Nie lubię facetów biorących za coś forszę, a wyręczających się ideowcami. U mnie jest tak: robimy skok i dzielimy się po równo.

– Mylisz się. To nie są ideowcy. Ci pewnie nie mają żadnej idei. Kazano im malować hasła, to je malują.

Kazano by im rzucać kamieniami, to by rzucali. Wiesz, że wielu młodych lubi rozróbny.

„Młodzi” skończyli swą pracę i szybko oddalili się.

– Bierz się do roboty! – ponaglił kolegę Janek. – Trzeba szybko wiać.

Nowak sprawnymi ruchami rozmontował stacyjkę i połączył przewody na styk. Rozległ się warkot silnika.

– Trzymaj się! – Janek kiwnął ręką i szybko oddalił się Miłą w stronę Karmelickiej.

Wóz, wyprowadzony powoli z parkingu, ruszył w Marchlewskiego. Dojechał do Stawek, skręcił w Smoczą i zaparkował na Niskiej. Nowak spojrział na zegarek. Trzecia. Wyciągnął się wygodnie na siedzeniu. Ma czas do siódmej. Dobry był ten pomysł kradzieży blisko miejsca akcji. Jeśli nawet właściciel wozu zaalarmuje milicję, to nie będą szukali zguby w pobliżu parkingu, na którym stała. Tylko głupiec by postąpił tak jak on. A teraz niech szukają wiatru w polu. Dla milicji może być głupcem!

Powieki zaczęły mu ciążyć. Zdrzemnął się. Była to krótka chwila, zaledwie pięć, sześć minut, lecz jemu zdawało się, że przespał co najmniej kilka godzin. Spojrzał na zegarek. Piąta czterdzieści trzy. Jak ten czas się wlecze! Zapalił papierosa. Na ulicy, zaczęli pojawiać się pojedynczy przechodnie.

Niedobrze! Za duży ruch! Mimo to powinno się udać. Nim się zorientują, on będzie już daleko. Szósta czterdzieści dziewięć. Zza jednego z bloków wynurza

się mężczyzna. Na twarzy oczekującego maluje się napięcie. Tak, to ten! Nowak rozgląda się dokoła. Ocenia szybko sytuację. Jakaś kobieta z pieskiem, jakiś chłopak z teczką. Nadchodzi druga kobieta, dzwoniąc butelkami w siatce. Nieźle. Mężczyzna wkracza na jezdnię. Nowak zwiera przewody stacyjki. Wóz rusza, skręcając błyskawicznie w prawo, prosto na przechodzącego jezdnię człowieka. Ten idzie zamyślony. Nie widzi, co dzieje się dokoła. Zza węgła domu wybiega dziewczynka z psem. Ciągnięta przez niesfornego zwierzaka pędzi wprost pod samochód Nowaka. Mężczyzna spostrzega dziewczynkę i grożące jej niebezpieczeństwo. Jednym skokiem jest przy niej. Chwyta ją w pól i rzuca się do tyłu. Nowak widzi to w ostatniej chwili. Odruchowo skręca kierownicę w lewo i słyszy głucho uderzenie. Naciska gaz do dechy. Z piskiem opon skręca w Smoczą. Nie ogląda się za siebie. Pędzi w kierunku Anielewicza. Na jezdni pozostał leżący mężczyzna. Próbuje wstać. Wysiłki nie zdają się na nic. Z jękiem osuwa się na ziemię. Nad nim stoi wystraszona dziewczynka. Krzyczy rozpaczliwie. Zdaje sobie sprawę, że ten człowiek uratował jej życie. Nie wie, jak mu pomóc. Wpatrzona w rannego nie widzi, że dalej leży we krwi zmiażdżony oponami jej ukochany pies.

Podbiegają nieliczni przechodnie. Otwierają się okna. Jeden z mężczyzn nachyla się nad leżącym.

– Jestem lekarzem. Niech się pan nie boi. Może pan mówić?

– Tak – szepce z wysiłkiem ranny.

– To dobrze. Zaraz sprawdzę, co się panu stało. Czy ktoś zawiadomił pogotowie? – zwraca się do coraz liczniejszego tłumu gapiów.

– Tak, już zatelefonowano z tego budynku naprzeciwko. Zaraz mają przyjechać. Lekarz kończy pobieżne badanie.

– Zdaje się, że nie jest tak źle. Noga na pewno złamana, ale nic poważniejszego nie stwierdzam. Zobaczmy, co dalej.

– Proszę pana – mówi cicho mężczyzna.

– Słucham.

– Mam do pana prośbę. Ja mieszkam w tym bloku. Mieszkania dwadzieścia sześć. Proszę zawiadomić żonę. Ona jeszcze spała, gdy wychodziłem. Pewnie nic nie wie.

*

Kapitan Morawski siedział przy biurku, wpatrując się bezmyślnie w leżącą przed nim pustą kartkę papieru. Bo i o czym miał myśleć? Co robić? Przecież nie wiedział nic. Nie miał żadnych danych. Zginął niejaki Leszek Luciński, lat.... wzrost, kolor włosów, kolor oczu, znaków szczególnych brak... Umówił się 27 sierpnia o godzinie jedenastej na rogu Raławickiej i Kazimierzowskiej z jakimś facetem w sprawie kupna bonów. Zwolnił się z pracy na trzy godziny. Miał przy sobie siedemset tysięcy. Co w tej sytuacji można zrobić? Dać komunikat do prasy, radia i telewizji, że wszyscy, którzy byli w tym dniu, o tej porze, w tym miejscu, proszeni

są o zgłoszenie się do komendy. Może ktoś coś widział? Zdjęcie Lucińskiego przesłano do wszystkich komend. Zawiadomiono nawet graniczne punkty kontroli, choć z bonami nie ma czego szukać za granicą... Zwolnił się na trzy godziny. No i co z tego, kiedy go już nie ma kilka dni?

Sierżant Grzelec rozmawiała z Gonerową. Nie poszło jej to łatwo. Wydobyła z niej jednak adres sklepu z meblami. Jacy to ludzie u nas są solidarni, gdy trzeba zatuszować nadużycia lub przestępstwo... Jeden drugiego kryje. Ma się rozumieć, kierownik sklepu nie chciał o niczym mówić. Dopiero gdy pani sierżant postraszyła go sprawdzeniem całej dokumentacji, potwierdził fakt sprzedaży mebli. Tak więc ten ślad prowadził donikąd...

Bondaruk przepytał kioskarka z rogu Raclawickiej i Kazimierzowskiej. Ten nic nie widział, ho przed jedenastą dostarczyli mu towar. Przed kioskiem zgromadziła się duża grupa ludzi. Właściciele psów też niewiele powiedzieli. Tylko jedna osoba potwierdziła, że o jedenastej widziała wiśniowego fiata, do którego wsiadł jakiś mężczyzna. Numeru wozu nie zapamiętała.

Z zamyślenia wyrwał kapitana ostry dźwięk telefonu.

– Kapitan Morawski, słucham.

– Melduje się porucznik Korczak z KRD. Ja w sprawie kryptonimu „Inserat”. Zgodnie z decyzją o wszystkich sprawach związanych z tą akcją mamy meldować obywatelowi kapitanowi.

– Co się stało? – Morawski niecierpliwie poprawił się na krześle.

– Niejaki obywatel Gonera Andrzej, pracownik Instytutu Telekomunikacji, uległ dziś rano wypadkowi samochodowemu.

– Gonera, Gonera... – nie mógł sobie od razu skojarzyć nazwiska.

– Pracował razem z poszukiwanym Lucińskim.

– Ach! W porządku! Zaraz u was będę. Żytnia, który pokój?

– Czterdzieści pięć, porucznik Korczak. Jestem cały czas na miejscu.

– Dziękuję, zaraz przyjeżdżam.

– Obywatel kapitan własnym wozem?

– Nie, służbowym!

– To może umówimy się na przykład za dwie godziny...

– Nie martwcie się, zaraz jadę.

– W każdym razie jestem cały czas na miejscu.

Kapitan rozłączył się i nie odkładając słuchawki nakręcił numer sekretariatu dyrektora biura.

– Janeczko, potrzebny mi natychmiast wóz.

– Mnie też! – Janeczka, sekretarka dyrektora, była dziś w dobrym humorze, co zdarzało się raczej nieczęsto.

– Nie żartuj! Ja muszę!

– Takich, co muszą, to ja mam już zapisanych trzech...

– Jestem umówiony!

– Oni też!

– Ja w sprawie...

– Oni też! – nie dała mu dokończyć.

Kapitan skapitulował.

– To kiedy można coś dostać?

– Sierżant Grzelec dzwoniła, że zaraz wraca. Jasiński niedawno wyjechał. Zadzwoń do ciebie za małą godzinkę.

– A ile trwa u ciebie „mała godzinka”?

– Sześćdziesiąt do dziewięćdziesięciu minut.

– Trudno. – Kapitan z rezygnacją odłożył słuchawkę na widełki.

– Są kłopoty, szefie? – Bondaruk uniósł głowę znad papierów.

– Zawsze gdy potrzebny wóz, to go nie ma.

– Nic prostszego. Najlepiej mieć własny.

– Jeszcze będę do tego interesu dokładał własną benzynę?

– Ale jakie szef osiągnie efekty!

Kapitan chciał właśnie przypomnieć Bondarukowi, co ma dziś do wykonania, gdy odezwał się dzwonek telefonu.

– Kapitan Morawski, słucham.

– Masz szczęście, kapitanie. Wóz czeka przed wejściem od Wielickiej – rozległ się głos sekretarki. – Dobrze mieć zdyscyplinowaną pracownicę, która nie wykorzystuje wozu służbowego do objazdu sklepów spożywczych.

– Masz rację. To jest skarb. A ty jesteś drugim skarbem.

– Uważaj, bo zajmie się tobą NIK jako osobą, posiadającą za dużo skarbów.

– O to się będę później martwił. Teraz lecę do wozu. Jadę na Żytnią. Wóz zwrócę za półtorej godziny.

Minął wchodząc właśnie do pokoju Krystynę. Zbiegł po schodach i po chwili mknął Alejami Niepodległości w stronę Muranowa. Lubił jeździć z kapralem Zychem, który pracował w ich jednostce już kilkanaście lat. Zych był nie tylko świetnym kierowcą. Zdawał też sobie sprawę, że każdemu, kto korzysta z jego wozu, na pewno się śpieszy. Że dla jego pasażera to sprawa na wczoraj. Że jest to sprawa życia i śmierci. Miał jeszcze jedną zaletę: nie odzywał się nie zagadnięty. A kapitan Morawski nie zawsze miał chęć do rozmowy. Tak jak na przykład teraz. Bardziej niż ostatnie plotki z miasta i zdanie Zycha o sytuacji interesowało go to, czego dowie się na Żytniej. Czy będzie to jakiś krok naprzód w sprawie, czy po prostu zwykły przypadek, zbieg okoliczności. W milczeniu dojechali do Komendy Ruchu Drogowego przy Żytniej.

Kapitan Morawski wbiegł na pierwsze piętro z chyżością osiemnastolatka. Chwilę zatrzymał się przed drzwiami, oznaczonymi numerem czterdzieści pięć! Psiakrew! Miał wrażenie, że jest wysportowany, a tu okazuje się, że sport sportem, a lata swoje robią. Wciągnął parę razy głęboko powietrze w płuca. Począł jeszcze chwilę, aż ustąpi zadyszka. Nie wypadło, by młodszy stopniem widział przed sobą nie – w pewnym sensie – przełożonego, ale ruinę człowieka. Gdy oddech stał się normalny, Morawski nacisnął kławkę. Drzwi uchyliły się bezszelestnie. Na widok wchodzącego zza

biurka podniósł się młody, szczupły oficer w stopniu porucznika o „filmowej” urodzie. Podobny do Gregory Pecka w latach młodości – pomyślał kapitan Morawski. Zaś głośno, starając się nadać swojemu głosowi możliwie najbardziej urzędowy ton, przedstawił się:

– Kapitan Morawski z Komendy Głównej. Telefontowano do mnie.

– Porucznik Korczak. – Oficer przyjął pozycję zasadniczą, po czym uściśnił dłoń kapitana. – Proszę spojrzeć.

Siedli po obu stronach biurka. Korczak wyjął z szuflady teczkę z dokumentami. Otwierał ją powoli, z namaszczeniem, jakby chciał nadać sprawie dodatkowej wartości.

– Otóż, panie kapitanie, dziś rano, dokładnie o godzinie ósmej dwadzieścia jeden – porucznik mówił powoli, wyszukując wzrokiem w tekście potrzebne dane – otrzymaliśmy informację przekazaną z naszego radiowozu, że między godziną szóstą pięćdziesiąt a siódmą na ulicy Niskiej, na wysokości domu numer dwadzieścia sześć, potrącony został przez samochód marki prawdopodobnie fiat sto dwadzieścia pięć, koloru... – porucznik zawahał się – z tym jest jeszcze gorzej, bo świadkowie podają aż trzy kolory: ciemnozielony, niebieski i popielaty, mężczyzna w wieku około czterdziestu lat.

Kapitan Morawski poruszył się nerwowo na krześle.

– Kochany, jeśli będziecie mi tak wszystko dokładnie opisywali, to wolę sam przeczytać te akta. Na

razie darujmy sobie szczegóły.

– Tak jest, panie kapitanie. Myślałem...

– Dobrze, że myśleliście, ale dla mnie przede wszystkim jest ważne, czy to przypadek, czy usiłowanie zabójstwa. Bo to trochę dziwny zbieg okoliczności, że w prowadzonej akurat sprawie jeden z podejrzanych ma wypadek.

– Pan kapitan ma całkowitą rację. – Porucznik podniósł się z krzesła. – Może podejźmy do planu świetlnego. Przedstawię panu przebieg wydarzenia.

Podeszli do matowej szklanej tafli. Porucznik wduślił jeden z przycisków znajdujących! się w bocznej ścianie gabloty. Na ekranie ukazał się schematyczny fragment ulicy z dwoma skrzyżowaniami. Porucznik ustawił przy linii krawężnika prostokąt, zaś przy przeciwległej – krążek.

– Prostokąt to samochód, krążek przechodzień.

W tym przypadku Gonera – poinformował. – Wypadek wyglądał w ten sposób – mówiąc to porucznik zaczął przesuwać po szkle krążek. – Gonera wychodzi z domu i wkracza na jezdnię. Wtedy rusza samochód. – Korczak przesunął prostokąt lekkim łukiem w kierunku krążka. – Nagle zza rogu domu wybiega dziewczynka. Nie patrząc na boki, wpada na jezdnię. Gonera dostrzeżga samochód, łapie dziewczynkę i odciąga ją do tyłu. – Krążki i prostokąt przesuwiają się pod palcami porucznika. – Samochód skręca, potrąca Gonere. Na pełnym gazie ucieka w Smoczą, kierując się w stronę

Anielewicza. Samochód, fiat sto dwadzieścia pięć pe, koloru ciemnozielonego z wgniecionym prawym błotnikiem znaleziono pół godziny później między domami na Nowolipkach.

– A więc to nie przypadek?

– Na pewno nie! Świadkowie zeznali, że samochód skręcił od lewego krawężnika do prawego. Zresztą Gonera został potrącony na połowie jezdni przeciwnego kierunku ruchu. Nie mógł to więc być przypadek.

Kapitan Morawski obydwoma rękami uściśnął dłoń zaskoczzonego porucznika.

– Dziękuję wam bardzo! Dziękuję! Nawet nie wiecie, jak nam pomogliście. Nie mieliśmy żadnego śladu, żadnego punktu zaczepienia. A to już jest coś. Dziękuję!

Morawski jeszcze raz potrząsnął dłonią Korczaka i jak rakieta wypadł z pokoju.

Kapral Zych spojrział ze zdziwieniem na rozgorączkowanego kapitana. W takim stanie widział Morawskiego po raz pierwszy. Kapitan był znany wszystkim jako flegmatyk. Ten potężnie zbudowany mężczyzna o nalanej twarzy, z uśmiechem wiecznego zażenowania, poruszał się raczej bez pośpiechu, choć w swej jednostce należał do najlepszych pingpongistów. Przez swych kolegów i koleżanki nazywany był „dobrotliwym miśm”. Kapral Zych jeszcze raz spojrział na kapitana. Oho, nasz „dobrotliwy miś” poczuł zapach miodu – pomyślał. Głośno zaś zapytał:

– Dokąd jedziemy, panie kapitanie?

Morawski dopiero teraz zorientował się, że zaskoczony informacją stanowiącą być może ślad prowadzący do rozwiązania sprawy Lucińskiego, zapomniał się dowiedzieć, gdzie szukać Gonery.

– Zychu kochany! Błagam cię, zatelefonuj z wartowni do porucznika Korczaka i dowiedz się, gdzie znajdzie Gonere. On już będzie wiedział, o co chodzi.

Zych wybuchnął śmiechem. Roześmiał się też Morawski.

– No cóż, kapitanie. Lata swoje robią. Coraz częściej się zapomina...

– Dlatego, proszę, poratuj mnie.

Kapral skierował się w stronę wejścia do komendy. Wrócił po kilku minutach.

– Gonera leży w szpitalu na Barskiej, sala czwarta, trzecie piętro.

– To lecimy na Barską.

Jak strzała przemknęli przez Towarową i Grójecką. Z fasonem zajechali przed szpital.

Nikt nie pytał kapitana, po co idzie i do kogo. Nie dziwił się temu. W szpitalach coraz mniej personelu, coraz częściej namawia się krewnych, by dyżurowali przy chorym. W tej sytuacji, gdy po szpitalu kręci się wiele obcych osób, kto będzie się trudził zadawaniem pytań.

Znalazł wreszcie właściwą salę. To, co tu zobaczył, choć w istocie tragiczne, rozśmieszyło go. Na każdym łóżku leżał pacjent podobny do spowitej bandażem kłki z grubo zagipsowanymi kończynami. Niektórzy

mieli ręce i nogi na wyciągach.

Morawski odczytywał tabliczki informacyjne. Gone-
ra leżał na łóżku obok okna. Podobnie jak inni z nogą na
wyciągu i z obandażowaną głową.

– Pan Gonera?

– Tak. – Biała postać z trudem odwróciła głowę w
kierunku pytającego.

– Kapitan Morawski z milicji. Prowadzę śledztwo
w sprawie Lucińskiego. Może pan rozmawiać?

– Mogę, chociaż czuję się nie najlepiej. Ale o Lu-
cińskim już wszystko powiedziałem.

– Teraz chcę porozmawiać o pańskim wypadku.
Gdy się pan zmęczy, proszę mi powiedzieć.

Kapitan usiadł na stołku i wyjął z kieszeni notes.

– Co pan wie o pana wypadku? I czy to w ogóle
był, pana zdaniem, wypadek?

– Już rozmawiałem z pana kolegą. Wyjaśnialiśmy
te rzeczy.

– Wiem. Ale on prowadzi sprawę wypadku, a ja
szukam Lucińskiego.

– Rozumiem. A więc to była próba zabicia mnie.

– Skąd ta pewność?

– Bo w ostatniej chwili, tam na Niskiej, zobaczy-
łem, że ten samochód jedzie wprost na mnie. Ruszył od
przeciwległego krawężnika i pędził w moim kierunku.

– Co pan wie o planowanej przez Lucińskiego
transakcji?

– Już mówiłem. Umówił się z kimś na rogu Ra-
cławickiej i Kazimierzowskiej o godzinie jedenastej

w dniu dwudziestego siódmego sierpnia.

– Za to, że chciał mu pan towarzyszyć, nie próbowaliby pana zabić. Pan musi coś jeszcze wiedzieć. Coś, co jest dla tamtych bardzo cenne.

– Ale ja naprawdę nic więcej nie wiem.

– Przypomnijmy sobie wszystko od początku sprawy, dobrze?

– Dobrze.

– Kto przyjął w biurze telefon do Lucińskiego?

– Ja.

– Rozmawiał pan z telefonującym?

– Nie. Po prostu powiedziałem jak zawsze: „Biuro projektów”, a tamten odpowiedział, że on w sprawie ogłoszenia w „Życiu”. Więc zawołałem do telefonu Leszka. I to wszystko.

– Co mówił panu Luciński po rozmowie telefonicznej?

– Prosił, żebym z nim pojechał. Zgodziłem się, ale natknęliśmy się na moją żonę. I musiałem jej towarzyszyć. Może to i dobrze. Może wtedy i ja bym nie żył...

– O mały włos, a już by pan i teraz nie żył. Dwa razy umknął pan śmierci. Jeśli nam pan nie pomoże, trzeci raz może być dla pana ostatni.

– Kiedy ja naprawdę nic nie wiem.

– To się tylko panu wydaje. Pana wrogowie myślą zupełnie inaczej. Czy pan się z kimś kontaktował od dwudziestego siódmego sierpnia?

- Tylko raz.
 - Z kim?
 - Z Lucińską. Poszedłem tam z żoną, zapytać, czy potrzebna jej jakaś pomoc.
 - I co?
 - I nic.
 - Był wtedy ktoś jeszcze u Lucińskiej?
 - Byli. Kilka osób.
 - Kto?
 - Od nas z biura. Zresztą umówiliśmy się większą grupą.
 - Kto to był?
 - Ja z żoną, Lucjan Kugel, Wojciech Śmiela, też z żoną. Był jeszcze nasz szef, Wyborski... I zdaje się Lisiecki.
 - To wszyscy?
 - Tak, nie przypominam sobie więcej osób.
 - O czym rozmawialiście?
 - O zaginięciu Lucińskiego. I czy Lucińską potrzebuje pomocy.
 - To wszystko?
 - Nie, nie wszystko. Jeszcze mówiłem, że tę rozmowę z facetem, co to zgłosił się z ofertą sprzedaży bonów, nagrałem na taśmę. Bo akurat robiłem próbę aparatu rejestrującego rozmowy.
- Morawski drgnął.
- Ma pan to nagranie?
 - Mam.
 - Gdzie jest taśma?
 - W biurze. W mojej szafie pancерnej.

- Jak się dostać do szafy?
- Pan Wyborski ma do niej klucze.
- Tam jest tylko ta taśma, czy są też inne?
- Jest kilka. Ta ma symbol AF, próba sto dwadzieścia osiem łamane przez sto trzydzieści dwa.
- Panie Gonera, pan sobie nawet nie wyobraża, jak pan nam pomógł. Oby tylko taśma była jeszcze na swoim miejscu. Dziękuję panu.

Morawski zerwał się i odprowadzany zdziwionym wzrokiem chorych i personelu, podśpiewując zbiegł po schodach, jakby tam na ulicy czekał na niego nie Zych w milicyjnym wozie, ale sama Marylin Monroe w pięknym cadillacu.

Rozdział 7

Kapral Zych był coraz bardziej zdziwiony zachowaniem się kapitana. Gdy Morawski podbiegł do wozu, podśpiewując: „Artystki, artystki, artystki z varietés”, i krzyknął: „Do Instytutu Telekomunikacji”, Zych już wiedział, że kapitan ma sprawę z głowy. Podniecenie oficera udzieliło się i jemu. Rzucił się swym fiatem w największe korki, wymijając po drodze wszystkich i wszystko, nie żałując nawet w kilku sytuacjach klaksonu.

Gdy wóz zatrzymał się przed gmachem Instytutu na Pradze, kapitan otworzył drzwi na całą szerokość i pomknął do oszklonego wejścia, nie zważając, że po drodze ma do sforsowania kilka schodów. Uwagi jego

uszy również wiszące przy wejściu flagi oraz transparent głoszący, że właśnie odbywa się strajk ostrzegawczy. Nagle zastąpiło mu drogę trzech młodzieńców z biało-czerwonymi opaskami na rękawach.

– W jakiej sprawie?

To obcesowe pytanie ściągnęło kapitana na ziemię.

– Ja... do pana inżyniera Wyborskiego – powiedział jak mógł najuprzejmiej.

– W jakiej sprawie? – powtórzył podejrzliwie jeden ze „strażników”.

– Przyniosłem inżynierowi pewne informacje, dotyczące terminów realizacji jego pracy, która może być wykonana w zakładzie. – Morawski poczuł, że na czoło występują mu krople potu.

– Znasz tego Wyborskiego? – Młody człowiek zwrócił się do stojącego z boku kolegi.

– Znam. To ten gnojek, który twierdzi, że my organizujemy strajki z byle okazji zamiast wziąć się do poprawy stosunków międzyludzkich.

– Ach, ten! To niech poczeka, jak mu się nie podobą.

– A pan z jakiego zakładu?

Kapitan przestraszył się nie na żarty. A jak zażądają legitymacji, co im pokaże? Legitymację milicyjną? Nic rozsądnego nie przychodziło mu do głowy. Powiem prawdę, to wezmą mnie za gliniarza na przeszpiegach – pomyślał. – A i Wyborskiemu się dostanie.

– Mam prywatny warsztat. Miałem robić dla inżyniera pewną fuchę...

– A, tak! To musisz pan poczekać jeszcze czterdzieści minut, aż strajk się skończy.

– Poczekam – zgodził się zrezygnowany. Wrócił do wozu. – Znikamy stąd. Wrócimy za godzinę.

Skreśli w boczną uliczkę. Morawski włączył radio-telefon. Zgłosił się dyżurny Komendy Głównej.

– Tu kapitan Morawski. Miałem już być w biurze, ale z przyczyn ode mnie niezależnych wrócę za półtorej godziny. Proszę o przekazanie tego majorowi Górskiemu.

Rozłączyli się. Jadąc powoli wzdłuż chodnika zobaczyli przed jednym ze sklepów kolejkę.

– Co tu sprzedają? – zapytał Morawski mijającą ich kobietę.

– Żarówki. Dają po pięć. – Kobieta z dumą pokazała sprawunek.

– Jak żarówki, to lecę do kolejki – powiedział Morawski i wyszedł z wozu.

– Jak żarówki, to i ja biorę – zawtórował mu kapral Zych i stanęli w kolejce.

Gdy kupili przydzieloną im przez ekspedienta porcję, okazało się, że już najwyższy czas wracać do Instytutu. Tym razem Morawski wszedł bez przeszkód do gmachu.

– Inżynier Wyborski? – spytał wartownika sprawiającego wrażenie człowieka postawionego tu na siłę po nie przespanej nocy.

– Proszę?

– Do inżyniera Wyborskiego – powtórzył głośno kapitan.

– Drugie piętro, w końcu korytarza na prawo.

Kapitan Morawski, któremu w kolejce po żarówki całkowicie minął wcześniejszy entuzjazm, powoli, stopień po stopniu wchodził na piętro. Stanąwszy przed drzwiami opatrzonymi tabliczką „Inż. Wyborski – kierownik pracowni wdrożeń”, poprawił włosy, strzepnął z marynarki niewidoczne pyłki i dopiero potem zastukał. Nie czekając na wezwanie, nacisnął klamkę i wszedł do środka.

– Ja do inżyniera Wyborskiego.

Zza biurka podniósł się elegancki, starszy pan, ubrany w marynarkę myśliwskiego kroju. Puszyste, szpakowate włosy przy czekoladowej opaleniznie twarzy o ostrych, męskich rysach, stanowiły całość, na którą patrzy się z przyjemnością i lekką zazdrością.

– Jestem Wyborski. Słucham pana.

– Kapitan Morawski z Komendy Głównej MO.

– Wiem, że nie cieszę się sympatią naszego nowego związku, ale nie wiedziałem, że i milicja ma też coś do mnie.

– Ja w sprawie pańskiego pracownika, inżyniera Lucińskiego – szybko wyjaśnił Morawski.

– Domyślam się. Bo to rzeczywiście jakaś tajemnicza sprawa.

– I w sprawie inżyniera Gonery – dokończył kapitan.

– Właśnie! Jakieś fatum prześladowuje moją pracownię. Ale słucham, o co chodzi?

– Rozmawiałem dziś z Gonerą. Powiedział mi, że ma pan klucz do jego szafy pancерnej.

– Mam. Prawdopodobnie interesuje pana ta taśma z nagraniami.

– Skąd pan wie? – Morawski wydał się trochę zaskoczony.

– Po prostu Gonerę powiedział w obecności kilku osób, między innymi ja przy tym byłem, że ma taśmę z głosem człowieka, który jako ostatni widział Lucińskiego.

– Właśnie. Dlatego chcemy ją mieć.

– Proszę bardzo. Zaraz ją panu wydám.

Wyborski wyjął z szuflady biurka klucze. Kapitanowi wyrwało się z piersi ciche westchnienie. A więc taśma jest. Nikt jej nie wziął – pomyślał z ulgą.

Weszli do pracowni. Minęli rząd desek kreślarskich, prowadzeni ciekawymi spojrzeniami pracowników. Inżynier Wyborski otworzył jedną z szaf. Na górnej półce stało kilkanaście pudełek z taśmami magnetofonowymi.

– AF sto dwadzieścia osiem łamane przez sto trzydzieści dwa – przypomniał sobie Morawski.

Pudełko z takim oznakowaniem stało przy końcu rzędu. Kapitan wyjął go i otworzył. Taśma była na swoim miejscu.

– Mogę wypożyczyć?

– Jeśli trzeba, to proszę! Tylko pokwituje pan odbiór. I mam nadzieję, że po skończeniu śledztwa dostanę ją z powrotem.

– Naturalnie. Oddamy ją zaraz po przesłuchaniu.

Kapitan napisał pokwitowanie i wręczył je Wybornskiemu. Wyszli na korytarz.

– Dziękuję panu. Zdaje się, że ta taśma będzie stanowiła dla nas cenny ślad.

– Bardzo się cieszę, bo chciałbym wiedzieć, co stało się z Lucińskim.

Żegnając się, Morawski spytał Wyborskiego:

– Czy ktoś inny już chciał od pana tę taśmę?

– Tak. Taśmę chcieli wypożyczyć: inżynier Śmiela i technik Kugel.

To znaczyło, że spośród czterech podejrzanych należało wykluczyć zaledwie jednego: Wyborskiego.

Morawski wrócił do komendy na kilka minut przed końcem pracy. Zdążył jeszcze zatrzymać porucznika Bondaruka.

– Wyciągnij magnetofon i przegraj na nasz użytek fragment, dotyczący Lucińskiego. – Przekazał koledze taśmę. – Ja pójdę do bufetu. Może jeszcze dostanę coś do jedzenia.

– Są dwie specjalności zakładu: ziemniaki a la kołtlet mielony i kurczak a la flaczki.

– Tylko?

– Jest jeszcze ozorek. Ale go nie proponuję, bo nie przepadam za tym, co już ktoś miał przede mną w gębie.

Kapitan machnął ręką.

– Wytrzymam do obiadu w domu. To przegranie zajmie nam najwyżej czterdzieści minut. I na dziś

fajrant! Dosyć emocji! Wyjęli z szafy magnetofony, założyli taśmy.

– Ruszamy. – Podporucznik wcisnął klawisze.

Z początku słuchali nagrań z uwagą, a nawet kilkakrotnie wybuchali śmiechem. Gonera, chcąc sobie ułatwić zadanie, próbował swoją przystawkę, nagrywając rozmowy telefoniczne do kolegów i koleżanek. Robił to prawdopodobnie bez ich wiedzy. Przesłuchali tak jedną stronę taśmy. Ale tu interesującej ich rozmowy nie było. Bondaruk przełożył taśmę i krążek zaczął się znów powoli obracać. Znużeni o mało nie przegapili właściwego fragmentu.

– Jacek! Cofnij taśmę! Mamy wreszcie, to co nas interesuje! – Kapitan Morawski stanął przy biurku z magnetofonami. Podporucznik spełnił polecenie. Włączył magnetofon. Posłyszeli słowa pożegnania, kończące poprzednią rozmowę, potem trzask, chwila ciszy i rozległ się głos:

„Biuro projektów, słucham”. To Gonera.

„Ja w sprawie ogłoszenia w dzisiejszym »Życiu Warszawy«”. Ale ten głos czyj? Mordercy? Czy tylko pośrednika? A może przyszłego świadka?

„W tej chwili”. Kilka sekund ciszy. „Leszek! Już masz pierwszego klienta”. To znów Gonera. „Tak, słucham”. Te dwa słowa wymówił Luciński.

Wreszcie rozległy się zdania, które zawierały konkretną informację: „Spotkamy się jutro o godzinie jedenastej na rogu Kazimierzowskiej i Raławickiej. Będę na pana czekał w wiśniowym fiacie 125p. Numer

rejestracyjny: WG 8608. Moje nazwisko: Nowak. Zapamiętał pan?”

Dokończyli nagrywanie i siedli przy swoich biurkach.

– Co robimy, szefie? – spytał po chwili Bondaruk.

– Raczej nic. Bo to są informacje bezużyteczne.

– Jak to, szefie? Tyle roboty i nic – zachnął się Bondaruk. – Przecież mamy jakieś dane.

– Czy ty myślisz, że po tamtej stronie są durnie? – prychnął kapitan. – Jeśli tak myślisz, to przegrałeś. Nigdy nie można lekceważyć przeciwnika. – Kapitan powoli uspokajał się. – Pomyśl logicznie: jakaś szajka planuje rabunek. Więcej! Wlicza w to zamordowanie ofiary. Bo, że Luciński zginął, to już pewne. I ta szajka zostawia dla nas wizytówkę? Podaje nam siebie jak na tacy?

– Może to nie szajka? Może to nasz świadek? Poza tym nie mógł wiedzieć, że będzie nagrywany – zaprotestował Bondaruk.

– Nawet jeśli nie wiedział, to i tak przestępca, mając opracowany plan morderstwa, nigdy nie poda numeru wozu i innych danych. A ten podał. A dlaczego mówisz: świadek?

– Bo może on tylko sprzedał bony Lucińskiemu...

– Ale wtedy nikt nie próbowałby mordować Goney. A jego chciano zabić...

– Ale może ten Nowak coś wie. Może chodzi tylko o to, by do niego nie trafić – Bondaruk dalej trwał przy swej teorii.

– Może masz rację – kapitan zgodził się wreszcie z

argumentami Bondaruka. – Pisz więc, po pierwsze: sprawdzić fiata sto dwadzieścia pięć pe o numerze rejestracyjnym WG osiemdziesiąt sześć zero osiem, po drugie: ustalić możliwie dokładne dane Nowaka. Choć nazwisko na pewno też „pur la hec”. Najlepszy dowód, że Nowak. W Polsce mamy setki tysięcy Nowaków. Żeby nazywał się na przykład Brzęczykowiakowski mielibyśmy o wiele mniej pracy. Po trzecie: sprawdzić, czy Śmiela, Kugel i Lisiecki mają fiaty sto dwadzieścia pięć pe koloru wiśniowego, po czwarte: zarządzić obserwację tych panów. Z kim się kontaktują? Może ktoś z kręgu ich znajomych ma takiego fiata? I to byłoby wszystko na dziś. Jak widzisz, niewiele tego. Do zobaczenia jutro!

Rozdział 8

Na powierzchni stawu, marszczonego lekkim powiewem ciepłego wiatru, drgały srebrzyste łuski promieni wyłaniającego się zza chmury słońca. Było cicho. Monotonny szum poruszanych rytmicznie trzciny, gęsto zarastających staw, i jednostajny plusk wody o brzeg, stwarzał atmosferę lenistwa i senności. Tę gęstą ciszę mącił jedynie przytłumiony warkot samochodów, przejeżdżających pobliską szosą. Siedzący w bezruchu wzdłuż brzegów stawu wędkarze zdawali się jednak tego nie słyszeć. Ze wzrokiem wlepionym w wodę podrywali

co pewien czas wędki, by znów szerokim zamachem zarzucić je na tę jedną, jedyną pływającą tam w głębi stawu rybę, która da im satysfakcję i zapewni podziw kolegów. Wpatrzeni jak zahipnotyzowani w śmiesznie podrygujące na powierzchni wody spławiki, nie zwrócili uwagi na wynurzającą się zza kępy nadbrzeżnych drzew grupę osób. Dwaj cywile z biało-czerwonymi opaskami na rękawach podeszli do wędkarzy. Cywilom towarzyszył funkcjonariusz milicji. Na jego naramienikach srebrzyły się naszywki sierżanta.

– Dzień dobry panom. Czy możemy zobaczyć książeczki wędkarskie?

Siedzący z samego brzegu człowiek powoli, jakby mu to sprawiało ogromną trudność, odwrócił głowę w stronę pytającego.

– Lepiej wzięlibyście się za tych, co masowo zaturwają rzeki. A wy się nas czepiacie. – Wyciągnął z kieszeni książeczkę wędkarską. Podał kontrolerowi. – Zawsze tylko się widzi tego szarego człowieka, a zamyka oczy na milionowe przestępstwa.

Drugi z kontrolerów sięgnął po stojący obok kubełek. Wyciągnął z niego jedną rybkę. Zmierzył centymetrem.

– Ta jest poniżej normy – rzekł i wrzucił rybkę do stawu.

– Co znaczy: poniżej normy? Ale swoje lata ma! To liliput.

– Ja też tak myślałem. Dlatego nie wlepię panu mandatu.

- To dlaczego wrzucił ją pan do stawu?
- Bo znęcanie się nad niedorozwiniętymi lub kalekami jest szczególnie naganne. – Kontroler mówił spokojnie, powoli cedząc słowa. Poszedł dalej, a za nim pospieszył trzymający się dotychczas z boku sierżant. Na widok nadchodzącego na twarzy jednego z wędkarzy pojawił się szeroki, serdeczny uśmiech.
- Cześć, Antek!
- Sierżant spojrział w stronę mówiącego.
- Jak się masz Józiek! – Podbiegł do kolegi. Uściśnęli się.
- Ale mam szczęście, że cię spotkałem.
- Choć większym szczęściem byłoby dla ciebie złowienie ryby. Przyznaj się!
- Co ty! Tyle lat się nie widzieliśmy. A przecież dobrze nam się razem pracowało. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak praca, w której jest się stale narażonym na niebezpieczeństwo, łączy ludzi.
- Jak mam nie wiedzieć. Przecież, jako gliniarze, jesteśmy z jednej gliny. Co teraz robisz?
- Jak widzisz, odpoczywam. Choć muszę ci się przyznać, że tęsknię trochę za naszą służbą. Cóż było jednak robić w mojej sytuacji. Człowiek po zawale nie jest już w milicji potrzebny. Szczególnie dziś. W tej sytuacji... – zakończył z nutą goryczy w głosie.
- Nie narzekaj. To dla twego dobra. Teraz sobie spokojnie pożyjesz. Rybki, rodzina, spacer. Nie to, co ja.
- No właśnie. Skąd się tu wzięłeś?

– Przenieśli mnie kilka miesięcy temu. Na komendanta posterunku w Pyrach. Poprzedni nie wytrzymał nerwowo i zwolnił się ze służby. Wiesz, jak jest... Teraz złodzieje, prostytutki i ci, co z nami mieli do czynienia, wyzywają się. Kilka razy wybili szyby w jego mieszkaniu. Na drzwiach malowali szubienicę. Syna mu pobito.

– Tak, doczekaliśmy się czasów. Ale to jest normalne. Gdy w państwie panuje bezkrólewie, do głosu dochodzą elementy przestępcze... Radę sobie dajesz?

– Wolałbym być w komisariacie na Waliców. Tam było ciekawiej. Tu tylko pyskówki! Chłop babie wlał, sąsiad sąsiadowi kurę ukradł. Choć teraz jest ciężko. Ludzie dostali jakiegoś szału. Nikomu nie możesz przemówić do rozsądku. Wierzą w najgorsze brednie.

– Ale taka jest prawda. Nie pomogą żadne wzniosłe hasła. Jeżeli szary człowiek nie będzie mógł zrobić zakupów bez problemu, załatwić sprawy bez odsyłania od Annasza do Kajfasza, to najwznieślijsze hasła są do dupy. Dla zwykłego obywatela ustrój może się nazywać socjalistycznym czy kapitalistycznym. To nieistotne. Dla niego jest ważny dach nad głową, dostatnie życie, spokój – rzekł wędkarz. – W każdym razie ty nie narzekaj. Łatwiej awansujesz, będąc komendantem.

– Awans! – Sierżant wrzucił ramionami. – Wszystko na twojej głowie. Gdy pytasz o radę, przełożeni mają jedną odpowiedź: rób, jak uważasz! Dopiero po wszystkim mądrzą się, jak oni by to zrobili.

– A ty nawet nie widzisz, że ci teren zanieczyszczają – zmienił nagle temat wędkarz.

– Co zobaczyłeś? – zachnął się sierżant.

Tamten wskazał ręką na małą polankę nad wodą.

– Chodź, to ci pokażę. Popatrz! Nie dosyć, że myją tu różnymi chemikaliami swoje samochody, to jeszcze rozlewają jakieś farby.

Józiek stał nad czerwoną plamą, odbijającą wyraźnie od zieleni trawy.

– O, nawet tabliczkę rejestracyjną zostawili. Jak bilet wizytowy. Niczego się nie boją!

– I co mam z tym zrobić? – Sierżant podniósł zgniecioną tablicę. – Można odczytać tylko część cyfr. Nie będę uruchamiał całej milicji, by szukali igły w stogu siana. I to jeszcze z powodu takiego drobiazgu!

– Ja tam bym nie darował! – upierał się wędkarz. – Daj o tym notatkę do naszego biuletynu. Może akurat trafią faceta i mu przyłożą...

– Dobrze już, dobrze. Zrobię to tylko dla ciebie. – Sierżant wyjął notatnik i zapisał w nim fragmenty znaków z tablicy rejestracyjnej. – No, idziemy dalej! Trzymaj się, stary. Wkrótce do ciebie dołączę, bo brak mi jeszcze trzech lat do emerytury. Gdy będziesz tu jeszcze, wpadnij do mnie na posterunek. Pogadamy dłużej.

– Trzymaj się! Teraz, kiedy wiem, że tu jesteś, wpadnę na pewno – uścisnęli się serdecznie.

*

Skrzypnęły drzwi i kapitan Morawski podniósł głowę znad leżących na biurku papierów. Do pokoju wszedł podporucznik Bondaruk.

– Masz coś ciekawego? – Kapitan z nadzieją w oczach wpatrywał się we wchodzącego.

– Mam! Wiadomość bomba!

– Mów szybciej! Potem będzie czas na żarty. Bondaruk usiadł naprzeciwko kapitana. – Sprawdzono numer rejestracyjny wozu Nowaka.

– I co?

– I nic. Tak jak w tym dowcipie: Czy to prawda, że Iksińskiemu ukradziono mercedesa? Prawda, tylko po pierwsze nie mercedesa, lecz rower, po drugie nie Iksińskiemu, tylko Pipsińskiemu, a po trzecie, to nie jemu ukradli, tylko on ukradł....

– Skończyłeś? – Głos kapitana był spokojny.

– Jeśli kapitan chce, to mogę skończyć.

– Chodzi mi o ten dowcip.

– Dowcip skończyłem!

– To może zajmiesz się sprawą służbową?

– Przecież ja od początku mówię na temat sprawy służbowej.

– To kontynuuj, jeśli łaska.

– Więc ten wóz numer WG osiemdziesiąt sześć zero osiem, fiat sto dwadzieścia pięć pe, będący własnością niejakiego Nowaka, jest własnością niejakiego Kazimierza Polkowskiego. Nie jest też fiatem sto dwadzieścia pięć pe, tylko fiatem sto dwadzieścia sześć pe, co przy małej różnicy symbolu oznacza jednak ogromną

różnicę w kształcie, a w ogóle to od miesiąca stoi w warsztacie, w którym miał być naprawiony po dwu dniach...

– To wszystko?

– A czy to mało?

– Nie! Tego właśnie się spodziewałem.

– Czyli dopiero teraz zaczynamy właściwe śledztwo. Od punktu: zero.

– Tak – kapitan przeciągnął słowo. – Zaczynamy od zera.

Kapitan podniósł się z krzesła i skierował do drzwi. Gdy wrócił, w pokoju była także sierżant Krystyna Grzelec.

Morawski zdążył zauważyć, że dziewczyna odsunęła się błyskawicznie od Bondaruka, a na jej policzki wystąpiły rumieńce. Podporucznik stał jak słup soli, trzymając w ręku jakieś dokumenty.

– Co tam macie?

– Koleżanka przyniosła nowy biuletyn informacyjny.

– I co ciekawego?

– Nic! Same trele-morele. Co za nieciekawy kraj ta Polska. Nic się nie dzieje! Ot, jakieś podpalenia, jeden mały wypadek drogowy. Albo to! Proszę posłuchać: „Zanieczyszczenie środowiska. Dnia trzydziestego sierpnia nad stawem w Dąbrówce koło Warszawy ujawniono przypadek zanieczyszczenia środowiska w wyniku prawdopodobnego rozlania większej ilości farby czerwonej. Pozostawione ślady świadczą, że farbę wylano z samochodu stojącego nad brzegiem stawu.

W miejscu zdarzenia znaleziono tablicę rejestracyjną z nieczytelnym numerem w wyniku odprysku emalii po zgnieceniu przez oponę. Odczytane znaki W, prawdopodobnie 0, dwie pierwsze cyfry nieczytelne. Ostatnie cyfry: zero osiem” – Bondaruk roześmiał się. – Nie mają co pisać albo redaktor ma lekkiego fioła na punkcie ochrony środowiska.

Kapitan Morawski zmarszczył czoło. Sprawiał wrażenie, jakby starał się coś sobie przypomnieć.

– Powiedziałeś: zero osiem – upewnił się.

Bondaruk spoważniał.

– Zero osiem? Rzeczywiście! Że też wcześniej tego nie skojarzyłem. – Jeszcze raz przebiegł wzrokiem notatkę. – No tak! WG osiemdziesiąt sześć zero osiem!

– Jeśli z „G” odprysnęło trochę emalii, może ona przypominać również część „O”...

– Czyli mamy ślad – uradował się Bondaruk.

– Co nam daje ten ślad? – Kapitan, zapatrzony w jakiś niewidoczny punkt, jakby mówił do siebie. – To, że numer rejestracyjny był fałszywy, już wiemy. Doszłaby tylko hipoteza, że przestępca, lub przestępcy, po obrabowaniu Lucińskiego zmienili tablice rejestracyjne na właściwe.

– I zmyli wiśniową farbę z fiata – wpadł kapitanowi w słowo Bondaruk.

– I zmyli farbę. Po czym wyjechali fiatem o niewiadomym kolorze i numerze rejestracyjnym.

– Czyli szukaj wiatru w polu – stwierdził sentencjonalnie Bondaruk.

– Szukaj, ale nie wiatru w polu. W każdym razie jeszcze nie.

– A jakie jest rozwiązanie?

– Można by sfilmować to miejsce i dać komunikat do telewizji. Kto w dniu takim to a takim o godzinie tej i tej widział wyjeżdżającego z tego miejsca lub stojącego nad brzegiem stawu fiata sto dwadzieścia pięć pe i tak dalej, i tak dalej...

– To jest myśl. Że też ja na to nie wpadłem! – Bondaruk uderzył się dłonią w czoło.

– Bo jesteś dopiero podporucznikiem. Gdy zostaniesz kapitanem, to może jeszcze lepsze pomysły będą ci przychodziły do głowy. – Kapitan Morawski wyszedł z biurka i rozpoczął spacer po pokoju z założonymi do tyłu rękami.

Był to znak, że kapitan, jak pies myśliwski, złapał trop i będzie już szedł nim aż do zakończenia sprawy.

– Towarzyszko Grzelec – zaczął Morawski, nie przerywając spaceru. – Natychmiast operatora filmowego, wóz... Porozumieć się z posterunkiem w Pyrach. Pojedziemy, by zrobić możliwie najdokładniejszą dokumentację miejsca. To wskazuje również na fakt, że morderstwa Lucińskiego dokonano w pobliżu. Trzeba będzie przeczesać okoliczne lasy...

– Ja tam często jeżdżę na niedzielne spacerunki – wtrącił Bondaruk. – W lasy kabackie. Wie pan kapitan, jakie to piękne i duże lasy? A jakie bogate. Można tam znaleźć grzyby, jeżyny, maliny, poziomki. Jednak

szukanie tam zwłok to syzyfowa praca. Chyba że mordercy zostawili je w widocznym miejscu z bilecikiem wizytowym. Tylko wtedy mielibyśmy już sygnał o ich znalezieniu.

Rozdział 9

Trzaśnięcie drzwi wyrwało kapitana Morawskiego z zamyślenia. Dopiero po chwili zorientował się, że do pokoju weszła Krystyna Grzelec.

– Wóz z funkcjonariuszem, zaopatrzonym w kamerę filmową, czeka przed wejściem do komendy. Rozmawiałam już z Pyrami. Komendant posterunku nie ruszy się z miejsca, bo przecież tylko z nim można sfilmować miejsce znalezienia plamy farby nad stawem i jego otoczenie – zameldowała Morawskiemu.

Kapitan, jak wyrwany z głębokiego snu, rozejrzał się po pokoju. W rogu przy swoim biurku siedział Bondaruk, przeglądając jakieś papiery. Cisza panująca w pomieszczeniu aż dźwięczała w uszach. Co za spokój! Taka sytuacja rzadko zdarzała się w ich pracy. Jednak kapitan Morawski nie lubił takiego spokoju. Miał wtedy wrażenie, że całe śledztwo utknęło na martwym punkcie.

Czy tak naprawdę nie jest? – zastanowił się.– Jeśli nawet damy ten komunikat w telewizji, to co w ten sposób osiągniemy? Zjawi się świadek, może nawet dwu. Powiedzą, że widzieli w tym miejscu, w tym dniu i o

tej godzinie fiata 125p. Był to fiat koloru... Na przykład koloru śmieciarki: yellow bahama. I co? Szukać w całej Polsce fiata yellow bahama? Ile ich może być? – przerwał na chwilę rozmyślenia.

– Bondaruk! – krzyknął w stronę współpracownika. Ten aż podskoczył na krześle. – Bondaruk! Ile jeździ po Polsce fiatów sto dwadzieścia pięć pe?

Podporucznik, wyrwany z zamyślenia nagłym okrzykiem szefa, popatrzył na niego półprzytomnym wzrokiem. Nie bardzo rozumiał, co się dzieje.

– Pytam się ciebie, ile po Polsce jeździ dużych fiatów?

– Bo ja wiem – wykrztusił Bondaruk.

– To co wy właściwie wiecie?

– Dużo różnych rzeczy. Ale obywatel kapitan nigdy mnie nie pyta o to, co wiem.

– Ja pytam o to, co powinniście wiedzieć. Niestety, są to zawsze pytania bez odpowiedzi. To co z tymi fiatami?

– Myślę, obywatelu kapitanie, że jeśli przyjmiemy, iż w Polsce mieszka trzydzieści sześć milionów obywateli, zaś każda rodzina składa się przeciętnie z trzech osób, a statystyka podaje, że co piąta rodzina u nas ma samochód, to samochodów będzie tak na oko ponad dwa miliony. To by się zgadzało, bo jeszcze można przejść czasami bezpiecznie na drugą stronę ulicy.

– A gdyby nie było można?

– To samochodów musiałyby być ze trzy miliony.

– Zostańmy przy dwu milionach. Ile w, tej liczbie jest fiatów sto dwadzieścia pięć pe?

– Jeśli bralibyśmy pod uwagę miłość naszych rodaków do wszystkiego, co zagraniczne, to polskich fiatów powinno być mało. Ponieważ jednak zagraniczna miłość jest kosztowna, wyraża się w twardej walucie, i stąd dla wszystkich nie jest dostępna, fiatów sto dwadzieścia pięć pe będzie z milion.

– A ile w tym fiatów yellow bahama?

– Mało! Kolor raczej niereprezentacyjny. Ale myślę, że z pięćdziesiąt tysięcy to będzie.

– Może mniej?

– Może. Co ja się będę z obywatelem kapitanem targował? Niech obywatel kapitan powie, ile chce tych yellow bahama mieć?

– Jak najmniej.

– To niech będzie dwadzieścia tysięcy. Dlaczego obywatel kapitan pyta?

– Nic, nic. Tak pytam. – Kapitan znów się zamyślił. – Niech będzie tych wozów dziesięć tysięcy. To też kolosalna robota. Znaleźć wśród tej liczby jeden, ten poszukiwany. Czysta utopia. A jednak znajdujemy! – Zerwał się zza biurka. – Szkoda czasu. Jedziemy do Pyr. Gdyby ktoś o mnie pytał, będę za dwie godziny.

Gdy kapitan podchodził do samochodu, fotograf wraz z kapralem Zychem siedzieli na ławeczce z twarzami skierowanymi do słońca.

– Od kiedy to płacą wam za opalanie? – zrobił

groźną minę Morawski.

Zagadnięci powoli otworzyli oczy i spojrzeli na kapitana.

– Nie za opalanie, tylko za czekanie na pana kapitana – wyjaśnił spokojnie fotograf.

Porucznik Tadeusz Malinowski znał się z kapitanem od dawna. Nawet już nie zliczyłyby, ile spraw prowadzili wspólnie. Poza tym byli sąsiadami. Mieszkali obok siebie na tym samym piętrze i wielokrotnie sobie pomagali. Jak to sąsiedzi. Często, gdy Malinowskiemu, zartwardzialemu kawalerowi, znudziło się siedzieć samotnie w mieszkaniu, zapraszał kapitana na pogaduszki przy małym koniaku lub wpadał do Morawskich na kawę z ciastem wypieku pani kapitanowej. Bo choć nie można było powiedzieć, żeby porucznik Malinowski zazdrościł kapitanowi żony, to jednak musiał się zgodzić, że piekła świetne ciasta. A porucznik raczej od słodczy nie stronił.

– Lepiej dziś płacić za siedzenie niż niepotrzebnie wypaloną benzynę. Bo benzyna jest za dolary – uzupełnił kapral Zych.

– Koniec laby. Lecimy do Pyr.

Gdy wjeżdżali na ulicę, przy której znajdował się posterunek, uwagę ich zwrócił tłum ludzi, kłębiących się przed Jednym ze sklepów. Z tłumy padały pojedyncze okrzyki. Z daleka trudno było je zrozumieć, więc kapitan, zaintrygowany, a poza tym wyczulony na panującą ostatnio nerwową atmosferę, zwrócił się do Malinowskiego:

– Zobaczmy, co się dzieje?

– Ano, zobaczymy – zgodził się porucznik, biorąc ze sobą kamerę. – Wygląda na to, że robi się gorąco. Zobacz, kapitanie – to mówiąc, wskazał na trzech funkcjonariuszy, nadbiegających od strony posterunku.

Wysiedli. Dopiero teraz mogli rozróżnić padające z tłumu okrzyki pod adresem milicji. Trzej funkcjonariusze przedzierali się do środka zbiegowiska. Malinowski z Morawskim podążyli za nimi. Wreszcie na schodkach wiodących do sklepu zobaczyli leżącego milicjanta. Malinowski nieustannie filmował. Koledzy pochylili się nad leżącym.

– Antek, żyjesz? Co się stało?

Z ust leżącego dały się słyszeć niewyraźne słowa. Jeden z kolegów rozpiął mu guziki bluzy i rozluźnił krawat.

Malinowski nachylił się nad rannym, by z bliska nakręcić tę scenę.

– Proszę nie filmować! To nie teatr! – Stojący obok funkcjonariusz natarł na Malinowskiego.

– My służbowo! – kapitan Morawski pokazał legitymację. – Mamy w wozie radiotelefon – uzupełnił. – Nasz kierowca dał mi znak, że już powiadomił Warszawę.

– Dziękujemy.

– To wasz komendant?

– Tak. Sierżant Antoni Plewniak. Niedawno przyszedł do nas. Szkoda go. Dobry był człowiek. Za co go tak pobili?

Kapitan Morawski podeszedł do stojącego niedaleko mężczyzny ubranego w roboczy kombinezon „Transbudu”. – Nie wie pan, o co tu poszło?

– Wiem, bo akurat przechodziłem. Ekspedientki złapały złodzieja, który ukradł klientce torebkę. Wezwały sierżanta, który coś załatwiał obok w księgarni. Gdy milicjant wyprowadzał złodzieja, przed sklepem zgromadził się tłum. Wyszli przed sklep. Wtedy złodziej zaczął krzyczeć, że jest niewinny, że sierżant go bił, bo on upomniał się o sprawiedliwość. Ktoś z tłumu krzyknął: „Bić gliniarzy”. I tłum natarł na sierżanta.

– A złodziej?

– Pewnie uciekł.

– I nikt nie rzucił się na pomoc?

– Ano nikt.

– A dlaczego pan nie wyjaśnił, o co chodzi?

– A bo to moja sprawa? To sprawa milicji. – Mężczyzna wzruszył ramionami, odwrócił się na pięcie i poszedł w dół ulicy.

Kapitan Morawski z trudem pohamował wzburzenie. Zza domów doleciało przeraźliwe wycie nadjeżdżającej karetki pogotowia. Wtórował mu niski, dłuższy sygnał radiowożu.

– Nic tu po nas. – Morawski z porucznikiem wrócili do wozu. – To, co nakręciłeś, prześlemy później w komendzie. – Wsiedli w milczeniu. Kapral Zych siedział cicho, czekając na dalsze polecenia.

– Jedziemy! – rzekł kapitan.

– Dokąd? – Zych był najbardziej rzeczowy.

Kapitan dopiero teraz uświadomił sobie, że ten, który miał im wskazać miejsce, gdzie znaleziono plamę, nie będzie mógł teraz służyć im pomocą.

– Jedziemy nad staw w Dąbrówce. Musi być widoczny z szosy. Jakoś damy sobie radę. Plama chyba jeszcze będzie, bo deszcz nie padał. A nikt nie bawi się w zmywanie plamy na trawie.

Po chwili zobaczyli po lewej stronie szosy staw, porośnięty trzcinami.

– To chyba tu. Poczekajcie w wozie. Ja poszukam plamy. Najlepiej będzie robić zdjęcia stąd, z szosy. Bo jeśli ktoś coś widział, to raczej kierowcy przejeżdżających wozów. Zresztą później zrobimy także kilka ujęć z bliska.

– Nie wiem, czy to się uda? – fotograf miał zatroskaną minę. – Bo większą część taśmy zużyłem tam, w Pyrach.

Kapitan skierował się nad staw.

– Jeśli myli wóz, to w miejscu, w którym mieli dostęp do wody. O, tu widać kawałek brzegu nie zarośniętego trzcinami. – Mówiąc to zaczął uważnie lustrować zieleń trawy. W pewnej odległości, po lewej stronie, za kępą zarośli zobaczył burą plamę. Nawet był zaskoczony, że tak szybko odnalazł to miejsce. Było dobrze wybrane. Zarośla osłaniały wóz przed zbyt ciekawymi oczami z szosy. Dał znak ręką Malinowskiemu. Ten zaczął filmować miejsce, w którym myto wóz.

– No to koniec! Gdybyś chciał jeszcze coś, to nic z tego. Taśma się skończyła.

– Wobec tego wracamy. – Kapitan zaczął wspinać się pod górę ku szosie. – Muszę ci się tak szczerze przyznać, że nie bardzo wierzę, by to, co robimy, przyniosło rezultaty. Ale...

– Niech żywi nie tracą nadziei – dokończył Malinowski.

*

Minął znów jeden dzień. Dzień oczekiwania. Bo i cóż im pozostało? Nie mieli żadnego punktu zaczepienia. Żadnego śladu. Zarządzona obserwacja trzech podejrzanych: Kugla, Śmieli i Lisieckiego, nic nie dała. Jeden z nich jeździł zastawą, drugi skodą, a trzeci nie miał żadnego wozu. Nie kontaktowali się z żadnym posiadaczem fiata 125p. Numer WG 8608 okazał się fałszywy. Nazwisko Nowak też, rzecz jasna, było mylnym śladem.

Kapitan Morawski wrócił do domu zaraz po pracy.

– Przyniosłeś coś na obiad? – doleciał go z kuchni głos żony.

– Skąd miałem wziąć? Przecież kolejki stoją już od piątej rano.

– Jak to, skąd miałeś wziąć? Ze swego bufetu – odrzekła żona.

– Z bufetu? Przecież tam jest tylko twarożek, jajko na twardo i kotlet ziemniaczany.

– Co ty mi mówisz? – Morawska nie ustępowała; jej głos stawał się coraz bardziej agresywny. – W kolejkach,

na ulicy, nawet sąsiadki, wszyscy mówią, jakie to dobre zaopatrzenie jest w bufetach milicyjnych. A ludzie wiedzą, nie bój się:

– Gdyby było, to bym przyniósł – próbował tłumaczyć.

– Inni przynoszą...

– Widziałas?

– Nie, ale tak mówią ci, co widzieli. A żona zawsze o wszystkim dowiaduje się ostatnia.

– Tak jak o dodatku rodzinnym. Zrobili szum, że my mamy kilka razy większy niż na mieście, i co?

Drzwi do pokoju uchyliły się i stanął w nich Marek.

– Uspokoicie się, czy nie? Ledwo tata przyjdzie, to zaraz się kłóćcie. A ja nie mogę spokojnie odrabiać lekcji.

– Ale jeść chcesz? – Morawska wyszła z kuchni. – A jak trzeba postać w kolejce, to ciebie nie ma, bo koleś się czekają.

– Dobrze, już dobrze – skapitulował kapitan. – Kłóceniem się nie napełnimy talerzy. Trzeba jeść to co jest. Trudno.

– Mogę jeść, co jest – zgodził się Marek. – Ale niech to nie będą stale kluski i naleśniki.

Siedli do stołu w minorowym nastroju. Zaraz po obiedzie kapitan włączył telewizor.

– Już się napracowałeś? – dobiegł go głos żony – Zmywanie naturalnie zostaje dla mnie.

– Poczekaj pół godziny. Obejrzę tylko dziennik o siedemnastej i zaraz ci pomogę.

– Albo jesteś całymi dniami w pracy, albo siadasz przed telewizorem.

– Przecież dopiero pierwszy raz włączam telewizor o tej godzinie. W dzienniku tym i później, w wieczornym, mają nadać komunikat dotyczący prowadzonej przeze mnie sprawy.

– Czyli jesteś w domu, ale pracujesz?

– Tylko teraz. Daj mi dwadzieścia minut spokoju!

– Kapitan był coraz bardziej zdenerwowany.

– Dlaczego nie obejrzysz tego w wieczornym dzienniku?

– Bo jestem ciekaw, jak ten komunikat będzie wyglądał.

– Dobrze – skapitulowała wreszcie Morawska. – Ale zaraz po dzienniku pójdziesz do sklepu. Trzeba kupić coś na śniadanie i kolację.

Kapitan usiadł przed telewizorem. Dziennik już się rozpoczął, jednak komunikaty nadawano dopiero pod koniec audycji, to znaczy za dziesięć – piętnaście minut. Wreszcie rozległ się głos spikera:

– Komenda Główna Milicji Obywatelskiej prosi osoby, które dwudziestego siódmego sierpnia bieżącego roku po godzinie jedenastej trzydzieści przejeżdżały lub przechodziły szosą w Dąbrówce koło Warszawy obok pokazywanego miejsca i widziały samochód marki fiat sto dwadzieścia pięć pe, stojący nad stawem, o zgłoszenie się do Komendy Głównej, telefon... – kapitan Morawski podniósł się z fotela i wyłączył telewizor.

Malinowski bardzo wolno filmował miejsce, w którym

myto wóz, tak że bez trudu można było skojarzyć sobie zdjęcie z właściwym fragmentem krajobrazu. Tylko czy to coś da? Kapitan z ciężkim westchnieniem przeszedł do przedpokoju i zaczął zakładać buty.

- To co mam kupić?
- Wszystko jedno co, byle nadawało się do zjedzenia – rzeczowo określiła rodzaj zakupów pani Morawska.

Rozdział 10

Gdy kapitan Morawski przyszedł do pracy, sierżant Krystyna Grzelec i podporucznik Jacek Bondaruk siedzieli przy swoich biurkach. Na widok wchodzącego zerwali się z krzeseł i przyjęli postawę zasadniczą. Kapitan przywitał się z nimi.

- Co nowego? – pytanie padło w przestrzeń.
- Nic ciekawego – odpowiedział Bondaruk. – Oglądał pan kapitan komunikat?
- Oglądałem.
- No i co?
- Nie wiążę z nim wielkich nadziei.
- A ja bym się nie dziwiła, gdyby zgłosił się świadek, który podałby nam właściwy numer poszukiwanego wozu... – w głosie Krystyny dało się wyczuć optymizm.
- Polowanie na amatorów bonów przeważnie bywa dobrze przygotowaną akcją przestępczą. Nie zdziwiłbym się, gdybyśmy wkrótce usłyszeli o kolejnym takim przypadku. Jeśli przestępcy zdecydowali się na

morderstwo, to znaczy, że opracowali wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Nie wpadną na takim nieopatrzaniu, jak prawdziwe nazwisko, właściwy numer wozu czy jego kolor.

– Może dać ogłoszenie do gazet: „Kupię dużo bonów” i przyczaić się – zaproponował Bondaruk.

– Można. Przygotujemy taką zasadzkę wówczas, gdy przestępstwo powtórzy się. A może to było jednorazowe uderzenie w konkretną osobę?

– Tak! Najlepszy dowód to zamach na życie Goneru. Szajka ma współnika między kolegami Lucińskiego. Może to być tylko informator – dorzucił podporucznik.

– Mamy do czynienia z trzema osobami. Jak ich zapisaliśmy w naszych dokumentach? – kapitan zwrócił się z pytaniem do Krystyny.

– Oznaczyliśmy ich symbolami: A, B, C.

– No właśnie: A, B, C. Bo tylko w ich obecności Goner mówił o nagraniu. Jeden z nich przekazał tę informację szajce. Żaden nie mógł zniszczyć taśmy. Dlaczego? Dwaj chcieli pożyczyć klucze od szafy Goneru, ale szef nie zgodził się na to. Jeśli trzeba było coś wydać, wydawał osobiście. Trzeciego to w ogóle nie interesowało.

– A jeśli to Wyborski był informatorem? – podsunął Bondaruk. – Przecież mógł nie usunąć taśmy, by nie skierować podejrzania na siebie. Tylko on miał dostęp do szafy Goneru. Mógł nagrać tekst innym głosem. Ja bym go też wziął pod lupę. Za szybko z niego zrezygnowaliśmy.

– Hm – kapitan skinął głową z aprobatą. – Może masz i rację. Wobec tego i jemu przyjrzyjmy się dokładniej. – I dorzucił z udaną powagą:

– No, poruczniku! Widzę, że robicie postępy.

– Robi postępy nie dlatego, że zdolny, tylko dlatego, że ma doświadczonego szefa – z przekonaniem w głosie dodała Krystyna.

– Za to ty, stosując takie metody, zajdziesz wysooko. – Na twarzy kapitana pojawił się uśmiech. – To znaczy zaszłabyś może u innego szefa, ale nie u mnie.

Wszyscy troje wybuchnęli serdecznym śmiechem. Do rzeczywistości przywołał ich terkot aparatu telefonicznego.

– Kapitan Morawski, proszę.

– Melduje się portiernia. Zgłosił się interesant. Mówi, że w sprawie wczorajszego komunikatu w telewizji

– Dobrze! Dziękuję! Zaraz tam ktoś zejdzie. – Kapitan odłożył słuchawkę. Przez chwilę tkwił w bezruchu z ręką na mikrofonie. Czyżby zjawiła się szansa na rozwikłanie sprawy? – Bondaruk! Biegiem do biura przepustek. Odbierz świadka w naszej sprawie i dawaj go tu! Ino migiem!

– Tak jest. – Podporucznik zerwał się jak oparzony i już go nie było w pokoju.

Kapitan sprawdził taśmę w magnetofonie zainstalowanym w szufladzie biurka.

– Koleżanko, proszę przygotować się do protokolowania... – Kapitan nie był wrogiem wprowadzania

nowoczesnej techniki w pracy operacyjnej, jednak uważał, że niektóre stare metody zdają lepiej egzamin.

Drzwi otworzyły się. Do pokoju weszła młoda kobieta. Miała nie więcej niż trzydzieści lat, smukła, w obcisłych dżinsach i takiej samej bluzce, uwypuklającej kształtne piersi. Długie blond włosy, spięte w koński ogon, sięgały pleców. Dyskretny makijaż podkreślał jej regularne rysy i ładną oprawę oczu.

Że też tyle ładnych kobiet dookoła, a ja musiałem się nadziać akurat na panią Morawską – pomyślał z żalem kapitan. Przedstawił się. Poprosił interesantkę o zajęcie miejsca przy swoim biurku.

– Pani w sprawie wczorajszego komunikatu w dzienniku telewizyjnym? – spytał kapitan. W duchu zaś dziwił się, że taka atrakcyjna kobieta nie ma wieczorami nic lepszego do roboty jak oglądanie telewizji.

– Tak. W dzienniku wieczornym o dwudziestej. Często przejeżdżam przez Dąbrówkę, bo mieszkam w Piasecznie.

– Mógłbym prosić o personalia? – kapitan włączył magnetofon.

– Proszę bardzo. Agnieszka Dąbrowska.

– Miejsce zamieszkania?

– Piaseczno, ulica Słoneczna trzydzieści siedem mieszkania dwanaście.

– Dobrze pamięta pani datę wydarzenia, które nas interesuje?

– O, tak. To było dwudziestego siódmego sierpnia.

Godzina trzynasta, może kilka minut po trzynastej.

– Z jakiego powodu... – kapitan przerwał. – Może lepiej będzie: co spowodowało, że tak dokładnie zapamiętała pani datę i godzinę?

– Tego dnia nie pojechałam rano do pracy, gdyż moja matka, z którą mieszkam w Piasecznie, źle się czuła. Zaburzenia krążeniowe. Ma już prawie osiemdziesiąt lat – dodała tonem mającym usprawiedliwić jej postępowanie. – Wezwałam pogotowie. Przyjechali, zrobili zastrzyk. Jeszcze trochę posiedziałam z mamą. Jednak musiałam być tego dnia w biurze. Dlatego jak tylko mama poczuła się lepiej, wsiadłam do wozu. Wyjeżdżając spoglądałam na zegarek. Orientuję się, ile czasu jadę, więc myślę, że w Dąbrówce byłam właśnie między trzynastą a trzynastą dziesiątą...

– Co zwróciło pani uwagę?

– Właściwie to nic. Tylko słuchając komunikatu przypomniałam sobie, że właśnie w tym miejscu i czasie na szosę wyskoczył fiat sto dwadzieścia pięć pe. Trochę się wtedy zdenerwowałam, bo tam nie było żadnego wyjazdu, a tylko zwykła polna dróżka, przesłonięta drzewami. Ten wóz wyskoczył mi prawie przed nosem. Mogło dojść do wypadku.

– Jakiego koloru był wóz?

– Kremowego.

– Zapamiętała pani numer rejestracyjny?

– Nie. Tak byłam przerażona tym jego niespodziewanym zjawieniem się, że nie zwróciłam na to uwagi.

– Może pani opisać nam osobę czy osoby, siedzące w wozie?

– Niestety, też nie. Pamiętam tylko tyle, że obok kierowcy siedział pasażer. Widziałam sylwetki przez tylną szybę ich wozu. Kierowca był niższy. I to wszystko – dokończyła z rozbijającą szczerością.

– Nie można powiedzieć, żeby to było dużo – kapitan uśmiechnął się do dziewczyny. – Jednak mamy już kolor wozu... A to coś znaczy.

Dziewczyna podniosła się z krzesła.

– To ja już pójdę.

– Dziękujemy pani za pomoc. – Kapitan szarmancko schylił głowę przed dziewczyną. – Poruczniku, proszę odprowadzić panią.

Rozpoczął wędrówkę po pokoju. Od okna do drzwi i z powrotem. Krystyna siedziała cicho, wodząc oczami za spacerującym. Kapitan zaprzestał swego spaceru, gdy do pokoju wrócił Jacek Bondaruk.

– Ale dziewczyna! I do tego z wozem – cmoknął z zachwytem.

– Na zachwyty masz czas po szesnastej – kapitan ściągnął Bondaruka na ziemię. – Może ona jest rewelacyjna, ale nie można tego samego powiedzieć o jej znananiu...

– Może jeszcze ktoś się zgłosi? – z nadzieją w głosie odezwała się Krystyna.

– Może, może – kapitan stał się opryskliwy. – A tymczasem ja mam dzisiaj zdać szefowi relację z

przebiegu śledztwa. Nie was będzie czekało mycie głowy!

– Wiemy, że wóz był kremowy.

– I co z tego? Raz, sprawdzenie alibi wszystkich warszawskich posiadaczy kremowych fiatów to rzucanie się z motyką na słońce, a dwa: przestępcy też mogli oglądać komunikat. I dla pewności dać fiata do przemalowania.

– Więc uprzedzimy wszystkie warsztaty samochodowe w rejonie Warszawy, żeby dali nam znać o oddanym do przemalowania kremowym fiacie – zaproponował Bondaruk.

– To jedno możemy zrobić. I to wykonać natychmiast! – kapitan prawie krzyknął w stronę podporucznika, który wypadł z pokoju jak wystrzelony z procy. – Poza tym chwycimy i drugi ślad. Zawiadomić dzielnicowych i wywiadowców. Niech szukają kremowych fiatów – polecił Morawski podwładnej.

– Tak jest! – Sierżant Grzelec przyjęła na chwilę postawę zasadniczą, po czym wyszła wykonać polecenie kapitana. Morawski został sam w pokoju. Stał przy oknie. Ulicą Wielicką szła rozbrykana grupa dzieciaków z tornistrami na plecach. Przy każdym tornistrze dyndał worek z kaptami. Niektórzy pochłaniali kanapki, których nie zdążyli zjeść w szkole. Kapitan pomyślał, że trzeba by zejść do bufetu. Może coś kupi na śniadanie dla Marka, bo dzieciak na widok twarozku już odwracał głowę z obrzydzeniem, chociaż raz był to

twarożek ze szczypiorkiem, innym razem z pomidorami. Kapitan nie dziwił się synowi...

Tak. Trzeba pójść do bufetu – zdecydował. Lecz gdy zrobił pierwszy krok w kierunku drzwi, te otworzyły się na całą szerokość i do pokoju wbiegł podniecony Bondaruk.

Kiedy ten chłopak zacznie wreszcie chodzić normalnie, nie biegać niczym zawodnik za piłką nożną? – zachnął się kapitan.

– Panie kapitanie! Meldunek przekazałem, ale oficer dyżurny dał mi coś dla nas. Panie kapitanie, bomba!

– Co takiego? – Morawski zachowywał się z rezerwą.

– Proszę! Oto meldunek – Bondaruk podał kapitanowi kartkę papieru. Ten przeczytał:

„29 sierpnia wyszedł z domu i dotychczas nie powrócił ob. Lucjan Adamczyk, urodzony 10 lutego 1932 roku, zamieszkały w Warszawie ul. Góralska 35 m. 110. Jak stwierdzono ww. podjął w tym dniu z książeczki oszczędnościowej cały swój wkład w wysokości 750 tysięcy złotych. Ze względu na podobieństwo sprawy kryptonim »Inserat« wszystkie dokumenty przekazać prowadzącym to śledztwo”.

Kapitan złożył meldunek i rzucił na biurko.

– Zdaje się, kolego Bondaruk, że mieliście rację. Szajka powtórzyła uderzenie. Dlatego popieram waszą propozycję dania do prasy ogłoszenia „Kupię bony”. Trzeba tylko dodać, że interesuje nas duża transakcja.

Rozdział 11

Kapitan Morawski przyszedł do pracy wcześniej niż zwykle. Mimo że do ósmej brakowało jeszcze ponad dwadzieścia minut, nie mógł wysiedzieć w domu. Zaplanował spacer do pracy Kazimierzowską. Lubił chodzić tą ulicą, przypominającą w lecie spokojną uliczkę jakiegoś ośrodka wczasowego. Jednak dziś pędził tą trasą tak, jakby był już spóźniony kilkanaście minut. Kiedy się na tym złapał, nie zwolnił tempa. Chyba dlatego, że czekało go przesłuchanie kilku świadków w sprawie zaginięcia Adamczyka. Może tu znajdzie jakieś konkretniejsze wskazówki...

Siadł za biurkiem, położył przed sobą notatnik. Sprawdził, czy magnetofon jest przygotowany do nagrania i czy działa jak należy. Wierzył bowiem w złośliwość rzeczy martwych.

Zaraz powinien nadejść podporucznik Bondaruk. Zawsze zjawiał się kilka minut przed ósmą. W odróżnieniu od starszego sierżanta Grzelec, która nie dość że wpadała prawie jednocześnie z wybiciem godziny ósmej lub kilka minut po, to jeszcze zaczynała swój dzień pracy od dokończenia makijażu...

Za pięć ósma do pokoju wkroczył Bondaruk. Właściwie trudno byłoby powiedzieć, że Bondaruk wszedł lub wkroczył. Podporucznik zawsze wpadał jak bomba. W taki sam sposób wychodził. Trzeba było jednak zapisać

na jego korzyść to, że śpieszył się tylko w chodzeniu. Zlecone mu zadanie czy jakąkolwiek pracę wykonywał zawsze powoli i systematycznie. Czasami denerwowało to nawet kapitana, bo sprawę, którą trzeba było załatwić raz dwa, podporucznik kilka razy nicował na wszystkie strony i opracowywał różne warianty rozwiązań czy propozycji. Miało to swoje zalety, lecz często stawało się denerwującą manierą.

– Dzień dobry, panie kapitanie! – Uścisnęli sobie ręce.

Bondaruk otworzył szafę pancerną i wyjął z niej teczkę sprawy Lucińskiego i tę najnowszą, założoną wczoraj w związku z zaginięciem Adamczyka.

– Zdaje się, że noc spędził pan nieszczególnie? Bo tak wcześnie w pracy?

– Nie wiedziałem, że moje kilkunastominutowe wcześniejsze przyjście wzbudzi sensację wśród współpracowników. Od jutra przychodzę stale o wpół do ósmej...

Drzwi znów się otworzyły i do pokoju weszła Krystyna Grzelec.

– Dzień dobry! – Przywitała się z kolegami i spokojnie podeszła do biurka.

– To możemy brać się do roboty. – Bondaruk otworzył teczkę z aktami Adamczyka. – Jest już nasza kochana koleżanka, to znaczy, że zegary wskazują kilka minut po ósmej.

– Czy świadkowie zostali wezwani punktualnie na ósmą?

– Nie. Zostawiłem dla nas trochę czasu na zaaklimatyzowanie się. – Bondaruk spojrział na listę. Pierwszy świadek został wezwany na ósmą trzydzieści. – To znaczy, że lada moment może się zjawić.

Jakby na potwierdzenie tych słów rozległ się dźwięk dzwonnka telefonu.

– Kapitan Morawski, słucham.

Zgłaszało się biuro przepustek.

– Jest już interesant z waszego wykazu. Proszę przyjść.

– Zaraz ktoś się zgłosi. Dziękuję – kapitan odłożył mikrotelefon.

Bondaruk już wstał zza biurka i kierował się w stronę drzwi.

– Po następnego świadka pójdzie koleżanka! Dlaczego to ja stale muszę biegać po tych schodach? – użalała się po drodze. – Tu nie ma: kobieta czy mężczyzna. Tu są tylko funkcjonariusze – i z tymi słowami zniknął za drzwiami.

Po kilku minutach był już z powrotem. Towarzyszyła mu kobieta o pospolitym wyglądzie, nie wyróżniająca się niczym specjalnym.

Gdybym był złośliwy, to powiedziałbym, że wyróżnia się niechlujnością. Do tego musi być daltonistką – stwierdził w myśli kapitan na widok gryzącej się kolorami garderoby wezwanej.

– Morawski – kapitan uściśnął dłoń przybyłej i wskazał jej miejsce przy biurku. – Pani Adamczyk?

– Tak. – Kobieta siadła – na brzegu krzesła. Była

speszona niezwykłą dla niej sytuacją.

– Jak to było z mężem?– To było dwudziestego dziewiątego sierpnia. Zjadł śniadanie, pożegnał się jak zwykle i poszedł do pracy. Gdy nie wrócił do wieczora, przeszukałam jego rzeczy. Nie znalazłam książeczki oszczędnościowej. Leżała zawsze w pudełku z różnymi dokumentami i dowodami...

– Próbowiała pani dowiedzieć się czegoś na temat zaginięcia?

– Telefonowałam do dwu kolegów. Działali razem w nowym związku. Powiedzieli, że oni się tym zajmą, bo mego męża, jako aktywnego działacza związku, na pewno zatrzymała milicja.

– Dlatego przyszła pani do nas?

– Przyszłam. Jeśli go zatrzymaliście, to powinniście powiedzieć...

– Jak się układało współżycie między wami?

– Dobrze. Nie mieliśmy żadnych awantur. To znaczy były czasami. Ale co to za awantury! Ot, takie drobne sprzeczki.

– Męża często nie było w domu?

– Przeważnie był. Dopiero teraz, gdy zaczął działać w tym nowym związku, to go nie było całymi dniami.

– Mieliście państwo w planach kupno samochodu?

– Nie! Mąż, nigdy nie myślał o samochodzie.

– Może mieliście w planie jakieś duże zakupy?

– Też nie.

– Czy prócz książeczki oszczędnościowej zginęło jeszcze coś?

– Nie, nic. Raczej nie. – Adamczykowa zawahała się. – To znaczy z łazienki zniknęła maszynka do golenia i szczotka do zębów męża, ale...

– Ale co?

– Ale to się już zdarzyło kilka razy. Jak mieli strajk w pracy, to mąż brał z sobą przybory toaletowe. Niech pan powie szczerze: zatrzymaliście go?

– Proszę pani – kapitan odchrząknął. Jego głos przybrał bardziej suchy, urzędowy ton. – Jeśli zatrzymalibyśmy pani męża, to czy robilibyśmy tę całą hecę z poszukiwaniem go?

– Ja tam nie wiem. – Adamczykowa wzruszyła ramionami. – Może to tak dla zmylenia. Bo w zakładzie chcą ogłosić strajk ostrzegawczy, żądając uwolnienia mego męża z UB. A oni mają lepsze wiadomości.

– No cóż, każdy pretekst jest dobry. – Kapitan wstał. – Gdy będziemy wiedzieli coś konkretnego, zawiadomimy panią. Dziękuję. Kolega odprowadzi panią.

– Może koleżanka Grzelec? – nieśmiało zaproponował Bondaruk.

– Koleżanko! Proszę odprowadzić panią.

Gdy drzwi za kobietami zamknęły się, kapitan opadł z rezygnacją na krzesło.

– Ci ludzie już zupełnie stracili zdrowy rozsądek. Cokolwiek by się stało, wszystkiemu winna milicja i UB! Jeśli nie ma już żadnych logicznych przyczyn, wtedy się mówi, że jest to prowokacja bezpieczeństwa.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Krystyna. Towarzyszył jej jakiś mężczyzna.

– Zdaje się, że dziś będziemy mieli pracowity dzień. Gdy odprowadzałam poprzedniego świadka, ten pan czekał już na portierni w związku ze sprawą Adamczyka.

Kapitan przywitał przybyłego. Zaprosił do zajęcia miejsca. Gdy przybyły usiadł, kapitan przez dłuższą chwilę mierzył go wzrokiem. Człowiek, siedzący przed oficerem milicji i czekający na pytania, zdradza różne emocje. Kapitan miał już doświadczone oko. Wystarczyła mu chwila, by wiedzieć, czy siedzi przed nim „duży kozak”, który z milicją ma już nie pierwszy raz do czynienia, czy spokojny, uczciwy obywatel, speszo-ny niecodzienną sytuacją, w jakiej się znalazł. Są też inne typy. Te pod pozorem bezczelności kryją strach. To też da się odczytać z wyrazu oczu, z drżenia rąk.

– Imię, nazwisko?

– Stanisław Lipski – odpowiedział szybko siedzący naprzeciw kapitana mężczyzna. Morawski obserwował jego dłonie: wciąż się poruszały.

– Karany?

– Jeszcze nie. To znaczy nie – poprawił się szybko.

– Skąd znacie Adamczyka?

– Z pracy. Byliśmy kolegami.

– Jak długo się znacie?

– O, to stara historia. Znamy się jeszcze ze szkoły. Byliśmy razem w ZMP. To były lata pięćdziesiąte.

- Co pan wie o Adamczyku?
- Co wiem? – powtórzył. – No, tak specjalnie to nic. To porządny, spokojny kolega. Dobry pracownik.
- Wiecie, że Adamczyk zaginął?
- Wiem. Dlatego tu przyszedłem.
- Co o tym sądzicie?
- Żeby człowiek zjadł beczkę soli z drugim, to i tak wszystkiego o nim nie będzie wiedział.
- Adamczyk działał ostatnio w związku?
- Działał.
- Co tam robił, jaką pełnił funkcję?
- Był w zarządzie. Działał aktywnie. Jeżeli Lucjan już na coś się zdecydował, to robił to z pełnym zaangażowaniem.
- Czy jego działalność była aż tak niebezpieczna, że mógł zostać zatrzymany przez organy ścigania?
- Kto to teraz wie, za co kogo sadzają...
- Czy inni działali bardziej aktywnie od Adamczyka?
- Tak.
- A oni nie zaginęli?
- Nie. Są.
- Dlaczego by więc Adamczyk miał zostać zatrzymany?
- Nie wiem. Może go nie zatrzymano. Może jest u tej swojej babki.
- U jakiej babki?
- Miał od pewnego czasu taką jedną babkę. Nawet mu mówiłem, żeby nie zaczynał. Bo ona miała około

trzydziestki, a on już prawie pięćdziesiątkę. Ale gdzie tam! Nie chciał słuchać. Dostał kota na jej punkcie.

– Znacie ją?

– Przedstawił mi ją. Widziałem się z nimi dwa czy trzy razy.

– Nazwisko? Adres?

– Zdaje się, że Puchała... Może Pierzchała... Coś w tym rodzaju...

– Gdzie mieszka?

– Na Niemcewicza. To taki duży blok, z ogródkiem.

– Gdzie pracuje?

– Tego nie wiem. – Lipski bezradnie rozłożył ręce.^

– A jak układało się współzycie Adamczyka z żoną?

– Tak ogólnie to dobrze. Nie kłócili się, nie bili. Adamczyk tylko często narzekał, że w tych sprawach, np. wie pan, takich osobistych, to nic nie wychodzi. Adamczykowa stale była albo zmęczona, albo nie miała czasu, albo nie chciała... Jak to się mówi, ona już Lucka nie pociągała. A on był jeszcze pełen życia. Lubił oglądać się za babkami... Jak w domu nie wychodziło, to zaczął szukać na mieście...

– Hm! – Na poważnej dotąd twarzy Morawskiego pojawił się dyskretny uśmiech. – Dziękujemy panu za interesujące szczegóły. Myślę, że dużo pan nam pomógł.

– Bo słyszę, że szum się dokoła Adamczyka robi...

A tu chodzi po prostu o, jak się to ładnie mówi: prozę życia... Dlatego chciałem pomóc. Nie jestem z wami, ale nie lubię niepotrzebnych rozrób.

Gdy drzwi za wychodzącym zamknęły się, kapitan wybrał numer telefonu biura ewidencji ludności.

– Mój numer trzydzieści trzy trzydzieści cztery... Na hasło „Błyskawica” proszę o adres i dane: Puchała lub Pierzchała. Mieszka na Niemcewicza. Tylko, miła moja, bądź tak dobra i załatw mnie możliwie szybko – próbował zaapelować do dziewczyny.

– Jacyż wy jesteście nudni! Żeby chociaż raz ktoś mi powiedział, że mu się nie śpieszy! – Dziewczyna z biura ewidencji ludności pozostała nieczuła na prośbę kapitana. Nim Morawski zdążył coś powiedzieć, połączenie zostało przerwane.

– Wie pan, panie kapitanie, że dobrze się stało, że ten facet mówił te rzeczy o Adamczykach przy naszej koleżance – odezwał się Bondaruk.

– Dlaczego?

– Niech się dziewczyna uczy. Gdy wyjdzie za mąż, będzie wiedziała, jak z nim postępować...

– Coś mi się zdaje, że to ty masz zamiar zostać mężem naszej koleżanki – roześmiał się kapitan.

– Po czym pan kapitan tak sądzi?

– Słyszałem, jak namawiałeś ją na kino.

– To nie było w celach matrymonialnych, lecz szkoleniowych.

– To znaczy?

– Proponowałem jej film francuski „Glina czy łajdak” z Belmondo. Żeby wiedziała, z kim ma do czynienia.

– I co?

– Odpowiedziała, że i bez tego wie, że jestem gli-niany łajdak – roześmiał się podporucznik.

Krystyna, cała w pąsach, próbowała nieśmiało protestować. Z opresji wybawił ją kapitan.

– Kolego Bondaruk! A jak sprawa z odszukaniem Nowaka korzystającego z kremowego fiata?

– O przepraszam! Zupełnie zapomniałem. – Bondaruk zaczął nerwowo przerzucać papiery leżące na biurku. Znalazł wreszcie potrzebną kartkę. – Dotychczas sprawdzono trzystu siedemdziesięciu ośmiu właścicieli kremowych fiatów. To musi jeszcze trochę potrwać.

– Mają alibi?

– Mają! I to takie dobre, że aż wydają się podejrzane.

– Ilu jeszcze pozostało do sprawdzenia?

– Prawie drugie tyle – westchnął ciężko Bondaruk.

– Najgorsze jest to, że odwali się kawał żmudnej roboty, a w rezultacie może okazać się, że ślad był fałszywy...

– Za dwa dni będziemy już to mieli z głowy. Nawet jeśli tak będzie, jak pan kapitan mówi, zostanie nam ta satysfakcja, że nie zaniedbaliśmy żadnego śladu.

Dalszą rozmowę przerwał dźwięk dzwonka.

– Kapitan Morawski, słucham.

– Tu biuro ewidencji – rozległ się miły dziewczęcy głos. – Towarzysz kapitan chciał dane niejkiej Pierchały lub Puchały?

– Tak. Słucham z niecierpliwością.

– Więc jest to Alina Puchała. Mieszka przy ulicy Niemcewicza siedem łamane przez jedenaście mieszkań sto dwadzieścia osiem. Pracuje w Urzędzie Dzielnicowym Mokotów jako referentka. Panna, lat dwadzieścia dziewięć – panienka z biura ewidencji wyrecytowała wszystkie dane jednym tchem.

– Ładna? – zażartował kapitan.

– O tym to już się pan sam musi przekonać! – I z drugiej strony rozległ się trzask odkładanej słuchawki.

– No, to do roboty! – Kapitan zatarł ręce. – Ty, Jacek, zostajesz na miejscu. Dowiesz się, jak przebiega akcja poszukiwania kremowego fiata i co zrobiono z warsztatami naprawczymi. A ja z koleżanką Grzelec jadę na Niemcewicza. Tam dziewczyna, tu dziewczyna, to się łatwiej dogadają... – dodał usprawiedliwiającym tonem.

– Ależ, panie kapitanie! – wykrzyknęła Krystyna.

– Co takiego? Nie chcesz ze mną jechać?

– Chcę! Tylko nie na Niemcewicza. O tej godzinie wszyscy porządni ludzie są w pracy. Proponowałabym jazdę do Urzędu Dzielnicowego.

– Masz rację! Zdaje się, że to są już pierwsze sygnały, że będę musiał ustąpić miejsca młodszym. Dosyć się już napracowałem.

– Panie kapitanie! Nie to miałam na myśli. Niech pan pracuje z nami jak najdłużej. Tylko proszę mieć na względzie, że młodzież też potrafi myśleć.

– Dobrze, już dobrze! Jedziemy na Rakowiecką. To niedaleko, dlatego pojedziemy tramwajem.

Nie minęło pół godziny, gdy wchodzili do budynku Dzielnicowej Rady Narodowej.

– Idziemy do kadr. Tam się dowiemy, gdzie pracuje panna Puchała – zdecydował kapitan.

W kadrach nie poszło im łatwo. Bez zgody naczelniczki dzielnicy urzędniczki nie chciały podać potrzebnej informacji, zaś naczelnik miał właśnie ważną konferencję.

– Bez przerwy jakieś nowe zarządzenia, mające usprawnić pracę! – zżymał się kapitan.

– Nic strasznego, panie kapitanie. Poczekamy sobie spokojniutko. W tym czasie może morderca załatwi następną ofiarę. A im więcej ofiar, tym więcej dowodów... – skonstatowała ze stoickim spokojem sierżant Grzelec.

Czekali ponad godzinę. Wreszcie konferencja skończyła się. Sprawę przedstawili naczelnikowi prawie w biegu, gdy ten wychodził z gabinetu, udając się na inną naradę w urzędzie stołecznym. Nie widział przeszkód w podaniu informacji.

– Pani Haniu – zwrócił się do sekretarki. – Proszę załatwić z kadrami, by udzieliły państwu potrzebnych informacji. Wyrażam zgodę. Bardzo przepraszam, ale już zostały mi tylko minuty do następnej narady.

– O kogo to chodzi? – spytała pani Hania, sekretarka.

– Alina Puchała...

– Ach, Alinka! – wykrzyknęła pani Hania. – Dlaczego nie powiedzieliście państwo od razu, że to o nią chodzi. Nie trzeba byłoby tak długo czekać...

– Nie przypuszczaliśmy, że pani może nas poinformować... Jeśli kadry nie chciały... – usprawiedliwił się Morawski.

– Ja wszystko wiem! Pracuję tu już prawie trzydzieści lat. Wiem wszystko o wszystkich. Kto, kiedy, z kim!

– O, właśnie! – uradował się kapitan. – Ta Puchała to z kim? – zapytał obcesowo.

– No, wie pan! Ja tylko tak. Wiem dużo, ale nie o takich szczegółach.

– Więc dowiemy się bezpośrednio od niej – zgodził się kapitan.

– To będzie trudne.

– Dlaczego?

– Bo Alinka jest od trzech dni na zwolnieniu.

– Jest w domu?

– Raczej tak. Nic mi nie mówiła o żadnym wyjeździe.

– Dziękujemy pani i do widzenia! – Kapitan ujął koleżankę pod rękę i energicznym ruchem skierował ku wyjściu. – A mówiłem, że jedziemy na Niemcewicza! To się chciało być mądrzejszym – udał gniew. – Okazuje się, że jednak starsi mają rację!

– Już nigdy więcej nic nie doradzę! Niech pan kapitan radzi sobie sam – roześmiała się.

Wsiadli do autobusu 167. Po kilkunastu minutach byli na Niemcewicza. Następne kilkanaście minut zajęło im szukanie właściwej klatki schodowej.

– Mówiłam, żeby najpierw znaleźć dozorcę. – Grzelec nie była nastrojona entuzjastycznie do wędrówek po bloku.

– Ależ, dziewczyno. Znalezenie dozorczy w tym labiryncie zajęłoby nam tyle samo czasu, co szukanie Puchały... – Kapitan ruszył rażno do następnej klatki. Tym razem dopisało im szczęście. Jak informowała tabliczka nad drzwiami, w tej klatce znajdowało się poszukiwane mieszkanie. Weszli na drugie piętro. Kapitan nacisnął dzwonek.

Chwilę panowała cisza. Gdy wduślił przycisk po raz drugi, drzwi otworzyły się. Stała w nich młoda kobieta.

– My do pani Puchały...

– To ja, słucham – kobieta patrzyła nieufnie. Jednak zobaczywszy stojącą za kapitanem kobietę otworzyła szerzej drzwi. – Proszę, niech państwo wejdą.

– Chcielibyśmy prosić panią o kilka informacji – mówiąc to kapitan wyjął legitymację służbową. – To moja współpracowniczka.

– Proszę dalej. – Na twarzy kobiety odmalowało się przerażenie.

Weszli do niedużego, nowoczesnie umeblowanego pokoju. Panował w nim ład i porządek. Na poręczy

jednego z krzeseł kapitan zobaczył męską marynarke.

– Czy pani mieszka sama?

– Tak...

– Jest pani mężatką?

– Nie.

– Ktoś jest u pani?

– Tak. – Chwila namysłu. – Znajomy.

– Pan Adamczyk?

– Tak. – Alina Puchała zrobiła duże oczy. – Proszę pana, ja nic nie wiem! O co chodzi?

Drzwi łazienki otworzyły się i do pokoju wszedł mężczyzna średniego wzrostu, w okularach. Na pierwszy rzut oka widać było, że ma skłonności do tycia. Rzadkie włosy nie zdołały pokryć łysiejącej czaszki.

– Co się stało, Alu? – spytał, widząc niespodziewanych gości i stojącą nadal z wystraszoną miną gospodynię.

– Pan Lucjan Adamczyk? – zwrócił się do niego kapitan.

– Tak.

– Proszę pana. Wie pan, że czasy są niespokojne, my mamy ręce pełne roboty, a pan jakby nigdy nic zapragnął zniknąć...

– Nie rozumiem.

– Nie rozumie pan? To bardzo źle świadczy o panu. Żona pana szuka, koledzy ze związku strajkują, bo podobno wywiozło pana UB w nieznanym kierunku, a pan w najlepsze bawi się w podrywanie dziewczyn.

– Bardzo przepraszam, ale nie wiedziałem – próbowałem tłumaczyć się Adamczyk.

– Nie wiedziałem, nie rozumiem! – Kapitan okazywał coraz większe zdenerwowanie. – Tak najlepiej się tłumaczyć! A że wszyscy są podenerwowani, że sztab ludzi szuka pana, to nie ma znaczenia?

– Bardzo przepraszam!

– Chce się pan bawić w podrywacza, to trzeba mieć odwagę, by zostawić żonie kilka słów wyjaśnienia. – Kapitan nie silił się na grzeczność.

Krystynie Grzelec wydawało się, że Morawski z przyjemnością ulżyłby sobie, rozbijając o ziemię coś szklanego.

– Natychmiast idzie pan do żony i wyjaśni sprawę. Jeśli nie, jutro pana żona dostaje od nas ten adres i wtedy nie chciałbym być w pańskiej skórze! – Odwrócił się na pięcie. – Chodź, dziewczyno, bo nie wytrzymam nerwowo i zrobię jakieś głupstwo! – Trzasnął drzwiami z całą siłą i to mu prawdopodobnie sprawiło ulgę, bo na schodach odezwał się spokojniejszym już tonem: – Mają rację ci, co mówią, że łysina jest oznaką męskości. Szkoda jednak, że występuje ona dopiero po pięćdziesiątce...

Rozdział 12

Plutonowy Gawroński przewiesił przez ramię raportówkę. Nałożył czapkę, lekko przechylając ją na bok.

Przygłodził ręką trochę przydługie opadające na uszy, włosy.

– Poszedłbyś wreszcie do fryzjera. Gdy byłem w twoim wieku, to takich długowłosych nazywano biki-niarzami. – Sierżant Janiec nie mógł powstrzymać się od komentarza.

– Muszę teraz chodzić rzadziej do fryzjera. Wszystko drożeje, usługi też, to na czym mam oszczędzać? Z długimi włosami da się wyżyć. A tu zamiast forsy roboty tylko dorzucają...

– Co ci dorzucili?

– Warsztaty samochodowe. Mam w swym rejonie dwa. Zgodnie z poleceniem muszę do nich zajrzeć. Najgorsze, że oba w dwu różnych krańcach rejonu. Cały dzień będę miał z głowy...

– Ale gdy przyczynisz się do wykrycia przestępcy, to będzie frajda – pocieszał go kolega.

– Jaka frajda? Mam zawsze takie cholerne szczęście, że tylko się narobię, a nagrody otrzymują inni...

– Nie narzekaj, nie narzekaj! Ja już w milicji od pięćdziesiątego roku, a do każdej sprawy podchodzę, jakby to była pierwsza, ta najważniejsza. To jednak jest satysfakcja, gdy przyczynisz się do przymknięcia jakiegoś łobuza... A ta twoja sprawa, z tymi warsztatami, to sprawa poważna. Wygląda to na jakąś niebezpieczną szajkę... Czytałem informację...

– Dobrze, już dobrze, sierżancie! – zniecierpliwiał się Gawroński. – Że też zawsze musicie wyjeżdżać z

tymi swoimi naukami! Wiem dobrze, w czym rzecz!
Ale co? Ponarzekać nie wolno?

– Wolno! Tylko ty każdą sprawę zaczynasz od narzekania.

– Idę już! Bo samym gadaniem nic nie zwojujemy. A ostatnio każdy chce być doradcą. – Gawroński skierował się do drzwi pokoju dzielnicowych.

Wyszedł przed komendę. Spojrzał na Puławską, skąd miał nadjechać tramwaj, który by go dowiózł do rejonu.

Żadnego wozu – pomyślał z goryczą. – Choćby jakiś motocykl. Szybciej by było i wygodniej. A tak to wszystko tramwajem, autobusem lub na piechotę. Jeszcze ten mój rejon! Cholerne zadupie!

Dojechał do Dworca Południowego. Tam przesiadł się w autobus jadący do Wilanowa. Jeszcze kilkanaście minut piechotą i dotarł do warsztatu samochodowego pana Pamuły. Zawsze, gdy myślał o Pamule, nie nazywał go inaczej jak tylko tak właśnie: „pan Pamuła”. Pan Pamuła różnił się wyraźnie od większości „prywatnej inicjatywy”. Zawsze na odprawach kazano im zwracać uwagę na warsztaty prywatne. Co tu ukrywać! Większość spraw o nadużycia dotyczyła właśnie tego pionu rzemiosła. Mimo to pan Pamuła cieszył się sympatią dzielnicowego. Stary taksówkarz, pracujący dziś wspólnie z synem, miał opinię dobrego i uczciwego fachowca także wśród posiadaczy czterech kółek z całej Warszawy. Ba! Nawet z okolic. Pan Pamuła był nie tylko solidnym rzemieślnikiem; był również człowiekiem

oczytanym, bywałem w świecie, człowiekiem, z którym dyskutowało się na różne tematy. Swym wyglądem i spokojnym sposobem bycia budził szacunek i zaufanie. Gawroński lubił tu zaglądać. Często, gdy miał trochę wolnego czasu, wpadał do pana Pamuły ot tak, na pogawędkę, tłumacząc, że akurat mu było po drodze. Właściciel warsztatu ujął Gawrońskiego również tym, że doceniał trudną i odpowiedzialną pracę milicji.

Plutonowy wszedł na plac przed warsztatem. Stało tam kilkanaście różnych typów wozów, bo pan Pamuła nie przedkładał jakiejś marki nad pozostałe. Każdy wóz traktował tak, jakby na niego właśnie czekał. Dla każdego, nawet najbardziej rozklekotanego grata znalazł czas i każdemu przedłużył o parę lat okres jego żywota. Obaj Pamułowie krzatali się właśnie przy mocno zdezełowanej granatowej zastawie.

– Dzień dobry, panie Pamuła! – Mężczyźni byli tak zajęci pracą, że z początku nie zwrócili uwagi na nadchodzącego dzielnicowego.

– A, to pan! – Ojciec i syn dopiero na pozdrowienie Gawrońskiego przerwali na chwilę pracę. – Witam, witam! – Pamuła otarł ręce w szmaty i przywitał się z milicjantem. – Co pana do nas sprowadza?

– To, co zawsze... – zaczął niepewnie Gawroński. Nigdy nie lubił wyklądać od razu właściwej sprawy. – Chciałem się zapytać, co słychać?

– Na razie nic ciekawego. Pozwoli pan, że będę dalej pracował? To pilna robota. Na jutro ma być gotowy.

– Nie szkodzi, panie Pamuła. – Gawroński rozejrzał się po stojących na podwórzku wozach.

– Co pan tam zobaczył?

– Ma pan dużo roboty, co? Nie narzeka pan?

– Nigdy nie narzekałem. Jak się dobrze zrobi, to i klienci ciągną. Zresztą nigdy nie narzekam na pracę. Męczy mnie jej brak.

– Ma pan tylko naprawy, czy są i tacy, którzy chcą zmienić sobie kolorek swojej gabloty?

– Są i tacy. Tylko teraz z tym trochę gorzej. Nie ma dobrych lakierów. I nie wszystkie kolory są pod ręką.

Gawroński nie przestawał lustrować stojących wozów. Nagle drgnął. W samym rogu, przy warsztacie, stał kremowy fiat 125 p.

– Ma pan teraz coś do przemalowania?

– Panie Gawroński! Coś się pan do tego malowania przyczepił? Jak pan chce, to mogę panu przemalować świat na różowo, bo trochę tego koloru właśnie mi zostało...

– Ta skoda zielona tam w rogu, to do naprawy?

– Interesuje pana?

– Zapytać się nie można?

– Można! Tylko jeśli pan tak się dopytuje, to znaczy, że coś pana interesuje albo czegoś pan szuka. Powiedz pan od razu, co jest grane? – Pamuła przerwał grzebanie w silniku i popatrzył na dzielnicowego.

– Bo widzi pan, interesuje mnie kremowy fiat sto dwadzieścia pięć pe. A taki właśnie stoi u pana...

– A, ten! Ale skąd pan wiedział, że on jest do przemalowania?

– Ja? Czy ja coś takiego powiedziałem? – zdziwił się Gawroński.

– Tak wprost to nie, ale stale krąży pan przy tym temacie. To sobie skojarzyłem.

– Patrz pan, panie Pamuła, jak to się różne rzeczy mogą człowiekowi skojarzyć! – dzielnicowy wybuchnął śmiechem.

– A zatem ustaliliśmy, o co chodzi. – Pamuła również roześmiał się. – Teraz, panie Gawroński, spróbuję zgadnąć, co dalej...

– No to próbuj pan – zgodził się dzielnicowy

– Teraz będzie pan chciał wiedzieć, jak się nazywa właściciel tego fiata?

– Może niezupełnie.

– Co to znaczy „niezupełnie”? – zdziwił się Pamuła.

– Bo mogę sobie zapisać numer rejestracyjny wozu.

– Słusznie! To na pewno zapyta pan, kiedy wóz będzie odebrany?

– O, to już coś ciekawszego! – przytaknął Gawroński. – Więc kiedy?

– Umówiłem się z facetem za trzy dni. Szóstego września ma przyjść po odbiór...

– To bardzo ładnie... Dziękuję panu, panie Pamuła – Gawroński zasalutował. – Pan to zawsze się domyśli, co człowiekowi leży na wątrobie. A gdyby tak zgłosił

się do pana jeszcze ktoś z kremowym dużym fiatem, to da mi pan znać?

– Naturalnie! Dla dobrego znajomego wszystko. – Pamuła podniósł rękę naśladując salutowanie.

– Do zobaczenia, panie Gawroński! Plutonowy zrobił kilka kroków w kierunku wyjścia. Jednak nagle zatrzymał się, jakby sobie coś jeszcze przypomniał.

– Panie Pamuła! A tak na odchodnym... To jak nazywa się właściciel fiata?

– Nie wiem. Nie znam gościa. Nie przedstawił się.

– To weźmy dla pewności jego wizytówkę. – Gawroński wyjął z torby notatnik i zapisał numer rejestracyjny wozu. Schował notatnik, poprawił bluzę munduru. – To do zobaczenia! – Jeszcze raz zasalutował i skierował się w stronę przystanku autobusowego. Musiał jeszcze odwiedzić drugi warsztat, znajdujący się kilka przystanków dalej. W tej sytuacji nie musiałbym właściwie już tam jechać – pomyślał. – Jednak po chwili doszedł do wniosku, że i tam może stać kremowy fiat. I że tamten może okazać się tym, którego szuka...

*

Kapitan Morawski wyszedł z odprawy u pułkownika Wrońskiego zmęczony i oszołomiony. Nie dość że od rana bolała go głowa, to jeszcze dzisiejsza odprawa ciągnęła się prawie trzy godziny. Do tego na dwanaście osób, obecnych na naradzie, tylko on i major Stańczak nie palili. Pozostali kopcili bez przerwy, na dodatek

same popularne lub klubowe. Śmierdzące muchobije, po których smrodzie trzeba było wietrzyć garnitur przez kilka dni. A co się działo w płucach? Na myśl o tym ból głowy, męczący kapitana już od kilku godzin, wzmógł się wyraźnie. W czasie narady siedział jak ogłuszony. Nie bardzo zdawał sobie sprawę, o co wszystkim tym ludziom chodzi. Nawet wtedy, gdy został zaatakowany przez pułkownika Wrońskiego za całkowity brak jakiegokolwiek postępów w sprawie „Inserat”, bąknął coś nieskładnie w odpowiedzi. Nie wyglądało to nawet na rozsądne usprawiedliwienie.

Szedł teraz w stronę swego pokoju, marząc tylko o jednym: by jak najprędzej znaleźć się na świeżym powietrzu, wśród drzew, w ciszy. Z niechęcią otworzył drzwi.

Jacek Bondaruk czytał jakieś akta, zaś Krystyna Grzelec dziurkowała i wpinała do teczki stertę leżących na jej biurku papierów. Na widok wchodzącego podnieśli głowy, chcąc odczytać z wyrazu jego twarzy, jaki ma humor po „nasiadówce” u szefa. Nie padło tradycyjne pytanie: „No i jak tam poszło?” Mina kapitana mówiła sama za siebie. W ciszy obserwowali, jak siadł za biurkiem i oparł głowę o dłoń.

– Panie kapitanie! – Bondaruk wziął z biurka jakiś dokument, chcąc go podać szefowi.

– Nie teraz, nie teraz! – Morawski nawet nie podniósł głowy. – Daj chwilę odpocząć!

Sierżant Krystyna Grzelec zaczęła nerwowo przewracać zawartość torebki. Wyciągnęła z niej jakąś fiolkę.

- Panie kapitanie! – zbliżyła się do Morawskiego:
- Pan to weźmie. Po co się tak męczyć?
- Dziecko moje! Nie biorę tych świństw i nie wierzę, by mi pomogło.
- Zrobiłabym panu kawy, ale właśnie wczoraj zużyłam ostatnią kartkową porcję...
- To daj tę pigułę.
- Zążył lekarstwo, nie dlatego, by wierzył w jego skuteczność, lecz by nie robić przykrości młodszej koleżance, która była naprawdę zmartwiona.
- Mów, co cię gnębi? – spytał podporucznika, popiwszy tabletkę wodą.
- Otóż, panie kapitanie, gdy był pan na odprawie, sekretarka przyniosła do oficera dyżurnego meldunek w sprawie „Inserat”.
- Taaak? – informacja ta nie wywarła na szefie spodziewanego wrażenia.
- W jednym z warsztatów w Wilanowie znaleziono kremowego fiata sto dwadzieścia pięć pe, oddanego tam w celu przemalowania...
- Bo to jednego fiata chcą ludzie przemalować? Dlaczego zaraz musi to być ten nasz?
- Wcale nie twierdzą, że to nasz...
- Bliższe dane?
- Mamy numer wozu...
- To na co czekasz? Sprawdź, czyj to wóz.
- Właśnie to zrobiłem.
- I co?
- Właścicielem wozu o tym numerze rejestracyjnym jest niejaki Andrzej Kopczyński.

– Trzeba go wziąć pod lupę. – Kapitan jęknął i ścisnął dłońmi skronie. – Człowieku! Łeb mi pęka, a ty jak przedszkolak! Wszystko ci trzeba mówić! Nie wiesz, co masz robić z tym fantem?

– Właśnie chcę panu kapitanowi wyjaśnić... – Bondaruk westchnął z rezygnacją.

– Co jeszcze?

– Otóż ten pan Kopczyński nie ma fiata sto dwadzieścia pięć pe. Jeździ dacią. I to już od kilku lat... Do tego niedawno rąbnięto mu dokumenty.

Kapitan poczuł, że ból głowy zaczyna powoli ustępować.

– Krystyno kochana! Jeśli zdobędziesz dla mnie jeszcze trochę kawy, to przedstawię cię do odznaczenia za odwagę...

– Zrobione, szefie! – uśmiechnęła się zagadnięta. – Zaraz coś skombinuję!

– Mów dalej! – zwrócił się Morawski do Bondaruka.

– Wóz ma być odebrany z warsztatu szóstego września.

– Więc czeka cię szóstego duża robota – podsumował sprawę kapitan. – By ci nie było smutno, dam ci koleżankę do towarzystwa. Założycie zasadzkę na właściciela kremowego fiata.

– Cała przyjemność po mojej stronie! – Podporucznik był wyraźnie uradowany.

– Tak na marginesie, kolego Bondaruk! – Ból głowy powoli, ale systematycznie ustępował. – Podoba ci się nasza koleżanka?

– Nie powiem, że nie!
– Podrywasz ją?
– Panie kapitanie! – zachnął się Jacek.
– Pytam nie z babskiej ciekawości, tylko dlatego, że jest to porządna dziewczyna. Pasujecie do siebie. Nie miałbym nic przeciwko temu, żebyście zaprosili mnie na wesele.

– Ależ, panie kapitanie! – Policzki młodego oficera wyraźnie się zaróżowiły.

Do pokoju weszła Krystyna Grzelec.

– To przywróci panu kapitanowi siły! – z tymi słowami postawiła przed Morawskim szklankę gorącej, aromatycznej kawy.

– Dziękuję! – Kapitan uściśnął jej rękę. – Właśnie mówiłem Bondarukowi, żeś się nam udała. Dobra z ciebie dziewczyna.

Krystyna spojrzała spod oka na Jacka i siadła za swoim biurkiem.

– Tak! To o czym mówiliśmy, podporuczniku?

– Pan kapitan powiedział, że Krystyna to dobra dziewczyna!

– Nie! O czym mówiliśmy służbowo!

– Służbowo mówiliśmy o tym, że szóstego września mam razem z koleżanką zorganizować zasadzkę w warsztacie...

– Właśnie! – Kapitan dotknął ustami szklanki z kawą, lecz szybko ją odstawił. – O, psiakrew! Ale ukrop! Pojedziecie tam już dzisiaj. Wybierzecie najlepsze miejsce na założenie punktu obserwacyjnego.

Żebyście wszystko widzieli, a was nikt. Trzeba przewidzieć użycie radiotelefonu... Zrobicie sobie sytuacyjny szkic terenu. Po powrocie omówimy całą akcję. Teraz umówcie się z dzielnicowym i marsz do warsztatu!

Rozdział 13

Warsztat pana Pamuły otwierał swoje podwoje punktualnie o dziewiątej. Dziś wyjątkowo właściciel zjawił się już przed ósmą. Nie brał się jednak do żadnej pracy. Nerwowo przemierzał pomieszczenie kantorku. To wyjął z szafy kilka narzędzi, to podszedł do okna, by rozejrzeć się po dziedzińcu, to znów wziął się za zamiatanie podłogi. Gdy przyszło mu przejść koło okna, odruchowo spoglądał w jeden róg dziedzińca. W ten, w którym stał lśniący nowiutkim ciemnozielonym lakierem fiat 125p. Zerknął na zegarek. Dopiero za dwie ósma. O ósmej był umówiony z tą sympatyczną parą funkcyjariuszy. Ciekawe, że też w milicji pracują takie grzeczne, inteligentne panienki. Do tego jeszcze ładne! – skonstatował w myślach. Znów spojrzął na zegarek. Minuta po ósmej. Posłyszał daleki szum silnika. Wyrzwał przez okno. Przed bramą zatrzymała się granatowa zastawa.

Całkiem dobrze utrzymana! – ocenił ją fachowo. Z wozu wysiedli jego wczorajsi goście. Pamuła otworzył drzwi kantorka.

– Dzień dobry! Dzień dobry! Miło mi państwa powitać! – siedł w ich kierunku z uśmiechniętą twarzą i

wyciągniętą ręką.

– Dzień dobry! – Przywitali się. – Czy naprawdę tak miło, to mielibyśmy wątpliwości – rzekł podporucznik.

– Dlaczego? – obruszył się Pamuła.

– Bo to jednak lepiej trzymać się z daleka od milicji. Tym bardziej od milicyjnych akcji, w których w jakimś stopniu trzeba brać udział.

– Być może! Jednak myśl, że dzięki temu zostanie wyeliminowany jakiś bandzior, daje pewną satysfakcję...

Weszli do kantorka, a stamtąd do niewielkiego magazynku. Pamuła zgarnął ze stolika, stojącego przy oknie, porozrzucane stare, zakurzone części.

– Proszę! Tu można się rozlokować. Przy tym stoliku. Jest i krzesło. Mam nadzieję, że miejsce będzie dobre. Zresztą dwa dni temu uzgodniliśmy, że to jest dobry punkt obserwacyjny. Widać bramę i tego nieszczęsnego fiata.

– Rozgość się – mówiąc to Bondaruk postawił na stole przenośny radiotelefon. – Tu masz termos z kawą i kanapki. Ja jadę na swoje stanowisko. Gdy zaparkuję, zgłoszę się do ciebie.

Wyszli z Pamułą przed kantorek.

– Proszę się nie martwić o koleżankę – powiedział właściciel warsztatu. – Jeśli czegoś będzie potrzebowała, to pomogę. Najważniejsze, by ten właściciel fiata zgłosił się jak najwcześniej.

Szkoda czasu i nerwów na długie czekanie. Ciężko

siedzieć tyle godzin na punkcie obserwacyjnym...

– Dziękuję panu! – Bondaruk wsiadł do wozu. – Jestem pewien, że pan się nią dobrze zaopiekuje.

Wóz powoli sunął uliczką. Po przejechaniu około stu metrów, podporucznik wypatrzył gęsto zarośniętą przestrzeń między dwoma domkami. Cofnął wóz. Zatrzymał się między drzewami. Spośród zarośli widać było tylko przód samochodu. Facet, odbierający fiata od Pamuly, nie będzie tędy przejeżdżał. Uliczka prowadziła donikąd. Mógł jechać tylko w przeciwną stronę, ku ulicy prowadzącej do Śródmieścia. Bondaruk włączył radiotelefon.

– Tu „Bon jeden”, tu „Bon jeden”! „Bon dwa”, zgłoś się!

W mikrotelefonie zatrzeszczało, po czym rozległ się głos Krystyny Grzelec:

– Tu „Bon dwa”, tu „Bon dwa”! Słyszę ciebie! Odbiór!

– Jak się czujesz? – W jego głosie zabrzmiał niepokój.

– Dobrze. A co u ciebie?

– Też dobrze. Ciekawe, ile czasu tu spędzimy?

– Oby jak najkrócej.

– Oby... – W eterze zapanowała cisza.

– „Bon dwa”, „Bon dwa”!

– Tu „Bon dwa”, słyszę ciebie.

– Życzę szczęścia!

– Ja też!

Przełączył radiotelefon na inny kanał.

– Tu „Bon jeden”, tu „Bon jeden”! „Bon trzy”, zgłoś się.

W radiotelefonie rozległ się przejmujący gwizd. Gdy ucichęł, męski głos odpowiedział:

- Tu „Bon trzy”, tu „Bon trzy”! Odbiór!
- Jesteś na ustalonym posterunku?
- Tak! Zgodnie z planem.
- Dziękuję! Wyłączam się!

Sprawdził po kolei pozostałe posterunki. Obstawiona była aleja Wilanowska i ulica Wiertnicza. Tylko nimi mógł jechać człowiek, na którego przygotowali zasadzkę.

Czas włókł się w nieskończoność. Podporucznik próbował skrócić sobie oczekiwanie lekturą gazet, ale chociaż czytał po kilka razy te same zdania, nie bardzo rozumiał ich treść. Odłożył gazetę energicznym ruchem. Włączył radiotelefon.

– „Bon jeden”, „Bon jeden”! „Bon dwa”, zgłoś się!
– Cisza. – „Bon jeden”, „Bon jeden”! „Bon dwa”, zgłoś się – powtórzył zdenerwowany.

– Tu „Bon dwa”. – Głos dziewczyny był spokojny.
– Co się stało?

– Czemu się nie zgłaszasz? – Bondaruk był trochę niegrzeczny.

– Bo właśnie pan Pamuła częstował mnie ciastem wypieku swej żony. Tak na marginesie: ciasto jest bardzo dobre. Zostawię dla ciebie kawałek.

- Nie czas na żarty.
- „Bon jeden”! Chciałam ci przypomnieć, że to

ty masz czekać na mój sygnał, a nie blokować linię głupimi rozmowami! – odcięła się Krystyna.

Jacek Bondaruk z wściekłością wyłączył radiotelefon. Jedenasta. Ulicą przechodziła rozkrzyczana grupa dzieci. Stanęły przed wozem i ciekawie oglądały go ze wszystkich stron. Bondaruk przymknął oczy i udał, że śpi. Otworzył je na odgłos stukania w szybę. Spojrzał w tę stronę. Jeden z chłopców, śmiejąc się, pokazywał mu język. Cała grupa wrzeszcząc niesamowicie rozbiegła się.

Że też człowiek nie może mieć chwili spokoju! – westchnął melancholijnie podporucznik. Uliczką przejechał rowerzysta. Nawet nie zauważył ukrytej zastawy. Przeszła jakaś kobieta, obciążona zakupami. Spojrzała na wóz nie widzącymi oczami. I znów cisza. I błogosławiony spokój. Dwunasta. Bondaruk włączył radio. Akurat skończono nadawanie hejnału z wieży mariackiej.

O dwunastej czterdzieści pięć w radiotelefonie zagrzynało, zachrobotowało, po czym rozległ się podenerwowany głos Krystyny:

– „Bon jeden”, „Bon jeden”, zgłoś się!

Bondaruk poderwał się jak oparzony.

– „Bon jeden”, słucham.

– Jest obiekt. Załatwia odbiór. Płaci. – Chwila ciszy. Wreszcie zdenerwowany głos Krystyny: – Uwaga, wymienia tablice rejestracyjne! Wsiada do wozu... Zapala silnik. Wóz zbliża się do bramy. Staje. Jeszcze raz żegna się z Pamulą. Pamula otwiera bramę. Wóz już jest na ulicy. Skręca do miasta!

– Przyjąłem! Ruszam za nim! – Podporucznik energicznymi ruchami zapalił silnik, przerzucił biegi i wyprowadził wóz spomiędzy drzew. Minął warsztat Pamuły. W drzwiach kantorka zobaczył dziewczynę, która pozdrowiła go ruchem ręki. Dodał gazu. Przy skręcie w Przyczółkową zobaczył ciemnozielonego fiata. Dojeżdżali do skrzyżowania Wilanowskiej z Wiertniczą. Którędy pojedzie? – denerwował się Bondaruk. Ciemnozielony fiat skręcił w Wilanowską.

- „Bon trzy”, zgłoś się!
- Tu „Bon trzy”! Odbiór!
- Obiekt jedzie do ciebie!
- Przystąpić do interwencji?
- Nie, dziękuję! Ruszę następne...
- Jest na Wilanowskiej i Sobieskiego!
- Skryj się! Puść go!
- Zrozumiałem!

Ciemnozielony fiat dojeżdżał do Sobieskiego. Zwolnił. Zatrzymał się na chwilę. Znów ruszył. Jechał dalej Wilanowską w kierunku Puławskiej. Bondaruk spojrział na plan rozstawienia patroli.

– „Bon jeden”, „Bon jeden”! „Bon cztery”, zgłoś się!

Denerwująca chwila ciszy, po czym gdzieś jak z odali głos funkcjonariusza:

- Tu „Bon cztery”, tu „Bon cztery”! Zgłaszam się!
- Śpicie do cholery, czy co?
- Nie! Tylko...

– Dobrze! – przerwał. – Obiekt jedzie w waszą stronę. Gdzie stoicie?

– Stegny, róg...

– Zatrzymać obiekt – przerwał Bondaruk. – Ciemnozielony fiat sto dwadzieścia pięć pe. Wylegitymować zgodnie z instrukcją. Zapisać dane!

– Zrozumiałem!

– Życzę powodzenia!

Kapral MO Jacek Piekarz z kompanii Ruchu Drogowego stał na skrzyżowaniu alei Wilanowskiej ze Stegnami obok zaparkowanego motocykla. W białym kaszku z podniesionymi goglami, w czarnym kombinezonie, robił na przechodniach groźne wrażenie, choć wśród kolegów znany był jako człowiek o złotym sercu. Ileż to razy poprzestawał na słownym upomnieniu niesfornych kierowców w sytuacjach, gdy mandat, i to wysoki, byłby konieczny. Tym razem miał o tym zapamiętać. Będzie musiał twardo, acz uprzejmie, egzekwować swoje prawa, nie wyłączając ewentualności użycia broni. Tak mu polecono na odprawie. Stał teraz trochę spięty, czekając na zbliżający się obiekt. Wzdychał w duchu, by legitymowanie przebiegło bez żadnych zażrażeń i komplikacji.

W głębi Wilanowskiej ukazał się ciemnozielony fiat. Piekarz wyjął lizak, dał znak kierowcy, by się zatrzymał. Serce biło mu, jakby chciało się wyrwać z piersi. Fiat zwolnił. Zatrzymał się przy chodniku. Funkcjonariusz zaszalutował i poprosił o dokumenty.

– Co to? Coś przeskrobałem? – spytał z uśmiechem kierowca.

– Nie! Tylko niedawno skradziono w tej dzielnicy fiata w tym kolorze... Wiem, że to nie pan, bo nie wygląda pan na złodzieja, ale rozkaz jest rozkazem. – Kapral bezradnie rozłożył ręce.

– Nie ma sprawy! – Kierowca podał milicjantowi żądane dokumenty.

Ten spisał personalia, oddał dokumenty i zasalutował.

– Dziękuję, przepraszam!

– Nic się nie stało. Jak trzeba, to trzeba. – Fiat wyrwał z miejsca na pełnym gazie.

Piekarz odwrócił się i zamarł w przestrachu. Między nim a motocyklem stało kilku młodych ludzi, których miny nie wróżyły nic dobrego.

– Panu glinie coś się nie spodobało? – zapytał zdziornie jeden z młokosów, a reszta zarechotała z aprobatą. Dwu osobników, stojących najbliżej motocykla, zaczęło bić metalowymi prętami w zainstalowany na nim mikrotelefon. Piekarz rozejrzał się, ale wokół było pusto, Nie wiedział, jak się zachować, gdy nagle kątem oka zobaczył, że obok z piskiem opon zahamował jakiś wóz. Drzwi otworzyły się, z głębi wozu usłyszał okrzyk:

– Wskakuj!

Wpadł w otwarte drzwi. Zobaczył jeszcze, jak chuligani przewrócili jego motocykl, deptąc go z wściekłością. Ledwie znalazł się w środku, kierowca wyrwał do

przodu. Wóz skręcił na pełnym gazie w ulicę Stegny. Przez chwilę jechali w milczeniu. Pierwszy odezwał się kierowca.

– No, „Bon czwarty”. Wszystko w porządku?

Piekarz spojrzął na wybawcę.

– To pan jest „Bon jeden”?

– Właśnie. Coś mnie tknęło, by nie mijać was w czasie legitymowania. Zatrzymałem się w tyle i czekałem... Dobrze zrobiłem.

– Jeśli mam być szczery, to muszę przyznać panu rację. – Piekarzowi zaczął wracać dobry humor.

– Spisałeś dane zielonego fiata?

– W porządku.

Bondaruk włączył radiotelefon.

– Tu „Bon jeden”! Na rogu Wilanowskiej i Stegien awantura. Weźcie z sobą woreczek, byście mieli w co zebrać rozbity motocykl służbowy.

Funkcjonariusza wiozę do komendy!

Wjechali na dziedziniec Komendy Głównej. Bondaruk spisał dane kierowcy ciemnozielonego fiata, po czym odprowadził Piekarza do Biura Ruchu Drogowego. Gdy wrócił do siebie, w pokoju zastał tylko kapitana Morawskiego.

– Gdzie sierżant Grzelec? – zapytał z niepokojem.

– Nie martw się! Wszystko w porządku. Już pojechał po nią wóz. Zaraz tu będzie cała i zdrowa! – rozśmiał się Morawski. – Kolego Bondaruk, do dziś o tym nie wiedziałem, ale teraz muszę ci powiedzieć: jest to prawdziwa, wielka miłość!

– Jaka miłość? Po prostu chciałem zapytać... n-tłumaczył się zmieszany podporucznik.

– Dobrze, już dobrze! Daj lepiej swą zdobycz.

Bondaruk wyjął notes, w którym zapisał personalia kierowcy.

– Antoni Malisz, syn Józefa i Leokadii, urodzony dwudziestego ósmego lutego trzydziestego roku w Miłosnie pod Warszawą. Obecny adres: Belgijska trzydzieści osiem mieszkania siedemdziesiąt dwa.

– Malisz, powiadasz! Więc to nie Nowak! To było zresztą do przewidzenia.

– Ten świadek, no, ta dziewczyna, która widziała kremowego fiata w Dąbrówce, twierdziła, że w wozie było dwu pasażerów.

– Gdy mamy jednego, to i drugi się znajdzie. Na razie nie jest ważne, czy zabili obaj, czy jeden z nich i który. Trzeba teraz sprawdzić, czy pan Malisz nie ma jakichś powiązań z obiektami A, B, C i D...

– Te obiekty są pod ścisłą obserwacją. Jak dotychczas nie otrzymaliśmy żadnego meldunku, że któryś z nich spotykał się z kierowcą kremowego fiata sto dwadzieścia pięć pe.

– Trzeba zrobić wywiad w miejscu zamieszkania Malisza. Z kim się kontaktował, kto do niego przychodził... Poza tym sprawdzić życiorys. Może łączą go jakieś więzy rodzinne z obiektami.

– Załatwię wszystko, co trzeba. – Bondaruk zabrał się do pisania odpowiednich zaleceń.

Do pokoju weszła Krystyna.

- Jak się czujesz? – zapytał kapitan.
- Dobrze! Ten Pamuła to bardzo sympatyczny pan. Często wał mnie bez przerwy, opowiadał swoje przygody z wojska i wesołe historyjki, które wydarzyły się w jego warsztacie...
- To świetnie. Jednym słowem odpoczęłaś trochę. Dlatego teraz weźmiesz się za solidną pracę i wykonasz szybko kilka poleceń. Trzeba wezwać do nas Maliszka. Adres da ci Bondaruk. Wezwie się go pod jakimś pozorem. Podczas rozmowy nagramy jego głos na taśmę. Wtedy będziemy mieli niezbitą dowód...
- A jeśli Gonera zarejestrował głos tego drugiego?
- To Malisz powie nam, kto to. W ten sposób trafimy na właściwy ślad. Tu chodzi o morderstwo. W takiej sytuacji nikt nie będzie chciał brać całej winy na siebie.

Rozdział 14

Kapitan Morawski mieszkał zaledwie o piętnaście minut drogi od miejsca pracy. Dlatego nigdy nie korzystał z tramwaju, lecz pokonywał tę trasę piechotą, tym bardziej że ulica Kazimierzowska, którą chodził, po prostu zapraszała do spacerów. Czysta, wysadzana szpalerem drzew. Po obu stronach ładne wille. Spokój, cisza. Od czasu do czasu przejechał samochód lub szczeniaki pies, starając się wypełnić swój obowiązek stróża domu. Dopiero gdy zajął się sprawą „Inserat”, zaczął unikać

skrzyżowania Kazimierzowskiej z Raclawicką. Na widok tego miejsca tracił dobry humor. Był tak blisko, gdy do fiata 125p wsiadał tu Luciński! A do końca sprawy jest tak daleko... Chociaż nie! Dziś nie miał powodu do narzekań. Właśnie na dziś został wezwany do komendy Malisz. Jedna z nitek, prowadzących do kłębka. Jeśli Malisz nie zamordował, to na pewno był współnikiem. Morderców było dwu, tak wynikało z zeznania mieszkanki Piaseczna. I musi istnieć jeszcze ktoś trzeci – mózg akcji. Osoba z kręgu znajomych Lucińskiego. To już sprawa kilku dni... Malisz, chcąc ratować własną skórę, musi sygnąć pozostałych. Morawski doszedł do skrzyżowania z Malczewskiego. Rozejrzał się, czy nie nadjeżdża jakiś samochód. Gdy wszedł do pokoju, zastał już swoich młodych współpracowników.

– Co się stało, że sierżant Grzelec jest w pracy? – roześmiał się. – Dopiero za dziesięć ósma.

– Jakoś mi tak tramwaje dobrze podjechały.

– W porządku! Napiszemy więc do dyrekcji MZK, by dla koleżanki tramwaje zawsze dobrze podjeżdżały...

– Najlepiej by było, gdyby koleżanka kupiła sobie samochód – zaproponował Bondaruk.

– Po co? – zdziwiła się dziewczyna. – Koło mnie zawsze kręci się kilku mężczyzn z wozami. Wystarczy tylko wybrać...

– Z tego wynika, że musisz kupić sobie samochód i wozić koleżankę – odpowiedział kapitan.

– Jeśli koleżanka widzi tylko mężczyzn z wozami,

to ja się wycofuję – burknął niezbyt grzecznie Bondaruk.

– No dobrze! – kapitan starał się rozładować sytuację. – Sprawy osobiste załatwicie, po pracy. Teraz chciałem oznajmić, że jest już dwie po ósmej. Więc do roboty!

Siedli za swymi biurkami, rozkładając potrzebne na dziś dokumenty i notatki.

– Poruczniku! O której ma przyjść Malisz?

– Ósma trzydzieści.

– A jeśli nie przyjdzie? – spytała nieśmiało Krystyna.

– Przyjdzie! – Kapitan nie miał żadnych wątpliwości.

– Dlaczego?

– Z dwu powodów. Po pierwsze: jeśli domyśla się, że milicja wie o jego udziale w morderstwie, to nie ma po co uciekać. Tym tylko potwierdziłby swą winę. Musi więc przyjść i udawać głupiego. Po drugie: jeśli wezwanie dotyczy innej sprawy, też musi przyjść, by nie dawać żadnych podstaw do przypuszczeń, że może mieć coś innego na sumieniu...

– Tym bardziej że w wezwaniu podaliśmy powód: „świadek w sprawie zakłócenia spokoju” – dodał Bondaruk.

– Właśnie! Gdyby nie przyszedł, byłby od razu spalony.

– Ale pan kapitan potrafi wszystko przewidzieć! – powiedziała Krystyna Grzelec w taki sposób, że nie

wiadomo było, co się za tym stwierdzeniem kryje: uznanie czy złośliwość.

– Popracujesz ze mną jeszcze kilka lat, to i ty będziesz taka mądra! – Kapitan odebrał tę wypowiedź jako lekki przytyk pod swoim adresem.

Dalszą wymianę zdań przerwał dzwonek telefonu.

– Kapitan Morawski, słucham!

Zgłosiło się biuro przepustek.

– Towarzyszu kapitanie, już jest niejaki obywatel Malisz. Proszę kogoś przysłać.

– W porządku! Zaraz ktoś tam będzie. – Kapitan odłożył mikrotelefon. Siedział chwilę bez ruchu, nie odzywając się. Więc już! Za kilkanaście minut siądzie przed nim człowiek podejrzany o morderstwo...

– Panie kapitanie! – dobiegł go głos Bondaruka.

– Tak?

– To Malisz? Mam iść po niego?

– Nie, nie! – zaprotestował gwałtownie kapitan. – Pójdzie Krystyna. Widok kobiety trochę go uspokoii...

Wstał. Podeszedł do okna. Mimo wieloletniego doświadczenia pierwsze spotkanie z przypuszczalnym mordercą zawsze wytrącało go z równowagi... Dobrze, że dzisiejsze przesłuchanie nie będzie dotyczyło jeszcze istoty prowadzonej przez niego sprawy.

Drzwi otworzyły się. Do pokoju wszedł mężczyzna dobrze zbudowany, wzrostu około metr osiemdziesiąt, ubrany w popielaty garnitur. Rysy i wyraz jego twarzy

zdradzały człowieka mocnego, zdecydowanego na wszystko. Był to „Nowak”. Ale o tym kapitan jeszcze nie mógł wiedzieć...

Za przybyciem wślizgnęła się do pokoju Krystyna Grzelec.

– To jest właśnie pan Malisz – wyjaśniła.

Kapitan, stojąc za biurkiem, zaprosił przybyłego do zajęcia krzesła.

– Proszę, pan będzie, łaskaw. Kapitan Morawski! – przedstawił się.

Siadł sztywno na swym miejscu w przeciwieństwie do gościa, który przybrał swobodną pozę. Kapitan rozłożył teczkę z dokumentami. Znajdowały się w niej zdjęcia zniszczonego przez chuliganów motocykla milicyjnego i opis zdarzenia.

– Pozwoli pan, że zgodnie z trybem postępowania poproszę pana o dane personalne oraz dowód osobisty...

– Proszę bardzo! – Malisz wyjął dowód i lekceważącym ruchem, trzymając go w dwu palcach, podał kapitanowi.

– Pan... – zaczął kapitan.

– Antoni Malisz.

– Data urodzenia?

– Dwudziesty ósmy lutego trzydziestego roku.

– Miejsce urodzenia...

– Miłosna koło Warszawy.

– Imię ojca i matki?

– Józef i Leokadia.

– Obecne miejsce zamieszkania?

– Warszawa, Belgijska trzydzieści osiem mieszkania siedemdziesiąt dwa.

Nie dosyć że mi pod domem wyciął numer, to do tego jeszcze sąsiad – pomyślał z przekąsem kapitan i pytał dalej:

– Karany?

Malisz zawahał się przez chwilę. – To co robimy z tą karalnością? – Kapitan wpatrywał się w twarz Malisza.

– Raz za pobicie. Ale karę anulowano z amnestii...

– W porządku. Gdzie pan pracuje?

– Na razie nigdzie.

– A gdzie pan pracował?

– Jako kierowca w MZK.

– Dlaczego przestał pan pracować?

– Właśnie za to pobicie. Pod wpływem alkoholu...

– Z czego więc pan żyje?

– Pomagam znajomym na bazarze przy Puławskiej.

– Jakie ma pan wykształcenie?

– Technik samochodowy.

– Dobry fach... Nie szkoda marnować lat nauki na bazarze?

– Każda praca jest dobra, jeśli można dobrze zarobić...

Nawet zabić – pomyślał kapitan. Głośno zaś zapytał:

– Ma pan zamiar wziąć się za stałą pracę?

Malisz patrzył na kapitana zimnym, przenikliwym wzrokiem. W kąciку ust pojawił się lekceważący

skurcz, przypominający uśmiech.

– Panie kapitanie, zdaje się, że nie zostałem tu wezwany, aby wysłuchać referatu na tematy społeczno-wychowawcze, lecz jako świadek w sprawie jakiegoś zajścia...

– Przepraszam! – kapitan uśmiechnął się rozbrajająco. – Pan rozumie: nawyk zawodowy... Przejdźmy do właściwej sprawy. – Spojrzał w dokumenty. – Pan przejeżdżał szóstego września około godziny dwunastej czterdzieści pięć aleją Wilanowską?

– Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, ale rzeczywiście przejeżdżałem niedawno aleją Wilanowską...

– Został pan zatrzymany na rogu Stegien przez funkcjonariusza milicji?

– Przypominam sobie... Byłem legitymowany, ale nadal nie mogę sobie przypomnieć, kiedy to było.

– W notatniku funkcjonariusza znajduje się zapis o tym fakcie. Zaraz po wylegitymowaniu funkcjonariusz został napadnięty przez grupę chuliganów. Podczas napaści zdemolowano motocykl służbowy.

– Nie chce pan kapitan sugerować, że to stało się z mojego powodu lub mojej inicjatywy?

– Ależ skądże! Chcieliśmy dowiedzieć się tylko, co pan widział, ewentualnie kogo... Czy nie może pan podać rysopisów osób, które znajdowały się w tym czasie w pobliżu funkcjonariusza?

– Nie mam nic przeciwko działalności milicji, ale

nie mam zamiaru wam pomagać.

– Szkoda, bo w czasie legitymowania pana znajdowała się tam grupa chuliganów. Pan byłby najlepszym świadkiem.

– Może byłbym, ale nie będę. – Malisz, nie mrugnawszy nawet powiekami, wpatrywał się w twarz kapitana.

– No, cóż! Nie możemy pana do niczego zmuszać... Bardzo nam przykro... I przepraszamy, że fatygowaliśmy pana na darmo.

– Nic się nie stało. – Na twarzy Malisza nie drgnął przez cały czas ani jeden mięsień. – W każdym razie nie byłem i nie będę waszym kapusiem.

– Nie ośmielilibyśmy się panu tego nawet zaproponować – kapitan starał się mówić głosem jak najbardziej obojętnym. – Proszę o przepustkę, poświadczę ją. – Podpisał przepustkę i postawił swą pieczęć. – Dziękuję! Szkoda, że nie chciał pan nam pomóc.

– Chyba pan w tej sytuacji nawet na to nie liczył?

– Bez względu na sytuację uczciwi zostają zawsze uczciwymi.

Malisz wstał z krzesła.

– Żegnaj panu. I myślę, że się więcej nie będziemy musieli spotykać – wycedził z ironią.

– Bondaruk, odprowadź pana.

Kapitan spoglądał na wychodzącego.

Oj, cwaniaczku! Nawet nie przypuszczasz, że nastąpi to wcześniej, niż się spodziewasz! – pomyślał. Sięgnął

pod blat biurka i wyłączył magnetofon. Zdjął krążek z taśmą, starannie ją zakleił i włożył do szarej koperty.

– Koleżanko Grzelec! Proszę przygotować taśmę magnetofonową z nagraniem głosu przesłuchiwanego.

Krystyna podeszła do szafy i wyjęła z niej kopertę, opieczętowaną w kilku miejscach.

– No! Teraz do dzieła, dziewczyno! Europa na nas patrzy! – mówiąc to wybrał numer telefonu Zakładu Kryminalistyki. – Kapitan Morawski. Z kapitanem Maciejewskim proszę!

– Tu Maciejewski, słucham – rozległ się głos z drugiej strony połączenia.

– Cześć, tu Morawski!

– Cześć ? Jak się masz! – ucieszył się Maciejewski. Z Morawskim znali się ze szkoły oficerskiej w Szczytnie. Tę znajomość kontynuowali, ale obowiązki służbowe nie pozwalały na częste spotkania. – Dawno cię nie słyszałem ani nie widziałem. Domyślam się, że „jak trwoga, to do Boga”.

– Jak zawsze masz rację! – Morawski roześmiał się. – Mam coś pilnego!

– Tym mnie nie zaskoczyłeś. Jeszcze nigdy nie słyszałem, by ktoś u nas powiedział, że mu się nie śpieszy! A pracuję tu już kilkadziesiąt lat...

– Potraktuj więc moją sprawę jako ekstrapilną!

– Co masz?

– Muszę mieć porównanie głosu z dwu nagrań.

– Sam nie możesz porównać?

– Jedno nagranie zrobiono, gdy obiekt mówił prawdopodobnie przez chustkę... Są pewne różnice.

- Na kiedy chcesz mieć wynik?
- Jak najszybciej.
- Przyjedź dziś do mnie... Ale nie teraz! Za jakieś dwie-trzy godziny. Będę wtedy wolniejszy. Postaram się załatwić sprawę od ręki.
 - Jak zawsze jesteś nieoceniony! – Morawski był naprawdę uradowany.
 - Jednak nie za darmo!
 - Zlituj się! Wiesz, jakie teraz są problemy z alkoholem! – przeraził się Morawski.
 - Nie, nie o to chodzi! Po prostu będziesz musiał mnie odwiedzić prywatnie! Dawno się z tobą nie widziałem. A wiesz, że cię lubię.
 - W porządku. Umówimy się na miejscu.
 - Czekam między dwunastą a trzynastą,
 - Dziękuję! Do zobaczenia. – Kapitan Morawski z zadowoleniem odłożył mikrotelefon. – Słyszeliście, koleżanko Grzelec? – spytał oficjalnym tonem stojącą obok dziewczynę.
 - Słyszałam, panie kapitanie.
 - Bondaruk zostaje na gospodarstwie, a my jędziemy do Zakładu Kryminalistyki. Załatwicie wóz na dwunastą, no, dwadzieścia po dwunastej.

Rozdział 15

Malisz zbiegł po schodach, prowadzących do gmachu komendy. Obejrzał się za siebie. Nikt za nim nie

wyszedł. Szybkim krokiem przemierzył dziedziniec. Skręcił w Puławską do parkingu, na którym zostawił swój samochód. Obejrzał się jeszcze raz. Odetchnął z ulgą. Nikt go nie śledził. Podeszedł do swego wozu i otwierając drzwi jeszcze raz dyskretnie rozejrzał się na boki. W porządku! Wsiadł do wozu uspokojony. Uruchomił silnik. Lawirując między zaparkowanymi samochodami wyjechał na Puławską. Skręcił w stronę Śródmieścia. Był już całkowicie odprężony. To rzeczywiście był fałszywy alarm! Zaczął pogwizdywać jakąś melodię. Jak mógł przypuszczać, że wezwali go w związku z Lucińskim! Nie mogli mieć przecież żadnych dowodów. Chociaż ten komunikat w telewizji trochę go wytrącił z równowagi. Ale już wszystko w porządku! Wóz przemalowany i jeśli ktoś nawet widział kremowego fiata, to niech szuka wiatru w polu! Dobrze, że zgłosił się na to dzisiejsze wezwanie. Gdyby nie przyszedł, zaczęliby węszyć. Mogliby wtedy coś znaleźć... Tak rozmyślając, nie zauważył, że spod sklepu z obuwiem na wprost komendy oderwał się od krawężnika „maluch”. Jechał za nim krok w krok.

No, może jadę za nim nie „krok w krok”, ale raczej „opona w oponę”. To byłoby trafniejsze określenie! – kierowca malucha uśmiechnął się z zadowoleniem. Do radiotelefonu zaś powiedział:

– Gdy coś się zacznie dziać, zaraz się zamelduję. Teraz się wyłączam!

Malisz dojeżdżał do ulicy Malczewskiego.

Trzeba zameldować szefowi, że wszystko w porządku!

– zdecydował. Widząc budkę telefoniczną na rogu Malczewskiego, skręcił kierownicę w lewo. Zaparkował obok stacji benzynowej. Idąc do budki, spojrzął na żółty budynek w głębi. To szczyt bezczelności z mojej strony! – uśmiechnął się do swoich myśli. – Rozmawiać o przestępstwie tuż pod komendą dzielnicową...

Tymczasem „maluch” zajął kolejkę do stacji benzynowej. Kierowca wysiadł i, lekko przeciągając się, skierował swe kroki w kierunku budki. Stał obok, rozglądając się dookoła.

Malisz wrzucił do automatu złotówkę, zdjął mikrofon. Zaczął nakręcać numer.

Kierowca „malucha” obserwował go z napięciem. Oby się nie pomylić. Oby zapamiętać! Natychmiast po wybraniu przez Malisza abonenta wsiadł do wozu. Wyciągnął „kapownik” i zanotował interesujący go zestaw cyfr. Uruchomił radiotelefon.

*

Była godzina dwunasta dwadzieścia pięć, gdy na biurku kapitana Morawskiego zadźwięczał dzwonek telefonu.

- Tak, słucham!
- Towarzysz kapitan chciał wóz? – To był głos sekretarki szefa.
- Zgadza się!
- To już jest! Tylko proszę jak najszybciej go zwrócić.

– Dobrze, kochana! – zgodził się bez entuzjazmu. Schował dwie koperty do teczki. – Koleżanko Grzelec! Idziemy! Zobaczysz, dziewczyno, trochę techniki, bo chyba już zapomniałaś, czego cię w szkole uczyli. A ty, Bondaruk, czuwaj nad całością sprawy. Wrócimy zaraz po otrzymaniu spektrogramu głosów.

Samochód z nieodłącznym Zychem stał na parkingu przy Broniwoja. Gdy wsiedli, Zych z miejsca ruszył pełnym gazem. Z fantazją skręcił w Puławską.

– Dokąd właściwie jedziemy, kapitanie?

– Do Zakładu Kryminalistyki...

Zych spojrział z niedowierzaniem na kapitana, a potem na Grzelec.

– Co się stało? – Kapitana zaniepokoiło spojrzenie Zycha, który płynnym ruchem skręcał właśnie na drugą jezdnię Puławskiej.

– Taka ładna pogoda, Zakład Kryminalistyki nie-daleko. Dziewczyna przy panu kapitanie jak świeca. Trasa prawie spacerowa, a pan kapitan wozem. Na piechotę zdrowiej! Trochę relaksu by nie zaszkodziło. Tym bardziej że widzę u pana kapitana początki trzeciej brody.

– Stary, na filozofię będziesz miał czas na emeryturze. Teraz rób, co ci starszy stopniem każe.

– Tak jest, szefie! – Zych szerokim łukiem skręcił w Aleje Ujazdowskie i z fasonem podjechał na parking przed Zakładem Kryminalistyki.

– Nie mogłabym pracować w takich warunkach –

powiedziała Krystyna po wyjściu z wozu, wdychając z rozkoszą powietrze. – Poza tym te Łazienki naprzeciwko!

– A u nas gorzej? Też dużo zieleni... – kapitan broił swego miejsca pracy.

Wylegitymowali się wartownikowi. Weszli marmurowymi schodami, przykrytymi czystym chodnikiem, na pierwsze piętro. Skręcili w wąski korytarz. Wprost czuli, że w tym budynku pracuje się naukowo. Chodniki, tłumiące kroki, i ta aż dźwięcząca w uszach cisza. Stanęli przed malowanymi na biało drzwiami. Kapitan zapukał i nie czekając na wezwanie otworzył drzwi.

W pokoju prócz Maciejewskiego znajdował się jeszcze jakiś mężczyzna.

– Chodźcie, chodźcie! – Maciejewski zbliżył się z wyciągniętą na powitanie ręką. – Proszę bardzo! Oto kolega, który się wami zajmie. Będzie robił dla was tę fonokopię. Nasz technik, plutonowy Kramek.

Przeszli parę pokojów dalej do pracowni. Kapitan Morawski wszedł pierwszy. Rozejrzał się dookoła i stanął jak wryty. To, co zobaczył pod ścianami, zrobiło na nim wielkie wrażenie. Na rzędach półek, od dołu aż po sam sufit, stały najróżnorodniejsze przyrządy pomiarowe, wzmacniacze, oscyloskopy. Na wprost – pulpit w płataninie sznurów połączeniowych, pełen przycisków i różnokolorowych lampek. Laikowi wszystkie te przyrządy mogły się wydać wyposażeniem pracowni nowoczesnego Frankensteina. Jedyłą znaną kapitanowi

rzeczą było kilka magnetofonów różnych typów. Gdy ochłonął z pierwszego wrażenia, stwierdził w myślach, że to właściwie nie pracownia, a raczej magazyn.

Przy pulpicie siedział młody człowiek w białym kitlu. Na widok: wchodzących stanął w postawie zasadniczej.

– Mocna rzecz dla laika! – kapitan odzyskał mowę.

– Ba! Proporcjonalna do nazwy! Jest towarzysz kapitan w Pracowni Fonoskopii Zakładu Kryminalistyki KGMO – wyjaśnił z uśmiechem Kramek; odebrał od kapitana koperty z taśmami i podał je pracownikowi w białym kitlu.

– Potrzebna raz-dwa ekspertyza fonoskopijna tych taśm.

– To się nie da tak szybko zrobić – zaprotestował nieśmiało pracownik.

– Wiem, ale może część badań uda się wyeliminować... Siądźmy, towarzyszu kapitanie, bo to jednak potrwa. – Kramek podsunął kapitanowi krzesło.

– Dużo macie pracy?

– Coraz więcej! Obecnie, gdy zapis magnetofonowy jest rozpowszechniony i uznany jako materiał dowodowy, zapotrzebowanie na ekspertyzy fonoskopijne zastraszająco wzrosło.

– To skomplikowana praca?

– Gdy się dysponuje dobrą jakością nagrań, to nie. Jednak przy niskiej jakości ekspertyza jest skomplikowana i wymaga spełnienia wielu różnych warunków,

przy czym tych niskich jakości mamy więcej, bo są to nagrania w salach, przez linie telefoniczne, z różnymi zakłóceniami...

– Mielicie jakieś ciekawe przypadki?

– Wykonaliśmy już około tysiąca ekspertyz. Wśród nich były i takie, które pozwoliły na ustalenie czasu, określenie zajęcia wykonywanego w czasie nagrania, ocenienia wartości nominalnej monety, spadającej na twarde podłoże...

– Jak było z ustaleniem czasu?

– Przestępca w chwili telefonowania nie wyłączył telewizora. Nagrana razem z jego rozmową audycja telewizyjna pozwoliła ustalić nam czas dokonania przestępstwa.

– Na jakiej podstawie ustalacie identyczność głosu?

– Istnieje dziś możliwość rozróżnienia kilkudziesięciu różnych fizycznych parametrów mowy ciągłej, które w klasycznym pojęciu składają się z takich właściwości, jak barwa, tempo mowy, wysokość tonu, natężenie, iloczasy głosek i pauz – plutonowy Kramek, przejęty rolę, recytował jak na wykładzie. – Praktyka potwierdza, że każdy ma inne parametry sygnału mowy, które nie ulegają deformacji.

– I to się da precyzyjnie ustalić? – zdziwił się kaptan.

– Na zachodzie można na przykład zasięgnąć przez telefon informacji o stanie swego konta bankowego. Nagrany głos porównuje się z oryginalnym nagraniem.

To coś takiego jak dowód osobisty.

Kapitan zaczął wpatrywać się w ekran przyrządu pomiarowego, na którym pojawiły się różne pasy, następnie plamy. Wszystko to drgało, migało, falowało. Kramek, widząc zainteresowanie kapitana, pośpieszył z wyjaśnieniem.

– To są sonogramy sygnału mowy ciągłej. Ten pierwszy to sonogram konturowy, a ten drugi wąskopasmowy...

– Starczy, starczy! – wykrzyknął Morawski, udając przerażenie. – I tak nic z tego nie rozumiem! W każdym razie mogę stwierdzić jedno: że przy takiej analizie nie może być pomyłki.

Badanie dobiegło końca. Operator przejrzał wykresy, wykonane przez przyrządy.

– Nie ma wątpliwości! – rzekł, wręczając je kapitanowi. – Na obu nagraniach utrwalono głos tej samej osoby!

Rozdział 16

Kapitan Morawski wrócił do pokoju Maciejewskiego. Ten spojrzał na niego z uśmiechem. Nie czekając na to, co kapitan Morawski ma do powiedzenia, odezwał się pierwszy:

– Widzę po twojej minie, że wynik badań całkowicie cię zadowolił.

– O, tak! Dzięki tobie mam niezbity dowód, że

głos z taśmy to głos współnika mordercy lub nawet samego mordercy!

– Nie dziwię się w tej sytuacji twemu podnieceniu... Wyglądasz tak, jakby przed chwilą poprosiła o twoją rękę ta niezła babka, z którą przyjechałeś.

– Coś ty! Przecież wiesz, że mam żonę.

– Tym bardziej takie wyznanie miłości nabiera odpowiedniej wagi.

– Czego czepnąłeś się spraw sercowych! – zde nerwował się Morawski. – Wiesz dobrze, że nie w głowie mi amory! Do tego z moją pracownicą.

– Znam twoją żonę! Przydałby ci się czasami jakiś drobny skok w bok. Dla relaksu! – Maciejewski nie ustępował.

– Dobrze! Niech ci będzie! – Morawski zrezygnował z oporu. – Pozwolisz jednak, że wcześniej skorzystam z telefonu.

– Proszę bardzo. Wiesz dobrze, że zawsze możesz tu czuć się jak u siebie. I wszystko w tym gabinecie jest do twojej dyspozycji...

Kapitan wybierał już numer telefonu.

– Bondaruk? Tak! Słuchaj, natychmiast skontaktuj się z nadzorującym sprawę „Inserat” prokuratorem... Co? Nazwisko i numer telefonu? – kapitan zrobił zaskoczoną minę. – Słuchaj no, chłopie: ja nie jestem chodzącym biurem informacji. Po drugie: to znajdziesz w aktach sprawy. Po trzecie: jeśli będziesz nadal taki wygodnicki, to pożegnaj się z premią z okazji zakończenia sprawy „Inserat”. Po czwarte: powiesz

prokuratorowi, że jest natychmiast potrzebny nakaz aresztowania Malisza... Pojedziesz odebrać nakaz. Że co? Nic mnie to nie obchodzi! Jutro, najpóźniej do dziesiątej nakaz ma być w biurze! Cześć! – Kapitan energicznym ruchem odłożył mikrotelefon.

– Ale masz leniwy personel – roześmiał się Maciejewski.

– Nie jest tak źle! To wspaniały chłopak. I będzie z niego dobry pracownik. Tylko co pewien czas nachodzą go chwile słodkiego nieróbstwa i przerwy w myśleniu. – Morawski zamyślił się.

– Zresztą ja też przeżywam od czasu do czasu takie stany...

– Tylko że ty już się „nagłówkowałeś”, a on dopiero zaczyna.

– Gdy dostanie samodzielną robotę, to mu przejdzie. No, muszę uciekać! Dziękuję ci, stary! – uścisnęli sobie dłonie. – Skończę tylko tę sprawę, to się spotkamy.

Po piętnastu minutach wrócili z Krystyną Grzelec do komendy. Powoli, nie śpiesząc się, wchodzili na piętro.

– Za kwadrans trzecia! – zakomunikowała dziewczyna.

– I co z tego?

– Za pół godziny koniec pracy.

– Dziecino! Jeszcze się nie przyzwyczaiłeś? Policz, ile razy w tym miesiącu wyszłeś z pracy punktualnie.

– Właściwie to zdarza się bardzo rzadko – przyznała.

– Podejrzewam, że chciałabyś wyjść o właściwej porze?

– O, właśnie!

– To muszę cię rozczarować: pewnie nie wyjdiesz. – Widząc jednak zmartwioną minę dziewczyny, dodał łagodnie: – Zobaczymy, co nas czeka w pokoju, i w zależności od tego zdecydujemy, czy będziesz mogła się urwać.

Weszli do pokoju. Na ich widok Bondaruk poderwał się zza biurka.

– Nakaz aresztowania Malisza załatwiony? – spytał groźnie kapitan.

– Tak! Jutro rano mam go odebrać... Tylko jest jeszcze jedna sprawa.

– Co takiego?

– Był telefon od wywiadowcy.

– Którego wywiadowcy?

– Bo to było tak: gdy Malisz wyszedł z komendy i odjechał swoim wozem, ruszył za nim nasz wywiadowca. Malisz jechał Puławską. Zatrzymał się przy stacji benzynowej na rogu Puławskiej i Malczewskiego. Tam wszedł do budki telefonicznej. Połączył się z kimś...

– Z kim? – kapitan, pełen napięcia, poderwał się z miejsca.

Jednocześnie rozległ się dźwięk dzwonka aparatu telefonicznego.

– Kapitan Morawski, słucham! – powiedział opryskliwym tonem, zły, że ktoś właśnie w tym momencie śmie mu przeszkadzać.

– Melduje się sierżant Jakubik z KD Mokotów!

Miałem rozkaz pilnowania wozu, związanego z akcją „Inserat”. Niedawno obiekt wyszedł od was z komendy...

– Tak! No i co? – złość ustąpiła miejsca ciekawości.

– Obiekt pojechał na tyły ulicy Gimnastycznej. Tam stanął przed domem numer dwadzieścia siedem. Po chwili z bocznej uliczki wyszedł jakiś mężczyzna. Podeszedł do stojącego samochodu. Otworzył drzwiczki i usiadł obok kierowcy. Samochód nie ruszał. Stał nadal. Po kilku minutach ten nieznajomy wysiadł i wrócił w uliczkę, z której wyszedł. Prawdopodobnie za drzewami stał wóz, bo posłyszałem warkot silnika. Nie wiedziałem, co mam robić! Na porozumienie się z wami miałem mało czasu! Więc czekałem na obiekt mi nadany. Ale on nadal stał w miejscu. Powoli ruszyłem, wymijając go. Gdy go mijalem, stwierdziłem, że coś nie jest tak...

– Co to znaczy: coś nie tak? – Kapitan znów się zdenerwował.

– No tak... Obiekt miał głowę opartą o kierownicę. I nie ruszał się...

– Żyje!? – na krzyk kapitana Bondaruk odwrócił się gwałtownie, strącając z biurka pojemnik na długopisy.

– Wysiadłem z wozu – relacjonował dalej wywiadowca – podeszedłem do obiektu... Niestety, już nie żył!

– Cholera jasna! – wyrwało się kapitanowi. –

Naprawdę nie żyje? – Nie mógł pogodzić się z tym faktem.

– Naprawdę. Zawiadomiłem naszych i pogotowie. Właśnie tu są. Dlatego mam dopiero teraz czas na powiadomienie pana kapitana...

– Zatrzymaj ekipą! Zaraz tam będę! – Morawski ze złością rzucił mikrotelefon na widełki aparatu.

– Co się stało, szefie? – Bondaruk był przerażony widokiem tak zdenerwowanego kapitana.

– Co się stało?! Co?! – Morawski biegał po pokójku. – Malisz zamordowany! Ot co!

– Niemożliwe! On? W biały dzień?

– Wyobraź sobie, że możliwe. Załatwiał szybko wóz i prujemy na miejsce.

– Dokąd jedziemy?

– Na Gimnastyczną!

Poszukiwania wolnego wozu trwały kilka minut. Dostali wreszcie akurat wolny z oddziału łączności. Całe szczęście, że z komendy na Gimnastyczną nie było daleko.

– Ten bandyta wyraźnie kpi z nas! – denerwował się kapitan. – Wszystko, co robi, robi pod naszym nosem! Porywają Lucińskiego prawie spod mojego domu. Malisz mieszka prawie po sąsiedzku ze mną, na Belgijskiej. Rozjeżdżają Gonerę przed domem mojej matki. Mordują Malisza w sąsiedztwie szpitala milicyjnego! Szlag człowieka może trafić!

Bondaruk wołał się nie odzywać. Niech się kapitan wykrzyczy, wtedy szybciej przejdzie mu zdenerwowanie

i wróci do normalnego stanu. Dojechali na miejsce mordu. Już z daleka zobaczyli wozy milicyjne i karetkę pogotowia. Funkcjonariusze starali się przegonić z miejsca zbrodni grupę gapiów. Trzeba przyznać, że morderca wybrał dobre miejsce na dokonanie swego czynu. Tyły uliczki willowej. Z jednej strony ogrodzenie szpitala MSW. Nawet w godzinach szczytu jest tu pusto i cicho. Wylegitymowali się pilnującemu porządku funkcjonariuszowi. Podjechali pod samo miejsce przestępstwa.

– Kto tu najważniejszy? – spytał Morawski najbliższej stojącego funkcjonariusza.

– Porucznik Makowski. To ten, stojący w grupie...
– Funkcjonariusz wskazał ręką.

Morawski z Bondarukiem podeszli do wskazanego oficera.

– Kapitan Morawski z Komendy Głównej. – Wyciągnął rękę na powitanie.

– Porucznik Makowski z KD Mokotów. – Porucznik zsalutował. Z ironicznym uśmiechem podał rękę kapitanowi. – Oho, widzę, że Komenda Główna nie ma do nas zaufania?

– Nie o to chodzi, poruczniku. Tylko zamordowany miał być przez nas zatrzymany w związku z innym morderstwem...

– O, to rzeczywiście dla was przykra sprawa! – skrzywił się porucznik Makowski. – W czym w takim razie możemy pomóc?

– Będziecie prowadzili śledztwo normalnym trybem. Pozostaniemy jedynie w ścisłym kontakcie. I

musimy nawzajem się informować o naszych odkryciach.

– A co właściwie jest grane?

– Nic nadzwyczajnego. Ten tu jest jednym z morderców. Mieliśmy za nim trafić, jak po nitce do kłębka, do reszty zbrodniczej spółki. A tu taka, skromnie mówiąc, nieprzyjemność.

– Właśnie! Jest tu niejaki Jakubik. On widział mordercę... – wtrącił się do rozmowy Bondaruk.

– Rozmawiałem z nim. Niewiele wie. Gdzieś tu się kręci... – Porucznik rozejrzał się dokoła. – O, jest! Jakubik! – krzyknął do rozmawiającego w pobliżu młodego człowieka w cywilu. – Chodź tutaj!

Jakubik zbliżył się powolnym krokiem.

– Co się tak ciągniesz! – fuknął na niego Makowski. – Przeskrobałeś i teraz masz stracha? Przywitaj się. To jest sierżant Jakubik, a to kapitan Morawski.

– A, to pan kapitan! To właśnie ja pracowałem dla pana!

– Nie powiem, żeby ta praca była owocna! – uważał kapitan.

– A co miałem robić? Przecież nie mogłem się rozzerwać – zachnął się Jakubik. – Miałem rozkaz pilnować tego tu...

– Dobrze już, dobrze! To jak to było? – kapitan Morawski chciał jeszcze raz usłyszeć o przebiegu wydarzeń.

Jednak mimo dodatkowych pytań Jakubik nie powiedział więcej niż za pierwszym razem.

– Miałem pilnować tego w wozie, więc go pilnowałem – zakończył z lekkim rozżaleniem.

– Nikt nie ma do was pretensji – załagodził sprawę kapitan Morawski. – Może tylko opiszecie dokładnie sylwetkę tego „pasażera”. Cechy charakterystyczne... To by nam pomogło.

– On wyszedł stąd, zza rogu. Tu, jak panowie widzicie, jest gęsty żywopłot. Widziałem go bardzo krótko. Parę kroków i już był w wozie. To samo przy powrocie. Nie mogłem wysiąść i iść za nim. Zresztą zaraz za rogiem stał prawdopodobnie jego samochód, bo gdy tylko zniknął za żywopłotem, posłyszałem warkot zapalnego silnika i pisk opon.

– Jak wyglądał ten facet? – niecierpliwił się kapitan Morawski.

– Średniego wzrostu... Dobrze zbudowany... Lat około czterdziestu. Ubrany w popielate spodnie, granatowa marynarka. Taka marynarka ze złotymi guzikami – Jakubik mówił powoli, z zastanowieniem.

– I to wszystko?

– Raczej wszystko – młody człowiek rozłożył ręce.

– Jak na wywiadowcę to niezbyt dużo masz tych danych – westchnął kapitan.

– Ten facet wyskoczył tak niespodziewanie.

– Dobrze, już dobrze! Ale poznalibyście go?

– O tak! Na pewno!

– Dziękuję wam! A teraz, poruczniku Makowski, proszę o wyniki waszej działalności – zwrócił się Morawski do porucznika.

– Na razie to niewiele można powiedzieć. Morderca musiał być znany denatowi. Po pierwsze: denat czekał na niego. Po drugie: wpuścił go do wozu bez opon. Podczas rozmowy morderca zarzucił denatowi sznur na szyję i udusił go... Na razie nie wiemy nic więcej. Poza tym nasz technik utrwalił już odciski obuwia mordercy, mamy też odciski opon, co pozwoli nam na identyfikację wozu.

– Zabezpieczono ślady palców?

– Tak! Ale morderca działał prawdopodobnie w rękawiczkach...

– Można zidentyfikować także odciski rękawiczek – podpowiedział kapitan Morawski.

– Można. Jednak ślady były tylko na klamce drzwi wozu. Są to zamazane, niewyraźne odciski.

– Co macie teraz w planie?

– Ustalimy nazwiska tych, z którymi Malisz był ostatnio w kontakcie... A może wy nam coś podpowiecie? – Makowski z przymilnym uśmiechem zwrócił się do Morawskiego.

– Mamy cztery nazwiska... Mogą mieć związek z tą sprawą. Sprawdźmy ich alibi. Jeśli czegoś się dowiemy, powiadomimy was. A wy róbcie to, co planujecie. O wynikach będziemy się informować. – Kapitan uściśnęła dłoń porucznika Makowskiego. – Idziemy, Bondaruk! Tu już nie mamy nic do roboty.

Wsiadli do wozu. Droga powrotną do komendy przebiegła w minorowym nastroju. Dopiero gdy znaleźli

się w swoim pokoju, Bondaruk przerwał milczenie.

– Co robimy dalej, panie kapitanie? Czy zgodnie z wcześniejszym planem sprawdzamy alibi naszego abecadła?

– Nie ma rady. To w tej chwili nasz jedyny drogowskaz.

– Jeśli wszyscy będą mieli alibi, to co wtedy? – Bondaruk wybiegał myślami w przyszłość.

– To znaczy, że „mózg” tej grupy działa lepiej od nas... – powoli, w zamyśleniu, stwierdził kapitan Morawski. – Skąd ten drań wiedział, że mamy Malisza na muszce? Ma między nami informatora? – Bondaruk, zaskoczony tym stwierdzeniem, zrobił minę, której nie dałoby się nazwać mądrą. – To jednak nie wchodzi w rachubę... – Kapitan odpędzał to podejrzenie jak uprzykrzoną muchę. – Bo kto byłby tym informatorem? Ja, ty, Grzelec? Żadne z nas nie pisnęło nikomu na ten temat ani słowa. Nikt inny nie znał właściwie celu wezwania Malisza do komendy.

– Z tego wynika, że „mózg” musiał się czegoś domyślić w czasie rozmowy z Maliszem.

– Czyżbym ja palnął coś niewłaściwego podczas przesłuchania? – kapitan był wyraźnie zaniepokojony tym przypuszczeniem.

– Ależ skądże! Przysłuchiwałem się całej rozmowie – zaprotestował energicznie Bondaruk. – Wszystko było w porządku. Mówiliście tylko na temat wydarzenia z motocyklem!

– Czyli bierzemy się za sprawdzanie alibi naszych czterech panów – zdecydował Morawski. – Trudno! Często sygnał ostrzegawczy z naszej strony sprawia, że przeciwnik wpada w panikę. Zaczyna popełniać błędy.

– Niech się dzieje wola nieba! – odpowiedział cytatem z „Zemsty” Bondaruk. – Wypisuję wezwania dla wszystkich klientów.

Rozdział 17

Siedzieli za biurkami, każdy zaabsorbowany swymi sprawami. Kapitan Morawski przemyślał sposób przesłuchania wezwanych na jutro czterech pracowników Instytutu Telekomunikacji, kolegów Lucińskiego. Nie wystarczyło przecież zapytać wprost, ot, tak zwyczajnie, co pan robił, gdzie pan był w tym i tym dniu o takiej to i takiej godzinie... To trzeba zrobić delikatnie, tak by nie domyślili się, czego chce się od nich dowiedzieć.

Podniósł wzrok znad papierów. Spojrzał na dwójkę swych współpracowników. Choć byli bardzo zaabsorbowani pracą, kapitan wyczuwał, że myślami błądzą przy dniu wczorajszym. Spostrzegł, że Krystyna często kieruje dyskretne spojrzenie w kierunku Jacka. Ten zaś był jakoś dziwnie podniecony.

Oho! Zdaje się, że miałem rację, zwalnając ich wczoraj wcześniej do domu! – Kapitan uśmiechnął się do swoich myśli. – Bo jak to się ocenia powiązania

między mężczyzną a kobietą? Jeśli on patrzy na nią, a ona się odwraca, to znaczy, że amory się dopiero zaczy-
niają... Ale jeżeli ona patrzy na niego, a on się odwraca,
to znaczy, że to, co się miało stać, już się stało... No,
cóż! Zorganizowanie wesela w tym okresie nie będzie
należało do łatwych zadań... Z tych matrymonialno-
filozoficznych rozważań wyrwało kapitana dość ener-
giczne stukanie do drzwi. Cała trójka jak na komendę
spojrzała w tamtym kierunku. Staął w nich porucznik
Makowski.

– Można? – spytał z przymilnym uśmiechem.

– Ależ tak! Naturalnie! – Kapitan poderwał się z za-
biurka. Przywitanie było bardzo serdeczne. Kapitanowi,
choć poznał porucznika Makowskiego dopiero przy
zwłokach Malisza, wydał się on sympatyczny i koleżeń-
ski.

– Koleżanko Grzelec! Nie da się skombinować ja-
kiejś filiżanki kawy? – spytał pokornym tonem swą
współpracownicę.

– Ależ proszę się nie fatygować! – zaprotestował
Makowski. – Ja tylko na chwilę. Wpadłem, bo akurat
miałem tu inną sprawę do załatwienia. Pomyślałem
jednak sobie, że warto poinformować pana kapitana o
pewnym drobiazgu...

– I bardzo dobrze! – kapitan był zadowolony. – W
naszej pracy każdy drobiazg może być kamieniem mi-
lowym na drodze śledztwa.

– Ja też tak myślę! – zgodził się porucznik Ma-
kowski. – Dlatego przyszedłem.

– Proszę więc o podzielenie się z nami tym drobiazgiem...

– Ustaliliśmy krąg koleśków Malisza. Nie wiem, czy to już wszyscy, czy może jeszcze brak paru asów do tego towarzystwa. W każdym razie mamy kilku rozpracowanych... Przeważnie są to ludzie z marginesu. Jest paru cinkciarzy, paru niebieskich ptaszków, co to nie sięją, nie orzą, a żyją ponad stan. Jest paru handlujących na bazarze warzywami, jeden karany już paser i tak dalej. Choć jest też paru na posadach. Nie karanych. Tę całą malowniczą grupę wezwaliśmy na przesłuchanie. Zgłosili się wszyscy. Prócz jednego.

– To jeszcze nie problem.

– Problem może nie. Ale posłałem do jego mieszkania wywiadowcę. Sąsiedzi twierdzą, że nigdzie nie wyjeżdżał. Że powinien być w domu. Na pukanie jednak nikt nie odpowiadał. Wywiadowca wyczuł, że ktoś jest w mieszkaniu. Zbliżył się do drzwi, ale ich nie otwierał...

– To też jeszcze nie problem... Chociaż zgadzam się z wami, że każdej takiej sprawie trzeba się przyjrzeć z dwu stron. Rozważyć wszystkie „za” i „przeciw”.

– Właśnie! To ja zacznę od tego „przeciw”. Może facet się wystraszył. I to wystraszył się podwójnie. Boi się nas i boi się tego, który zlikwidował Malisza...

– Może być i tak. Ludzie różnie reagują na to samo zdarzenie.

– Myślałem, że lepiej będzie, jeśli poinformuję pana kapitana o tej sytuacji.

– Bardzo dobrze! Dziękuję! – Kapitan uściśnął dłoń porucznika. – A co z pozostałymi?

– Normalnie, jak to przy „niebieskich ptaszkach”. Mają tak mocne alibi, że nic tu się nie da zrobić.

– Tak przypuszczałem! – westchnął ciężko kapitan. – Sprawdzimy dla pewności i tego, który nie zgłosił się na „spowiedź”. Mamy tu, jak widzicie, dzielną dziewczynę. Poślemy ją „na wabia”. Może go wyciągnie z kryjóWKi?

– Dobrze! ZgadzaM się na takie załatwienie sprawy! – Porucznik sięgnął do notesu. – Mój notatnik wszystko powie! – Przerzucił kilka stron.

– Ten facet to Jan Skwarczyński, zamieszkały przy ulicy Poznańskiej osiemdziesiąt siedem mieszkania dziesięć.

Kapitan zanotował adres.

– Zaraz zaczniemy działać – obiecał.

– No to ja już pójdę! – Porucznik zaczął się żegnać z kolegami.

– Jeżeli dowiemy się czegokolwiek, zaraz was powiadomimy! – zapewnił Makowskiego kapitan.

Gdy za gościem zamknęły się drzwi, Morawski spojrział wymownym wzrokiem na Krystynę.

– Słyszaliście, koleżanko Grzelec, co was czeka? – spytał z udaną surowością.

– Słyszałam. – W głosie dziewczyny brzmiała rezygnacja. – Jak trzeba, to trzeba...

– Ja bym to skomentował inaczej – odezwał się

zza swego biurka milczący dotąd Bondaruk. – Gdzie diabeł nie może...

– Jakkolwiek byśmy na tę sprawę patrzyli, należy stwierdzić, że w naszej pracy na diabła nie ma co liczyć...

– Więc pozostała nam tylko koleżanka. – Podporucznik rozłożył ręce.

– Koniec z żartami! – przerwał im kapitan Morawski. – Zastanówmy się, jak wykonać to zadanie.

Siedli przy biurku kapitana.

– Trzeba tego Skwarczyńskiego wypłoszyć z mieszkania. Pomyślmy, w jaki sposób?

*

Przy krawężniku ulicy Poznańskiej, przed domem numer 87, zatrzymał się granatowy fiat. Wysiadło z niego dwu młodych ludzi o smukłych, sportowych sylwetkach. Nie rozglądając się na boki, weszli sprężystym krokiem do bramy domu.

Po chwili z wozu wysiadła pracownica poczty. Przez ramię miała przewieszoną torbę doręczyciela. W ręku niosła dość dużych rozmiarów paczkę. Zniknęła w bramie. Przeszła przez ciemne podwórze-studnię. W powietrzu unosiła się woń stęchlizny pomieszana z zapachami gotowanych obiadów. W uszy biła kakofonia dźwięków: program radiowy zmieszany z nagraniem magnetofonowym. Doręczycielka weszła na klatkę schodową, w której powinno znajdować się mieszkanie numer 10.

Lokal oznaczony tym numerem znajdował się na drugim piętrze. Doręczycielka ściągnęła windę. Wjeżdżając na drugie piętro, wzdrygnęła się parę razy ze strachu, gdyż urządzenie to, pamiętające jeszcze trzydzieste lata, miało się gwałtownie na boki przy akompaniamencie zgrzytów i pisków. Mimo obaw dojechała szczęśliwie na drugie piętro. Wychodząc z windy, specjalnie głośno zatrzasnęła za sobą drzwi. Do ściany korytarza, obok drzwi lokalu numer 10, przywarło dwu młodych ludzi. Doręczycielka postawiła paczkę na podłodze. Nacisnęła przycisk dzwonka, pod którym znajdowała się tabliczka informująca, że tu mieszka Jan Skwarczyński. Nie słyszała kroków, ale wyczuła, że ktoś zbliżył się do drzwi. Ustawiała się tak, by wyraźnie widać ją było przez wizjer. Posłyszała trzask otwieranego zamka. Drzwi lekko się uchyliły. Szczękniętą naprężony łańcuch. W szparze drzwi ukazała się szczupła, blada twarz. Malował się na niej strach.

– Proszę? – głos brzmiał niepewnie.
– Pan Jan Skwarczyński?
– To ja...
– Jest dla pana paczka.
– Skąd? Od kogo?
– Czy to takie ważne? Proszę przyjąć paczkę i pokwitować mi na blankiecie... Wszystkie bliższe informacje sam pan sobie przeczyta. – Doręczycielka była opryskliwa.

Mężczyzna przez chwilę wahał się. I ta chwila wydała się Krystynie Grzelec godziną. Nagle stało się coś

najgorszego: drzwi zatrzasnęły się. Dziewczyna stała jak sparaliżowana. Co robić? Do jej uszu doszły odgłosy zdejmowania łańcucha z zaczepu. Odetchnęła z ulgą. Po chwili drzwi otworzyły się. Na to tylko czekali dwaj wywiadowcy. Drzwi, pchnięte energicznie przez jednego z nich, otworzyły się na całą szerokość. Nim Skwarczyński zorientował się, o co chodzi, wywiadowcy trzymali go już mocno pod ręce. Sierżant powoli weszła do przedpokoju.

– Panie Skwarczyński! Jest pan zatrzymany. – Pokazała milicyjną legitymację. – Mamy polecenie odwieźć pana do komendy. Tam zostanie pan przesłuchany.

*

Do pokoju, w którym znajdowali się już kapitan Morawski i porucznik Bondaruk, weszła Krystyna Grzelec, przepuszczając przed sobą Skwarczyńskiego. Był to szczupły, niewielkiego wzrostu mężczyzna. Szedł lekko pochylony, co sprawiało, że wyglądał na jeszcze niższego, niż był w istocie. Jego blada, szczupła twarz miała w sobie coś szczurzego. Skwarczyński poruszał się niepewnie, jakby z obawą. Wyraźnie widać było, że się boi. I że jest zdenerwowany. Skierowany gestem przez Krystynę Grzelec, zbliżył się do biurka, przy którym siedział kapitan. Morawski wskazał mu krzesło. Skwarczyński usiadł ostrożnie, jakby obawiał się, że mebel w każdej chwili może się załamać.

– Imię i nazwisko proszę. – Głos kapitana był suchy.

– Jan Skwarczyński – wyszeptał zatrzymany.

– Głośniej proszę!

– Jan Skwarczyński – powtórzył posłusznie.

– Data i miejsce urodzenia?

– Trzynastego grudnia dwudziestego ósmego roku... Warszawa... – Przesłuchiwany wyjął z kieszeni spodni chustkę i nerwowymi ruchami otarł pot z twarzy.

– Czemu się pan denerwuje? – spytał kapitan.

– Ja! Ja się nie denerwuję! – szybko zaprzeczył.

– Jak to nie? Ręce panu drżą. Poci się pan...

– To już taka natura człowieka. Kto ma do czynienia z milicją, musi być zdenerwowany.

– Nawet wtedy, gdy milicjant pomaga obywatelowi? – uśmiechnął się kapitan. – Nawet jeśli obywatel niczego złego nie zrobił? Jeśli postępowanie nie jest sprzeczne z kodeksem, nie ma się czego denerwować.

– Nawet niewinnemu można przypiąć jakiś paragraf – stwierdził sentencjonalnie Skwarczyński.

– Skąd pan wie, że chcemy panu coś przypiąć? Może chodzi tylko o rozmowę?

– Na rozmowę nie zaprasza się w taki sposób, w jaki mnie tu ściągnięto.

– Zapraszaliśmy pana w innej formie, ale pan się nie stawiał na wezwanie. Dlatego zastosowaliśmy niezbyt eleganckie metody. Jeśli tym się pan zdenerwował, to bardzo przepraszamy.

Skwarczyński nie odpowiedział.

- Dlaczego nie zgłosił się pan na nasze wezwanie?
- Nie było mnie akurat w Warszawie.
- Mógł pan zgłosić się zaraz po powrocie.
- Mogłem.
- To dlaczego się pan nie zgłosił?
- Tak się jakoś złożyło.
- Widzi pan! Sam pan postąpił troszkę nie tak, jak trzeba, a do nas ma pan pretensję. A nam chodzi tylko o odpowiedź na proste pytanie: czy zna pan niejakiego Antoniego Malisza?
- Znam... – to słowo wypowiedziane zostało z pewnymi oporami.
- Długo?
- Raczej tak.
- Jak długo? – chciał wiedzieć kapitan.
- Około trzydziestu lat.
- Znajomość układała się dobrze? Nie kłóciliście się?
- Tylko czasami. Ale to były takie tam drobne sprzeczki.
- Czy były w tych sprzeczkach chwile, w których miał pan chęć go zabić?
- Ja go nie zabiłem! – wyrwało się Skwarczyńskiemu.
- A kto to zrobił? – natarł kapitan.
- Nie wiem! – Skwarczyński był już zupełnie roztrzęsiony.
- Pan się czegoś strasznie boi – kapitan powiedział to spokojnym tonem. – Kogo się pan boi więcej: nas, czy tego, który zabił Malisza?

Skwarczyński ukrył twarz w dłoniach.

– Panowie! Błagam was! Ja nic nie wiem!

– Ale my wiemy! – zablefował kapitan Morawski.

– Wiemy wszystko!

– Po co ja się dałem w to wrobić. Po co? – głos dobywający się spomiędzy dłoni zatrzymanego ledwie doszedł do uszu kapitana.

– W co się pan dał wrobić?

– No bo Malisz nie żyje, a ja jestem jego kolegą – próbował jeszcze lawirować.

– Panie Skwarczyński! Sam pan widzi, że to, co pan nam teraz chce wmówić, nie trzyma się kupy!

– Jako kolega zabitego jestem podejrzany o zabicie Malisza – powiedział Skwarczyński bez przekonania. – I teraz muszę się tłumaczyć. Przypomnieć sobie, co wtedy robiłem – lawirował dalej.

– To znaczy kiedy?

– W dniu, w którym zginął Malisz...

– To znaczy kiedy?

– Nie wiem. To panowie wiecie.

– A znane jest panu nazwisko: Luciński? – zapytał niespodziewanie kapitan Morawski.

Skwarczyński drgnął. Uniósł twarz. Błędnym wzrokiem spojrzał na kapitana.

– Mam panu przypomnieć, kto to Luciński? Nie pamięta pan tego nazwiska? A może pan go nie zna? To jest nazwisko tego człowieka, którego zabiliście wraz z Maliszem! – Kapitan zaryzykował po raz drugi.

– Więc wiecie... – Skwarczyński znów ukrył twarz

w dłoniach. Po chwili wrócił do poprzedniej pozycji. – Może to i lepiej. Ciężko mi było z tym żyć. Jestem złodziejem. W porządku! Ogłuszyć i obrabować, to jeszcze! Ale zabić! Ja go nie chciałem zabić. I nie było o tym mowy.

– Kto go zabił?

– Malisz. Tamten jeszcze żył, gdy Malisz kazał go zasypać. Zasypywaliśmy razem. Chciałem to mieć za sobą. Dlatego zakopywałem. Poza tym bałem się Malisza.

– A kto załatwił Malisza?

– Nie wiem.

– Na czyje polecenie zabiliście Lucińskiego?

– Nie wiem. Nie znam. Wszystko załatwiał Malisz... Ja byłem tylko do pomocy... Jako kierowca... Malisz mówił mi tylko to, co musiałem wiedzieć...

Kapitan zastanawiał się przez chwilę, jakby chciał jeszcze o coś zapytać Skwarczyńskiego. Jednak zrezygnował. Nacisnął przycisk umocowany pod blatem biurka. Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich funkcjonariusz.

– Odprowadzić do aresztu!

Skwarczyński podniósł się. Przez chwilę stał bez ruchu. Wreszcie wyrzucił z siebie:

– Dobrze, że już mam to za sobą! Ciężko mi z tym było! Może mi pan wierzyć lub nie, to teraz nie jest ważne! Robiłem wiele skoków. Ale byłem solidny... Nie szedłem na żadną mokrą robotę... To Malisz zrobił ze mnie mordercę! Dobrze, że już po wszystkim. Tu będę spokojniejszy...

Gdy wyprowadzono Skwarczyńskiego, kapitan Morawski wstał zza biurka. Zaczął znów swój zwykły spacer po pokoju.

– Tak więc mamy płótkę. Lecz nadal nie wiemy nic o „mózgu” – ciężko westchnął.

– Może coś nam da przesłuchanie tych z Instytutu.
– Bondaruk powiedział to bez przekonania.

– Sam w to nie wierzysz!

– Nie wierzę! – przyznał podporucznik.

W pokoju zapadła cisza. Każdy przy swym biurku rozmyślał o sytuacji. Jak to określał Bondaruk, „prze-prowadzali pracę myślową”. Lecz wcale nie było im wesoło. Nadal nic nie wiedzieli.

– Może jeszcze raz porozmawiamy z tym wywiadowcą... Jak mu tam! Aha, Jakubik! Może coś przeczyliśmy. Może on coś sobie przypomniał nowego. Przecież pilnował Malisza.

– Ładnie go pilnował, skubaniec! – zachnął się Bondaruk. – Przysnął sobie za państwowe pieniądze!

– Widział jednak mordercę Malisza... Może doda coś do jego opisu.

– Dobrze, szefie! Zaraz go odszukam! – zgodził się Bondaruk.

– I ściągnij go do nas!

Rozdział 18

Sierżant Jakubik zameldował się u kapitana Morawskiego dość szybko, zaledwie w kilka godzin od chwili, gdy Bondaruk zaczął go szukać.

– Przepraszam, że nie mogłem wcześniej się zameldować. Miałem inne zadanie do wykonania – usprawiedliwił się, siadając przed obliczem kapitana.

– Nie szkodzi! Pośpiech jest wskazany tylko przy łapaniu pcheł! – kapitan skwitował znanym powiedzeniem tłumaczenie Jakubika. – Powiedzcie nam raz jeszcze, ale dokładnie, jak wyglądał morderca Malisza? Powtórzcie też jeszcze raz, ze wszystkimi szczegółami, co się zdarzyło podczas prowadzonej przez was obserwacji.

– Już wszystko powiedziałem. – Sierżant wyjął notatnik. – Ale mogę powtórzyć jeszcze raz... Było tak: facet odjechał spod komendy. Na rogu Puławskiej i Malczewskiego rozmawiał przez telefon...

– Szkoda, że nie wiemy, z kim rozmawiał! – westchnął z żalem kapitan.

– Ależ wiemy, panie kapitanie! – uśmiechając się radośnie zakomunikował Jakubik.

– Jak to: wiemy! – Kapitan Morawski aż zerwał się4z krzesła. – To wy wiecie i nic nie mówicie?!

Na twarzy zadowolonego z siebie Jakubika odmalowało się teraz przerażenie.

– Bo potem było to morderstwo... I nie miałem okazji powiedzieć – usprawiedliwił się, ale to tłumaczenie wcale nie uspokoiło zdenerwowanego kapitana.

– Dajcie szybko ten numer! – niecierpliwił się.

Jakubik z lękiem podsunął notatnik.

– Bondaruk! Natychmiast sprawdzić, do kogo należy ten numer! – z tymi słowy Morawski wręczył pod

porucznikowi notes.

– Już się robi, szefie!

Kapitan opadł ciężko na krzesło. Pukając długopisem w blat biurka, spoglądał surowo na siedzącego przed nim Jakubika.

– No, sierzancie Jakubik! Z jednej strony należy się wam ostra nagana, z drugiej zaś zuch jesteście. Mam nadzieję, że dzięki wam będziemy mieli z głowy sprawę, którą ostatnio prowadzimy.

– To bardzo bym prosił pana kapitana, by nie zapomniał o mnie przy podziale premii! – sierżant Jakubik znów uśmiechnął się radośnie.

Po jego wyjściu kapitan Morawski zwrócił się do Krystyny Grzelec.

– I co wy na to, koleżanko Grzelec? Robi się gorąco! Zdaje się, że z dzisiejszej randki z Bondarukiem, o ile ją macie, nic nie będzie...

– Trudno, panie kapitanie! Pogodziłam się już z moim milicyjnym losem.

Dalszą rozmowę przerwał dzwonek telefonu.

– Tak, słucham! – stojący najbliżej podporucznik podniósł błyskawicznie mikrotelefon. – Numer? Tak, zgadza się. Już notuję! – Zapisał informację, przekazaną mu z biura numerów. – Tak, zanotowałem! Bardzo dziękuję! – Z westchnieniem ulgi odłożył mikrotelefon na widełki.

– I co? – Kapitan sięgnął po kartkę z zanotowanymi przez Bondaruka danymi. Chwilę wpatrywał się w nią, po czym ze zdziwieniem wykrzyknął: – To

niemożliwe! Czyżby znów wpuszczono nas w maliny?

– Maliny, nie maliny, ale to nasza ostatnia szansa!
– skwitował wątpliwości kapitana podporucznik Bondaruk.

– W takim razie dzwoń szybko do prokuratora! Potrzebny nam natychmiast nakaz aresztowania! – Kapitan zdecydował się na działanie. – Ja idę do naczelnika. Trzeba omówić akcję.

Wybiegł z pokoju i szybkim krokiem skierował się do gabinetu pułkownika Wrońskiego.

– Towarzyszu pułkowniku! Mamy wreszcie zakończenie sprawy „Inserat”! – wykrzyknął.

Pułkownik Wroński, zamykający właśnie szafę pancerną, odwrócił się błyskawicznie w kierunku kapitana Morawskiego.

– W porządku! Siadajcie! Uspokójcie się! Jak będziecie się tak denerwować, pójdziecie szybko na rentę...

Siedli w fotelach przy stoliczku.

– Więc jak wygląda sprawa? – Pułkownik Wroński mówił powoli, niemal cedził słowa, co wpłynęło uspokajająco na kapitana.

– Znamy nazwisko „mózgu” sprawy „Inserat”. Mamy w ręku jego współnika... Załatwiam właśnie nakaz aresztowania...

– Ile osób liczy szajka?

– Najmniej trzy osoby. Dwie były widziane w rejonie, w którym został zamordowany Luciński. Trzeci to szef akcji.

– Skąd wiecie, że ten trzeci to „mózg” akcji?

– Bo wiedział o nagraniu na taśmie głosu jednego z nich... To ten, do którego telefonował jeden z morderców przed tym, nim sam zginął.

– Dobrze! Masz plan akcji?

– Potrzebny mi natychmiast wóz. W wozie podporucznik Bondaruk z dwoma funkcjonariuszami. Ma się rozumieć, po cywilnemu... Pojadą najpierw do prokuratora, a potem, z nakazem aresztowania, po „mózg”.

– A ty?

– Ja poczekam u oficera dyżurnego. Będę utrzymywał stałą łączność z wozem. Może zajść coś nieprzewidzianego...

– Tak! Z tym zawsze należy się liczyć – westchnął pułkownik. – No, to do roboty! – Podeszedł do pulpitu rozdzielczego, na którym w słabych promieniach słońca, wpadających do gabinetu, mienił się rząd różnokolorowych żarówek i barwnych guziczków. Pułkownik nacisnął jeden z nich.

– Oficer dyżurny? Cześć! Tu Wroński... Zaraz przyjdzie do ciebie kapitan Morawski... Znasz? To dobrze. Będzie dowodził akcją... Ty zaś miej w pogotowiu wóz i dwu funkcjonariuszy. Tylko nie radiowóz! Nie wszyscy muszą wiedzieć, że coś się szykuje! I niech chłopaki działają dyskretnie, bo wiesz, jaka jest sytuacja! Bandytów nie zdejmujemy, a naszym utrudnią pracę... Kapitan Morawski już idzie do ciebie. Na razie cześć! Jak słyssałeś, wszystko będziesz miał przygotowane. Idź więc na stanowisko i powodzenia! – Pułkownik uściśnął rękę kapitana. – Gdyby coś szło nie tak,

będę w domu...

Kapitan wrócił do pokoju.

– Bondaruk! Będziecie dowodzić akcją zdjęcia „mózgu”. Masz wóz z dwoma funkcjonariuszami. Jak postępować, nie będę cię teraz uczył. Jeśli zapomniałeś, czego was uczono w szkole, to twoja wina... Czekacie tu. Ja idę do oficera dyżurnego. Stamtąd dam znać, kiedy zejdiesz do wozu. Życzę szczęścia!

Kapitan pożegnał się ze współpracownikami.

Oficer dyżurny pracował na trzecim piętrze. Dziś dyżur pełnił pułkownik Dobrowolski. Znali się dobrze. Pułkownik Dobrowolski, jeszcze w stopniu kapitana, był wykładowcą w Szczytnie. Uczył rocznik Morawskiego. Dobrowolski był jednym z najbardziej lubianych przez elewów wykładowców. Wymagał, był srogi, ale sprawiedliwy, a przy tym można z nim było wszystko załatwić. Zawsze stawał w obronie słuchaczy, próbując znaleźć usprawiedliwienie dla tych, którzy „podpadli”.

– O, Morawski! – ucieszył się na widok wchodzącego. – To co? Działamy razem.

– Ano tak! Kończę właśnie sprawę „Inserat”.

– Słyszałem! Macie już wszystkich?

– Dwu... A i inni, jeśli są, to wkrótce się znajdą.

– To dobrze! Będę miał trochę zajęcia. Choć, trzeba przyznać, że w dzisiejszych czasach na brak zajęcia i emocji nie mam co narzekać.

Kapitan usiadł przed pulpitem pełnym przycisków i lampek.

– Dasz sobie radę? – spytał pułkownik Dobrowolski.

– Dam! Jeszcze wszystkiego nie zapomniałem!

Całą ścianę naprzeciwko kapitana zajmowała duża podświetlana mapa Warszawy. Po lewej stronie, trochę ukośnie, stały jeden nad drugim szeregi monitorów. Widać na nich było najbardziej newralgiczne punkty stolicy. Pulpity dyspozytorskie, ustawione w podkowę, lśniły czystością i świeżością. Obok, w małej sali za oszklonym przepierzeniem, stały dalekopisy. Mimo uszczelnień ich przeraźliwy stukot dochodził do stanowiska dyspozytorskiego. Pułkownik Dobrowolski nacisnął jeden z przycisków znajdujących się na pulpicie.

– Dyspozytor, słucham! – zatrzeszczało w głośniku.

– Tu oficer dyżurny! Wóz gotów do odjazdu?

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku.

– Funkcjonariusze?

– Już czekają w wozie!

– Zaraz zejdzie do was dowódca patrolu!

– Zrozumiałem! Odmeldowuję się!

Pułkownik przerwał połączenie.

– Słyszałeś? – zapytał Morawskiego już tylko „pro forma”.

Kapitan skinął głową.

– To uruchamiaj swoich orłów!

Morawski wybrał przyciskami z cyframi numer telefonu w swym pokoju.

- Bondaruk, słucham?
- Tu Morawski!
- Tak, szefie?
- Schodź do wozu... I do roboty... Wszystkiego dobrego!

- Dziękuję! Schodzę, do wozu.

W gabinecie zapanowała cisza. Kapitan podszedł do okna. Przed podjazdem stał wóz osobowy, a w nim widać było dwie osoby. Po chwili na schodach pojawił się Bondaruk. Towarzyszyła mu sierżant Krystyna Grzelec. Podporucznik wsiadł do wozu. Ruszyli powoli w kierunku bramy. Krystyna pomachała ręką na pożegnanie odjeżdżającym.

Miłość to jednak piękna rzecz! – pomyślał Morawski, patrząc za odjeżdżającymi. – I wszędzie jest taka sama. Dobrze, że znaleźli w naszej pracy czas na miłość. To ich wzmocni. Pozwoli przetrwać trudne chwile...

Wóz skręcił w Puławską. Zginął za konarami drzew.

- Teraz pozostaje nam tylko czekać! – przerwał milczenie pułkownik Dobrowolski.

Kapitan spojrział na zegarek. Szesnasta dwadzieścia trzy. Odnotował czas w dzienniku dyżurnego. Po chwili dopisał: „Rozpoczęcie akcji Inerat”. Odłożył długopis z westchnieniem ulgi. Nareszcie będą mieli zakończoną sprawę. Ale to nie oznaczało wcale odpoczynku. Z pewnością major Górski przyczał się już w swym gabinecie z nową sprawą... Na razie trzeba czekać. Podszedł znów do okna.

– Coś mi się widzi, że nerwy odmawiają posłuszeństwa? – pułkownik Dobrowolski wypowiedział te słowa ze śmiechem. Podszedł do kapitana Morawskiego. Objął go ramieniem. – I to u kogo? U doświadczonego oficera, który na niejednej poważnej akcji zęby zjadł...

– Nadchodzi kiedyś taka chwila, że i „stalowe nerwy” zawodzą. Może to i dobrze. Jeśli przeżywam jeszcze każdą akcję, to znaczy, że nie stałem się już robotem do wykonywania zadań, a jestem jeszcze człowiekiem. Tam, w wozie, są moi, nasz koledzy. Jeśli im się coś stanie, ja będę za to odpowiedzialny. Nie jako przełożony. Jako człowiek, jako kolega.

– Nie możemy też pozwolić sobie na zbyt wiele uczucia... Właśnie taka chwila może nas kosztować życie. Pamiętasz Wójcika?

– Pamiętam. Dobry był kolega.

– Był... Dlaczego? Bo zawahał się. Strzelać, czy nie? Ten drugi nie miał takiego dylematu moralnego... I nie ma już Wójcika między nami.

Rozdział 19

Bondaruk siedział obok kierowcy. Na tylnym siedzeniu rozparli się wygodnie dwaj funkcjonariusze. Jeden był w mundurze. Mimo że jechali już kilka minut, Bondaruk nie mógł sobie podarować tego munduru.

– Też się wybrałeś! Jak na karnawał. Był rozkaz, że mamy być po cywilnemu? Był! Ale do twojej

mózgownicy to jeszcze nie doszło! Jedziemy zgarnąć faceta po cichu! A ty co? Wskoczysz jak diabeł z pudełka?

– To moja wina? Rano miałem być w mundurze, teraz w cywilu! Zwariować można...

– Nie było już żadnego asa w cywilu – starał się usprawiedliwić kolegę drugi funkcjonariusz.

– Co mam teraz zrobić? Wysadzić go?

– Lepiej nie, bo z żalu pójdzie się upić. A szkoda chłopca... – żartował kierowca.

– Dobrze! Jedziesz z nami. Ale na początku akcji siedź w wozie i nie pokazuj się. Bo nie tylko wystraszysz przestępcę, ale i dzieci w okolicy.

Omówili czekającą ich akcję. Bondaruk wtajemniczył wywiadowców w ich zadania. Gdy wyczerpali temat, w wozie zapanowała cisza. Kierowca chciał naświetlić jakąś przyjemną muzykę. Pokręcił gałką w jedną stronę, potem z powrotem, ale nie znalazł nic godnego uwagi. Bondaruk myślał o siedzących za nim funkcjonariuszach. Znał ich. Była to jednak znajomość ograniczająca się do spotkań w bufecie czy na korytarzu. Tylko raz brali udział we wspólnej akcji. Była to obława na „wampira”, który w jednej z dzielnic Warszawy zgwałcił trzy młode kobiety. W myśli przyznał, że obydwaj byli odważni, przy tym sprytni i opanowani. To dobrze. Bo cmentarze są pełne ludzi nerwowych. Chciał ich zapytać o to, co teraz robią, o ich odczucia, nastroje. W końcu porzucił ten zamiar. Nie należał do ludzi rozmownych. Dlatego nie lubił przebywać w jakimkolwiek

towarzystwie. Unikał przyjęć. Czuł się wtedy skrępowany. Właściwie był inteligentny, czytany. Mógł prowadzić rozmowę na wiele tematów, ale po prostu wstydził się zabierać głos. Uważał, że inni wiedzą o wiele więcej od niego. Nawet z Krystyną... Gdy spotykał się z nią po pracy, często mówili o sprawach służbowych. Dobrze, że choć ona była bardziej rozmowna. Umiała podtrzymać temat albo też sama, nie czekając na niego, zaczynała rozprawiać o jakimś wydarzeniu. Często zmuszała go do zajęcia stanowiska, do wypowiedzenia swych myśli. Dobrze się czuł w jej towarzystwie. Po tych spotkaniach był zawsze odprężony, zrelaksowany, jak to się teraz określa. Odnosił wrażenie, że i jej było z nim dobrze. Chętnie przyjmowała jego zaproszenia. Z radością witała go w domu. Spotykał się z sympatią jej rodziców. Bondaruk uśmiechnął się do swych myśli. Trzeba będzie pomyśleć o ślubie. Mieszkanie mam...

– Nasz kolega myśli chyba o swej uroczej koleżance! – zażartował jeden z funkcjonariuszy, widząc uśmiechającego się Bondaruka.

– Dobry z ciebie wywiadowca. Czytasz w myślach – skwitował tę uwagę podporucznik.

– Nie w myślach, tylko w lusterku przed tobą!

– A skąd wiesz, że on myślał o dziewczynie? Może o swoim szefie? – wtrącił drugi kolega.

– Wtedy wyglądałby, jakby połknął łyżkę piołunu.

– Gdybym ja miał tę Grzelec w swym wydziale, też bym o niej myślał!

– Tu nie ma co myśleć, tylko działać!
– Ty możesz, bo masz mieszkanie. Ja mieszkam z rodzicami.

– O ile wiem, to i ty mieszkasz z matką? – spytał Bondaruk drugiego milicjanta.

– Ano mieszkam. Matka ma swoje lata. Kto się nią będzie opiekował? PCK nie, bo jest syn. Prywatnie nikt nie chce... To co mam robić? Mam swoje mieszkanie, ale bywam w nim tylko od czasu do czasu... Choć takie wspólne mieszkanie z matką jest cholernie kłopotliwe... Gdzie idziesz, gdzie byłeś, załóż szalik, uważaj na siebie...

– W swojej chacie bywasz tylko wtedy gdy masz randkę?

– I to jest największy problem! Nie mam czasu na sprzątanie.

– Namów jakąś babkę, niech ci pomoże?

– A wiesz, że to mi nigdy do głowy nie przyszło. Muszę spróbować.

Wybuchnęli głośnym śmiechem.

– Teraz spokój, koledzy – polecił Bondaruk. – Zbliżamy się do Fortowej.

Wyjechali z ulicy Broniewskiego na rozwidlenie i skręcili w Fortową. Podjechali pod dom, w którym mieszkał ten, którego mieli zatrzymać. Pierwszy wysiadł Bondaruk. Za nim funkcjonariusz w cywilu. Podporucznik stanął przy samochodzie. Rozejrzał się dookoła. Po przeciwnej stronie ulicy stała skoda, a obok niej jakiś mężczyzna. Patrzył na Bondaruka. Nagle na

widok wychylającego się z wozu umundurowanego funkcjonariusza raptownie otworzył drzwi swego pojazdu i jak oszalały ruszył do przodu.

– Skoda! – skojarzyło się Bondarukowi z informacją zawartą w protokółach. – To on! Za nim! Ucieknie nam!

Wskoczyli szybko do wozu. Nim wykręcili w wąskiej uliczce, uciekający zyskał dużą przewagę.

– Że też musiałeś być w mundurze! – Bondaruk z wściekłością patrzył na funkcjonariusza.

– Skąd miałem wiedzieć, że ten facet będzie nas akurat obserwował! – Funkcjonariusz tym razem był naprawdę zdenerwowany.

Uciekającą skodę dojrzeliby dopiero w okolicy Włociańskiej.

– Ale ma stracha! – powiedział jeden z funkcjonariuszy.

– Skąd taki wniosek? – Bondaruk był już spokojny.

– Gdyby trochę myślał, to by skręcił wcześniej. Na przykład w Jarzębskiego lub Perzyńskiego. Zgubiłby się w uliczkach osiedla.

– I tak go nie dogonimy – ocenił sytuację kierowca. – Ma za duże wyprzedzenie.

– Nie ma co główkować. Trzeba się przyznać do klęski i wezwać pomoc! – Bondaruk z ciężkim westchnieniem sięgnął do radiotelefonu. – Tu „Bon jeden”, tu „Bon jeden”. Centrala, zgłoś się!

– Tu centrala! Zgłaszam się! – rozległ się głos kapitana Morawskiego.

– Obiekt ucieka ulicą Broniewskiego w stronę Sto-
łecznej. Za duża odległość. Nie damy rady...

– Zrozumiałem – głos kapitana był spokojny. –
Uruchamiamy radiowozy... Bądź na nasłuchu!

Uciekający wóz zbliżał się do Stołecznej. Ścigający
dojeżdżali do ulicy Załuskich.

– Nie można szybciej? – Bondaruk zaciskał pięści.

– Nie damy rady! Tamten może sobie pozwolić na
wypadek. Ja nie!

– „Bon jeden”. Tu centrala! Gdzie jesteście? – ka-
pitan Morawski starał się mówić spokojnym tonem,
choć Bondaruk wyczuł w jego głosie napięcie.

– Obiekt skręcił w Marchlewskiego! Jest na wia-
dukcie!

– Do Ronda Buczka nie zdążymy założyć blokady!
Ściągamy radiowozy z Marchlewskiego i Okopowej, od
Świerczewskiego! Melduj o każdej zmianie kierunku!

– Zrozumiałem!

Uciekający jechał cały czas Marchlewskiego.

– Widocznie nie chce tracić prędkości na zakrę-
tach! – ocenił sytuację kierowca.

– Centrala! Lecimy prosto Marchlewskiego! Mi-
jemy Gęsią!

– W porządku! Przełącz na drugi kanał. Nawiążesz
bezpośrednią łączność z radiowozami. Kierujesz dalej
akcją!

– Rozumiem! – Bondaruk przestawił pokrętko ra-
diotelefonu na drugi kanał. Posłyszał w głośniku

kilka radiowozów. – Tu „Bon jeden”. Cisza w eterze! Wozy z Okopowej skręcają w Anielewicza. Wozy z Marchlewskiego... – przerwał, bo uciekający wóz skręcił raptownie w ulicę Stawki. – Z Marchlewskiego skręcać w Anielewicza! – dokończył Bondaruk. – Blokujemy skodę koloru pomarańczowego.

Uciekinier wjechał w Smoczą. Od pościgu dzieliło go sto pięćdziesiąt – dwieście metrów.

– Radiowozy, powoli dojeżdżać do Smoczej! Zatrzymać się! Uciekinier minął Miłą... Minął Ptaszyna! – Bondaruk mówił spokojnie.

Wóz ze ściganym dojeżdżał do Anielewicza.

– Obiekt dojeżdża do Anielewicza! Zarządzam blokadę! – krzyknął w radiotelefon.

Dwa radiowozy na sygnałach z włączonymi migaczami wynurzyły się z obu stron Smoczej. Skoda na widok blokady zaczęła gwałtownie hamować. Wóz, skierowany w lewo, na placyk, wpadł przednim prawym kołem w głęboką wyrwę przy podjeździe do dużego samu spożywczego. Kierowca stracił panowanie nad kierownicą. Samochód jak odbita piłka wykonał zwrot w lewo i zatrzymał się na drzewie obok kiosku warzywnego, rozwalając po drodze stos skrzynek po owocach.

– Za nim! – Bondaruk już chwycił za klamkę.

Od strony Anielewicza zbliżał się milicyjny radiowóz. Drzwi skody otworzyły się. Kierowca wozu, lekko utykając, uciekał między stojące w głębi wieżowce. Za nim biegł Bondaruk. Zobaczył, jak z prawej strony mija

go na sygnale radiowóz. Zajeżdżał drogę uciekającemu. Ten skręcił w lewo, prosto w ręce Bondaruka i nadbiegających wywiadowców. Przytrzymany, szarpnął się raz i drugi. Wreszcie uznał, że dalszy opór jest bezcelowy. Osunął się na kolana, ciężko oddychał. Trzasnęły sucho kajdanki. Złapany powolnym ruchem uniósł głowę. Z otartego naskórka na czole spływała cienka strużka krwi. Bondaruk wyjął z kieszeni chustkę. Przetarł czoło klęczącemu.

– Może pan wstać?

– Mogę – cicho wyszeptał schwyтany.

– Szybko do samochodu! – komenderował Bondaruk. – Bo już się zbiera tłum.

Posadzili zatrzymanego na tylnym siedzeniu.

– Zajmijcie się tym wozem. Trzeba go zabezpieczyć. Jutro go obejrzymy. Mogą w nim być interesujące nas materiały... – Bondaruk wydał ostatnie polecenia funkcjonariuszom radiowozu i wsiadł do swego samochodu. – Jedziemy do komendy! – wziął do ręki mikrotelefon. – Tu „Bon jeden”. Centrala, zgłoś się! – W głośniku panowała cisza.

– Zdaje się, że towarzysz porucznik nie przełączył kanału – odezwał się kierowca.

– O, dziękuję! – Bondaruk przełączył radiotelefon na właściwy kanał.

– „Bon jeden”, „Bon jeden”. Tu centrala! Zgłoś się! – denerwował się kapitan Morawski.

– Tu „Bon jeden”! Zgłaszam się!

– I co?

- W porządku! Mamy go!
- Jego dane personalne! Bondaruk uderzył się dłonią w czoło.
- Podajcie mi jego dowód – szepnął do kolegów z tylnego siedzenia.
- „Bon jeden”! Słyszysz? Podaj dane! – Morawski był coraz bardziej zdenerwowany.
- Bondaruk prawie wyrwał dowód z ręki kolegi.
- Już mówię! – Otworzył dowód. – Więc tak: Szyndziela Kazimierz, urodzony... Szefie! Mam czytać dalej?
- Nie, nie! To wystarczy! Dziękuję! – głos kapitana Morawskiego zabrzmiał nienaturalnym tonem. Wiadomość, którą kapitan usłyszał, wywarła na nim ogromne wrażenie. Wszystkiego się spodziewał... Ale że to będzie Szyndziela, przyjaciel ofiary? Mimo uzyskanej wcześniej informacji nie wierzył do ostatniej chwili...

*

- Panie kapitanie! – Głos Bondaruka wyrwał kapitana Morawskiego z zadumy. – Skąd Szyndziela wiedział o Gonerze?
- Proste! Ale i jakie tragiczne! Sama Lucińska powtórzyła mu informacje o nagranej taśmie!
- Czyli ona skomplikowała śledztwo... Nie dość tego! Naraziła jeszcze Gonerę... – Bondaruk pokręcił z niedowierzaniem głową. – Jak to nie można za dużo paplać... Nawet znajomym...
- Właśnie! Ale na gadulstwo naszych rodaków my

nie mamy wpływu. – Kapitan ciężko westchnął. – Powiedz mi lepiej, co z innymi współnikami? Ilu ich jest? Czy wszystko o nich wiemy?

– Mamy już komplecik. Był jeszcze jeden, ale to płotka. Załatwił farbę do przemalowania wozu. Dostarczył fałszywą tablicę rejestracyjną i takie tam inne tre-morele. Piszemy więc do szefa notatkę i cześć pieśni!

– Dobrze! Przygotuj wszystkie materiały do sprawdzenia – kapitan Morawski z rękami w kieszeniach spodni podszedł do okna. W pokoju zapanowała cisza.

– Panie kapitanie! – spróbował niepewnie Bondaruk. Widział, że coś Morawskiego dręczy.

– Co znowu? – spytał opryskliwie kapitan.

– Zdaje się, że pan za bardzo przejął się tą sprawą...

Morawski wrócił na swoje miejsce za biurkiem.

– Bo jeszcze nie spotkałem się z taką podłością... Owszem, znajomi mordowali się między sobą. Lecz byli to zawsze ludzie stojący na granicy zezwierzęcenia, upodlenia... Alkoholicy, sadyści, narkomani. Czy wśród takich ludzi istnieje w ogóle pojęcie koleżeństwa, przyjaźni? Kolesiem jest ten, kto ma akurat szmal. Ale tu? Człowiek inteligentny, niby to przyjaciel.

– On nie zabił – rzekł Bondaruk. – Kazał tylko Maliszowi ogłuszyć Lucińskiego.

– Tylko ogłuszyć? – Kapitan nie panował nad swoim głosem. – Ogłuszyć? A że chciał obrabować przyjaciela, to jest dla ciebie normalne?

– Ja go nie chcę bronić – Bondaruk cofnął się przerażony. – Chciałem tylko wyjaśnić...

– A to, że nie liczył się z tym, że ogłuszenie może mieć dla Lucińskiego tragiczne konsekwencje? Już nie mówmy o śmierci! Cios mógł spowodować stały paraliż, zanik pamięci, czy ja wiem co jeszcze? I to jest przerażające. Że na taki czyn decyduje się człowiek inteligentny...

– Szyndziela ma dyplom inżyniera, ale to nie znaczy, że jest inteligentny. – Bondaruk, speszony gwałtownymi gestami kapitana, nie bardzo wiedział, po co to mówi, do czego zmierza.

– Jest inteligentny. Przesłuchaliśmy go. Jeśli tego nie zauważyłeś, to zmień szybko pracę... Z taką umiejętnością oceniania człowieka nigdy nie będziesz dobrym oficerem dochodzeniowym.

– Zgadzam się z panem kapitanem. Szukam tylko motywów jego postępowania. Chcę wiedzieć, dlaczego?

– Dlaczego, pytasz? – Kapitan podszedł do okna. Patrzył w przestrzeń. – Zdaje się, że muszę przejść na emeryturę. Zaczynam nie rozumieć tego, co się wokół nas dzieje. Przyjaciel dla pieniędzy naraża na śmierć przyjaciela... Córka rąbie na kawałki swą matkę... Ile już mieliśmy takich spraw, ile jeszcze będzie. Tyle mówimy o lojalności, przyjaźni, uczciwości i co? Spróbuj zrozumieć takich ludzi, spróbuj odgadnąć, co może im strzelić do łba...

– Dlatego nie może pan nas opuścić. W takiej

sytuacji jesteśmy wszyscy potrzebni, zwłaszcza teraz, gdy dzieje się w kraju coś niedobrego.

– I tego też nie rozumiem. Spójrz za okno. – Kapitan podszedł do Bondaruka. – Ludzi ogarnia jakiś amok. Wystarczy krzyk jednego pijanego łobuza, by rozfalowany tłum rzucił się na niewinnego człowieka. Najgłośniej krzyczą zaś ci, którzy nie mają żadnych zasad moralnych.

– Dlatego trzeba robić te, co robimy.

Dźwięk dzwonka przebił ciszę jak sztylet.

– Kapitan Morawski, słucham. – Twarz mówiącego nie wyrażała żadnych emocji. – Tak! Tak jest, towarzyszu pułkowniku! Zaraz się zgłoszę! Zrozumiałem... Są obydwójce: Grzelec i Bondaruk... Zgłosimy się razem. Rozkaz! Odmeldowuję się! – Odłożył mikrotelefon. Spojrzał na Bondaruka, a następnie przeniósł wzrok na Krystynę Grzelec.

– Idziemy do szefa na odprawę.

– A co z pana planowanym przejściem na emeryturę? – spytała nieśmiało Grzelec.

– Cóż! Zdaje się, że tę sprawę trzeba będzie jeszcze na pewien czas odłożyć! – Kapitan roześmiał się serdecznie. Ujął swych młodych współpracowników pod rękę. Tak w trójkę skierowali się w stronę gabinetu szefa. – Ale to tylko ja mogę sobie pozwolić na odłożenie pewnych spraw! Natomiast wy waszego ślubu nie odkładajcie!